

**Miller do Czarzastego:
Jesteś nielegalny**

**Kulisy habilitacji
ministra Czarnka**

**Iga Świątek
i Klub Oszałych Rodziców**

**Prof. Andrzej Zybała:
Polak Polakowi okupantem**



JEST NADZIEJA SZCZEPIONKA CORAZ BLIŻEJ



WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL



RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ, WPŁAĆ NA KONTO PCK

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

CYTATY

DAVID SINCLAIR,
genetyk australijski

*Starość to choroba,
nad którą musimy jeszcze
popracować.*

„Forum”

JERZY URBAN,
redaktor naczelny

*Walkę pokoleń zawsze
wygrywają młodzi,
ale przeważnie na starość.*
„NIE”

MICHAEL KRETSCHMER
(CDU), premier Saksonii

*Na sankcje gospodarcze
wobec Rosji, zwłaszcza
za Nord Stream 2, duży
wpływ ma Ameryka.*
„Rzeczpospolita”

RADEK RAK,
laureat Nike 2020

*Z Szeli nie da się zrobić
bohatera. Chodziło
o zemstę za swoje krzywdy
i chęć wzbogacenia się
na rabunku.*
„Magazyn Wyborczej Wolna Sobota”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Problemy ich przerosły

Czy leci z nami pilot? Takie pytanie zadają już nawet ci, którzy są daleko od polityki. Trudno nie pytać, gdy od samego patrzenia na ten bałagan i bezradność premiera miotającego się od ściany do ściany zaczyna człowieka boleć głowa. Codziennie widzimy to samo. Widzimy najwyższych urzędników państwa, którzy ze wszystkim mają problemy. Bezdecyzyjni ignoranci kiedyś śmieszili, dziś tak irytują, że ludzie pytają, jak długo jeszcze.

Cierpliwość Polaków wyczerpuje się w szybkim tempie. Bo przecież nie jesteśmy skazani na tę bylejakość władzy. I to w kraju, gdzie nie brakuje zdolnych i kompetentnych kadr. A rządzą przypadkowi dyktanci. Choć z tą przypadkowością to nie do końca prawda. Bo za karierą każdego nieudacznika stoi jakiś duży czy nawet malutki partyjny wielmoża, który ustawił, kogo chciał, gdzie chciał. Inne kryteria nie są tym politykom potrzebne.

A swoją drogą, skąd liderzy prawicy mają czerpać wiedzę o bardzo trudnej sztuce rządzenia państwem? Przecież sami zostali wyciągnięci na stanowiska jak król z kapelusza. Z tą różnicą, że królika wyciąga prestidigitator, a Dudę, Morawieckiego itd. pokazywał i wskazywał prezes Kaczyński. Nominaci prezesa stosowali później tę samą metodę przy obsadzaniu podległych im stanowisk. Stąd wysyp karier typu pierwsza praca – wiceminister albo co najmniej dyrektor departamentu w ministerstwie. Tacy nominaci swoim szefom długo nie zagrożą. Do perfekcji tę metodę awansów opanował Zbigniew Ziobro. Powyciągani z trzeciej ligi głodni kariery ambicioznerzy braki kompetencji nadrabiają gorliwą wiernością. I o to właśnie chodzi.

Coraz większym problemem dla obozu władzy będzie sam premier. Morawiecki był nieudanym prezesem banku. Osobistą karierę zbudował na wygrzieniu zawodowych bankowców. I bardzo skutecznych zabiegach o życiowość zagranicznych właścicieli. Tę umiejętność ciągle doskonali. Zabiegał o swoje interesy u Tuska, ale zabrakło mu czasu. Na jego szczęście, bo nie spalił swoich szans i przeszedł na służbę do obozu PiS, gdzie dość skutecznie czaruje Kaczyńskiego.

Nie sądzę jednak, by prezes szukał mistrza PR, bo potrzebuje skutecznego zarządcy. A takim Morawiecki nie jest. I trudno sobie wyobrazić, że będzie. Kierowanie państwem to nie gra na rynkach finansowych. Tam, jak coś prezesom się nie uda, odpowiadają za to niższe szczeble, a rachunek i tak płacą zwykli ludzie.

W czasach takiego kryzysu jak teraz pandemia, gdy od premiera zależy życie obywateli, trudno liczyć na sprawność tego rządu i Morawieckiego. Miał być następcą prezesa, a jest coraz większym kłopotem. Takie są efekty budowania państwa na piaskach. I z politycznych obietnic.



DELIRIUM WŁADZY, CZYLI KTO RZĄDZI, TEN BŁĄDZI

W poniedziałek, środę i piątek
o godz. 19.00 na naszym kanale
na YouTube zamieścimy trzy rozmowy
z **Krzysztofem Mroziewiczem**.
Dziennikarz i dyplomata opowiada
o kulisach władzy na świecie i o tych,
którzy nami rządzą.



Subskrybuj
nasz kanał i bądź
zawsze na czasie!

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polak Polakowi okupantem**
– rozmowa z prof. Andrzejem Zybałą
- 14 Historia pewnej habilitacji**
Czarnek w światopoglądowym rozroku
- 20 Odpyływ czy dopływ?**
Skutki pandemii w szkołach niepublicznych
- 27 Iga Świątek, czyli sukces po polsku**
Sport dzieci okiem rodzica
- 52 Fotograf z konspiracji**
Zdjęcia Wojciecha Iwulskiego
– świadectwo historii

PUBLICYSTYKA I OPINIE

- 11 Robert Walenciak**
Czy SLD istnieje?
- 44 Jan J. Zygmontowski**
Platformy cyfrowe, cyfrowe monopole

ZDROWIE

- 16 Coraz bliżej do szczepionki**
Wyścig o prestiż i niewyobrażalne pieniądze
- 24 To da się zrobić**
– rozmowa z prof. Maciejem Banachem

ZAGRANICA

- 30 Kampania w cieniu katastrof**
Najdziwniejszy rok wyborczy w USA
- 34 W oczekiwaniu na kolejnego antyzbawiciela**
Korupcja – największy problem Rumunii?
- 38 Afrykańska lekcja**
Szczepionkowa akcja Billa Gatesa

KOŚCIÓŁ

- 40 Papież chłozczy neoliberalizm**
Encyklika Franciszka bliska diagnozom lewicy

KULTURA

- 48 Tymczasem napisałem**
pierwsze zdanie nowej powieści
„Dziennik hipopotama” Krzysztofa Vargi
- 51 Culturalia**
- 66 Malarstwo Małgorzaty Jagiełło.**
Wystawa jubileuszowa

OBSERWACJE

- 56 Ostrzej widzieć**
Fotoreportaż „itd” 1960-1990
- 58 Wysokokaloryczne reklamy**
Widzisz, jesz, tyjesz

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Problemy ich przerosły
- 23 Jan Widacki**
Sprawa nie tylko Komendy
- 33 Andrzej Romanowski**
Książka o bohaterstwie
- 37 Roman Kurkiewicz**
To nie są ćwiczenia
- 43 Tomasz Jastrun**
Nasi górą, obcy dołem
- 47 Wojciech Kuczok**
Toniemy



27

KRAJ

IGA ŚWIĄTEK, CZYLI SUKCES PO POLSKU

Sport dzieci
okiem rodzica

30

ZAGRANICA



KAMPANIA W CINIU KATASTROF

Najdziwniejszy rok wyborczy w USA



OSTRZEJ WIDZIEĆ

Fotoreportaż „itd” 1960-1990

56

OBSERWACJE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK



Prof. Marian Szamatowicz:
Balon hipokryzji wokół in vitro
musi pęknąć

Prof. Ryszard Koziołek
– rektor na trudne czasy

Powiatowe sanepidy
– zakażeń przybywa, ludzi brakuje

Czego brakuje lewicy

Po pierwsze, brakuje jej jasno i wyraźnie określonego celu, jakim musi być zaistnienie ustroju opartego na prywatnej własności i maksymalizacji prywatnych zysków ustrojem opartym na społecznej własności i realizacji interesów publicznych. Po drugie, nie ma silnej bazy teoretycznej, pozwalającej rzetelnie uzasadnić ten cel oraz oceniać zdarzenia i podejmować decyzje pod kątem użyteczności w jego realizacji. Wszystkie działania powinny mieć uzasadnienie w ostatecznym celu w postaci transformacji społeczno-ekonomicznej. Odwaga, by określić cel, i baza teoretyczna, by wiedzieć, jak do niego dążyć – oto czego potrzebuje lewica.

Arek Domeredzki

Lewicy brakuje przede wszystkim partii. A Lewicy będącej obecnie w Sejmie – wymiany kadr i wyjścia poza wielkomiejską, liberalną bańkę. Tyle że to środowisko jest do tego niezdolne.

Bartosz Mielniczek

Lewicy brakuje sensownego lidera. Adrian Zandberg sprawiał wrażenie takiej

osoby. W jakimś stopniu był połączeniem Piotra Ikonowicza i Aleksandra Kwaśniewskiego. Potem przyszedł kolektywizm w Razem i namiastka lewicowości zdechła. Ani pan Czarzasty, ani pan Biedroń obok lewicy nawet nie przeszli.

Olaf Nowaczyk

Głupi jest ten, kto po raz kolejny chce dać się nabrać, że ta formacja stanie w obronie tradycji Polski Ludowej lub będzie działać realnie na rzecz odzyskania ukradzionego majątku narodowego. Głupi ten, kto zaufa, że ta formacja jest za przywróceniem bezpieczeństwa socjalnego. Najwyższy czas pozbyć się takich złudzeń. Musimy szukać alternatywy poza systemową huśtawką prawiczką i lewactwem. Potrzebujemy formacji autentycznej lewicy – socjalistycznej i patriotycznej, a nie obyczajowej.

Łukasz Marcin Jastrzębski

Oświatowa kontrrewolucja

Całe społeczeństwo zostało mentalnie cofnięte dokładnie o 100 lat przez PO-PiS i jego klony. Nastąpiło przeobrażenie świadomości i wartości. Wybór Czarnka na ministra edukacji



i szkolnictwa wyższego ma zakonserwować status quo, a szkoły mają produkować bezwolne, biologiczne roboty.

Marek Głowinkowski

Tej formacji już nie ma

W felietonie w nr. 39 PRZEGŁĄDU Andrzej Romanowski wspomina Józefę Hennelową: „Tej formacji dzisiaj już nie ma”. W pełni zgadzam się z autorem. Przez lata oglądałam Józefę Hennelową w telewizji. Każda audycja z jej udziałem była dla mnie ważna, ponieważ była to osoba mądra i niezależna, wszystko, co mówiła, budziło szacunek. Po raz ostatni widziałam ją, gdy udzielała wywiadu red. Krzysztofowi Ziembowski. Dziennikarz usiłował wymusić na rozmówczyni swój pogląd, że wszystko, co najgorsze, co trzeba napiętnować, to PRL i ustrój komunistyczny. Wywiad trwał długo, a dziennikarz naciskał na red. Hennelową, by zmieniła sposób myślenia. Był wręcz niegrzeczny. W końcu, odpowiadając na jego wywody, pani Hennelowa uśmiechnęła się i patrząc mu w oczy, wyjaśniła, że jest on w błędzie. Ona żyła normalnie w Polsce, w kraju socjalistycznym. Tak ją zapamiętałam.

Stanisława Przybysz, Warszawa



ZDJĘCIE TYGODNIA

Gdy życie daje ci czerwoną kartkę, zachowaj dystans. Od 17 października prawie połowa kraju to czerwone strefy. Rząd wprowadził też surowsze obostrzenia.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Jak zdyscyplinować posłów Konfederacji, żeby zakładali maseczki?

DR PIOTR KOCYBA,

*badacz ruchów społecznych,
Uniwersytet Techniczny w Chemnitz*

Jestem przekonany, że nawet kary finansowe lub znaczne pogorszenie sytuacji epidemicznej nie sprawią, że wszyscy posłowie Konfederacji zaczną je nosić. To ugrupowanie jest konglomeratem przeróżnych grup politycznych i obywatelskich, z których wiele kwestionuje koronapolitykę państwa, np. ograniczenia w funkcjonowaniu gospodarki. Co więcej, ważną częścią tej formacji są antyszczepionkowcy. W tej sytuacji ostentacyjne nienoszenie maseczek w Sejmie jest wręcz naturalne – jest symbolem niechęci do rządu, a jednocześnie formą komunikacji z własnym elektoratem.

DARIA GOSEK-POPIOŁEK,

posłanka Lewicy Razem

Immunitet nie powinien chronić przed skutkami narażania życia i zdrowia obywateli, zwłaszcza gdy jest się przedstawicielem władzy ustawodawczej i gdy mówimy o łamaniu prawa czy zasad z premedytacją. Regulamin Sejmu jasno określa powinności związane z przestrzeganiem reżimu sanitarnego,

są także narzędzia dyscyplinowania posłów i posłanek (m.in. kary finansowe) i powinny być one z całą surowością stosowane. A jeśli chodzi o łamanie prawa poza sejmowymi korytarzami, zarówno policja, jak i sanepid mogą nałożyć odpowiednio mandat i grzywnę na osoby odmawiające noszenia maseczek. Mam nadzieję, że tak będzie również w tym wypadku. Klub Lewicy zgłosi projekt ustawy, która pomoże w egzekwowaniu obowiązku noszenia maseczek, jak również wprowadzi możliwość karania za propagowanie nienaukowych stwierdzeń (np. antywidowych czy antyszczepionkowych), które bezpośrednio zagrażają zdrowiu i życiu społeczeństwa.

HENRYK MARTENKA,

publicysta, „Angora”

Konfederacja jest w tej kwestii parlamentarną emanacją polskiej głupoty, tym bardziej gorszącej, bo prowokującej do podobnych gestów. Naśladowców głupota znajdzie zawsze i wszędzie. Nurt oporu wobec rozumu był w dziejach polskich zawsze silny, choć nie oryginalny, bo istnieje on w każdym narodzie. Może to nawet nie jakiś wartki nurt, raczej

appendix, czyli wyrostek robaczkowy, ślepy zaułek jelita, w którym gromadzą się toksyny i bakterie. Przedwcześnie uchodzi za szczątkowy. Ewolucja, jakiej podlegają konfederaci, przekonuje bowiem, że zamiast ulec zapowiadanej atrofii, wyrostek będzie uzyskiwał nowe funkcje. Będzie rósł, pęczniał i groził, póki nóż chirurga nie wskaże mu jedyne właściwego dlań miejsca. Serio mówiąc, zdyscyplinować posłów Konfederacji jest banalnie łatwo. Są na to przepisy. Ponieważ niezakładanie maseczki jest naprawdę groźne, należy z surowością nakładać na konfederatów mandaty i je egzekwować, gdyż żaden immunitet nie powinien chronić głupców ani przestępców. Nawet tych pospoliczych.

JERZY KRAWIEC-MOSTOWIAK,

czytelnik PRZEGLĄDU



Trzeba sobie zadać pytanie, czy w ogóle warto ich dyscyplinować. System ich zdyscyplinuje niskimi słupkami poparcia. W rozwijającej się społeczności niemądra władza ma prawo bytu na scenie politycznej przez krótki okres. Gdyby jednak rozwój nie miał miejsca, wówczas tę niemądrą społeczność wyeliminują prawa przyrody.

Not. Michał Sobczyk

Polak Polakowi okupantem

Konflikt w Polsce jest specyficzny, bo został naznaczony niedojrzałością elit i szkodliwym dziedzictwem romantyzmu

Rozmawia Jakub Dymek

Podoba się panu określenie wojny kulturowe?

– Nie podoba mi się to, co kryje się za tym pojęciem. Ale opisuje ono znaczny kawałek naszej rzeczywistości. Nie tylko zresztą w Polsce w jednym społeczeństwie są strony, które toczą nierozstrzygalne spory o wartości i światopogląd, a dodatkowo jedna strona usiłuje narzucić drugiej swoje zdanie. Te spory trwają jednak niezależnie od tego, czy aktualnie ma miejsce „wojna” – konflikt w Polsce ma po prostu kulturowe podłoże.

Co to znaczy?

– W polskim życiu politycznym niejako od zawsze ścierały się dwa obozy, z których jeden chciał modernizacji i dołączenia do porządku społecznego Zachodu, a drugi mocniejszego zakorzenienia w tradycji i oparcia się na zasadach wypływających z religijnego, lokalnego i zwyczajowego myślenia o relacjach społecznych. Półwiecze socjalizmu w Polsce w pewnym sensie zawiesiło ten spór, bo obraliśmy jasno jedną z dróg, ale on nigdy nie wygasł i po 1989 r. mógł już wrócić. Szczególnie w ostatnich latach widzimy, jak sprawy światopoglądowe, dotyczące roli tradycjonalnie rozumianej religii i samej tradycji przeciwstawionej indywidualizmowi i prawu do samostanowienia, znów dominują nad innymi podziałami politycznymi – choćby takimi jak wcześniej podział postkomunistyczny.



DR HAB. ANDRZEJ ZYBAŁA

– profesor SGH, kierownik Katedry Polityki Publicznej. Ostatnio wydał książki „Polski umysł na rozdrożu. Wokół kultury umysłowej w Polsce. W poszukiwaniu źródeł niepowodzeń części naszych działań publicznych” oraz „Zarządzanie i partycypacja pracownicza w Polsce. Od modelu folwarcznego do podmiotowości”.

Pan w „Przeglądzie Socjologicznym” nazwał tę sytuację strategią wymuszenia. Dlaczego?

– Dwie strony chcą narzucić swoje wartości, sposób życia, poglądy. Nie odnajdujemy przez to wspólnego mianownika, który pozwoliłby na w miarę łagodne, spokojne, poukładane życie w jednej ojczyźnie. Stajemy się dla siebie nawzajem okupantami. Dziś rządzi formacja tradycjonalistyczna, nawet w pewnych aspektach bardzo, i osoby o tożsamości bardziej nowoczesnej (oświeceniowej) czują, że są wypychane do świątyni obskurantyzmu, odbierana jest im wolność, prawo do myślenia. Narzuca się im cudzy kod kulturowy, myślą o władzy w kategoriach okupantów...

...ale dzisiejsza prawica rządzi dzięki temu, że również obiecuje Polakom ochronę przed takim „narrucaniem” i kulturową „okupacją” drugiej strony!

– Bo w wojnach kulturowych obydwie strony czują, że coś jest im narzucane. Czują, że muszą się bronić. Przed 2015 r. formacja tradycjonalistyczna uważała, że jej styl życia i wartości, w tym sama polskość, są niemal śmiertelnie zagrożone. Związki partnerskie, szkoła bez religii, dzieci z in vitro... oni widzieli to jako koniec ich świata. Bali się, że nie rozpoznają już rzeczywistości bez pewnych stałych, niezmiennych świętości, bo w ich wizji świata nie ma żadnej moralności, aksjologii,

zbawienia poza Kościołem. A taką Polskę pewna część naszych obywateli widziała przed 2015 r.

Czy obydwie strony mogą jednocześnie mieć rację?

– Każdy ma swoje racje, rzecz w tym, że one są jedynie częściowe! Aby jednak przetrwać w jednym państwie i społeczeństwie, obydwie strony sporu muszą nie tylko

W wojnach kulturowych obydwie strony czują, że coś jest im narzucane.

zadowolić się tym, że mogą mieć rację, ale także znaleźć z drugą stroną wspólny mianownik. Państwa Zachodu trwają, bo znalazły go pod postacią demokratycznych i świeckich instytucji.

Ale jak szukać kompromisu albo wspólnego mianownika, gdy w sporze politycznym padają takie kwestie jak: „czy aborcja to morderstwo” albo „czy LGBT to ludzie”? Gdy jedni boją się, że drudzy odbiorą im dosłownie prawo do życia.

– To trudne, gdy obie strony formułują swoje poglądy i stanowiska w sposób skrajny i absolutystyczny. Gdy przypisują sobie nawzajem złą wolę. Mało! Bycie złem absolutnym. W dzisiejszej retoryce politycznej druga strona konfliktu jest „złem, które spotyka Polskę”, złem metafizycznym, które trzeba wyrwać z korzeniami. W dojrzałych demokracjach udaje się unikać najgorszej postaci tego konfliktu dzięki pewnej „dżentelmeńskiej zмовie milczenia”, która zakłada, że nie dyskutuje się o sprawach, które są nierozstrzygalne, bo dotyczą głębokich przekonań światopoglądowych. Że nie można na nowo otwierać co chwilę sporu o najbardziej podstawowe rzeczy: życie, prawa człowieka i najważniejsze wartości. Bo to niszczące.

Taka zgoda jest niemożliwa bez jakiejś wstępnej umowy społecznej – choćby sprawnych ram do negocjowania kompromisu.

– W osiągnięciu pewnego państwowego minimum przeszkadza nam brak analitycznej kultury umysłowej. Nie umiemy, mówiąc wprost, rozłożyć problemu na czynniki pierwsze i przeanalizować ich osobno, zastanowić się, gdzie

początek i koniec danego zagadnienia. Niestety, uciekamy w znane z historii myślenie totalne. Przeszkadza nam dziedzictwo romantyzmu, ideologii antyracjonalnej i totalnej. Romantyzm zakłada, że potrzebujemy wodza, który siłą swoich dokonań i odwagi coś dla nas i za nas osiągnie. Duża część społeczeństwa czuje się zwolniona z obowiązku

wypracowywania kompromisu i konieczności przekraczania subiektywizmu własnych przekonań. Mówiąc prościej, zostajemy przy przekonaniu o „mojej, najmojszej racji”. W tej kulturze przyznanie komuś racji – choćby częściowej – oznacza dla nas porażkę, przyznanie się do błędu. Tymczasem rzeczywistość jest bardziej skomplikowana niż ta gra o sumie zerowej. Zakładajmy, że mamy racje częściowe i możemy uznać czyjeś racje wraz ze stwarzaniem innym osobom przestrzeni do rozwijania się w wybranej formule życiowej. Granicą jest niekrzywdzenie.

Polską rządzą jedna polityczna elita, wywodząca się z Okrągłego Stołu. Czy dlatego musi ona sztucznie się dzielić i wymyślać nowe osie konfliktu, żeby uzasadnić swoje pretensje do władzy? Żeby ukryć, że nie mamy w rzeczywistości żadnych „dwóch plemion”?

– Wciąż rządzi, należałoby powiedzieć, bo to pokolenie odchodzi

Aby przetrwać w jednym państwie i społeczeństwie, obie strony sporu muszą znaleźć wspólny mianownik.

powoli od najwyższych stanowisk w państwie.

Ale na razie Włodzimierz Czarzasty jest szefem SLD, a Jarosław Kaczyński – PiS, możemy więc powiedzieć, że na czele partii pokolenie solidarnościowo-okrągłostołowe ma się nie najgorzej.

– Formacja z tego okresu zdominowała polskie życie polityczne po 1989 r. Jej myślenie ukierunkowane było na osiągnięcie naprawdę doniosłych rzeczy, takich jak wejście do UE, NATO, transformacja

gospodarcza. One porządkowały życie polityczne i w jakimś sensie dyscyplinowały elitę. Ale po 2004 r. nie była ona już w stanie podobać umysłowo realiom okresu, kiedy trzeba było umieć dostrzegać i w sposób pogłębiony rozumieć również mikroprocesy społeczne i ekonomiczne. Nie zrozumiano, że weszliśmy do UE po spełnieniu warunków progowych, a czymś innym jest umiejętność poruszania się w unijnych labiryntach i zdolność do realizowania celów narodowych, zwłaszcza bez wywoływania konfliktów. Tu trzeba finezji, zarówno osobistej, jak i w analizie bardzo skomplikowanych zależności, sporów, zjawisk ekonomicznych i społecznych. W końcu elita stworzyła klimat umysłowy i moralny, który otworzył wrota do tego, by sprawy kultury, ideologii i światopoglądu zupełnie zawładnęły sporem politycznym.

Elity polityczne ponoszą winę za powrót wielkich sporów ideologicznych po 2004 r.?

– Mówiąc lapidarnie, to ich „cieńzina umysłowa” spowodowała, że zajęły się czymś łatwiejszym – sobą nawzajem. Gdy więc mówię o tym „tryumfie” polskich wad w klasie politycznej, mam na myśli to, jak do głosu doszły pieniactwo, swarliwość, skłonność do przesady i „mojej racji”, panikarstwo, obrażanie się i kompleksy czy romantyczne poszukiwanie zbawcy oraz niechęć do kompromisu. Klasa polityczna nas zawiodła.

A może fantazja o merytorycznej i zdolnej do negocjacji, kompromisu i namysłu klasie politycznej jest

po prostu fetyszem merytokratów i ekspertów? A polityka była i jest domeną emocji.

– Trochę tak jest. Ale polityka, gdy została przejęta przez specjalistów od emocji i marketingu, stała się w ogóle trudniejsza dla tradycyjnych i merytokracyjnych elit.

To dlaczego w tej dobie emocji lepiej poradziła sobie prawica?

– Moim zdaniem – choć pewnie znajdą się lepsi eksperci ode mnie – to jest właśnie kwestia marketingu politycznego i rola specjalistów od

► emocji. Prawica posłuchała ich wierne, a może (o czym przecież donosili media i raporty badaczy) zatrudniła lepsze firmy, agencje i specjalistów od internetowych algorytmów i propagandy. Ponadto okazała się bardzo

Klasa polityczna nas zawiodła.

„elastyczna moralnie”. Wykorzystuje drastyczne techniki oddziaływania, które możemy często obserwować w TVP. Znamy też działania skrajnej republikańskiej prawicy z USA w Europie, która w ostatnich latach próbowała przekazać swoje sposoby i narzędzia działania. A wreszcie wiemy, że w PiS mają i robią wciąż badania socjologiczne, dostosowują się do kolejnych rekomendacji badaczy, wcielają w życie strategie zarządzania emocjami. Pamięta pan retorykę pierwszych lat PiS?

„Suweren zdecydował”?

– Otóż to. To było odwrócenie logiki władzy, zupełnie nowy język! Teraz to ludzie mówią, a władza słucha. Coś absolutnie nowego z punktu widzenia socjotechniki – zbudowanie przekonania, że rząd jest prostą maszyną służącą do przekładania natychmiast emocji ludu i nastroju chwili na decyzje.

Konflikt zakłada jednak dwie strony. Pan uważa, że wyłącznie prawica i PiS są odpowiedzialne za podgrzanie emocji w Polsce?

– Polaryzacja to mechanizm. Jeśli ja powiem coś konfrontacyjnego, pan poczuje się zobowiązany, żeby odpowiedzieć jeszcze ostrzej. To błędne koło. Nieopatrzny język, którym zaczęliśmy się posługiwać, i radykalizm postulatów mają źródło w naszych zbiorowych wadach. Bo

pewna część naszego społeczeństwa ma poważny problem z uformowaniem swojej tożsamości jako część zbiorowości. Jak zwracał uwagę Gombrowicz, „Polak nie wie, kim jest – wie, że nie jest Niemcem lub Ruskiem”. Część polityków usiłuje więc powiedzieć Polakom, według swoich upodobań, kim są. I do tego służy

radykalne przeciwstawianie sobie złych „innych” i dobrych „nas”. Tożsamość tych ludzi potrzebuje przeciwnika czy wręcz wroga, by móc się określić, by wiedzieli oni, kim są. Ale nie jest tak, że tylko jedna strona polaryzację nakręca. Ja doskonale pamiętam i „ciemny lud”, i „moherowe berety”. Były lata, kiedy podgrzewanie emocji lepiej służyło Platformie Obywatelskiej i była w tym sprawniejsza. Ale były też okresy, kiedy to liberalny czy modernizacyjny obóz życzył sobie wygaszenia emocji, a wtedy PiS dla odmiany skuteczniej je podkręcało.

Czyli jednak symetria winy?

– Była po prostu kiedyś tendencja, by „zabierać babci dowód”, by jakoś poniżyć mniej wykształconą i tradycyjalistyczną część społeczeństwa czy odmawiać jej prawa do emocji.

I to wywołało reakcję?

– PiS zrozumiało po prostu, że nie wygra tylko za pomocą programu – potrzebowało uruchomienia mas.

W dzisiejszej retoryce politycznej druga strona konfliktu jest „złem, które spotyka Polskę”.

Postanowiło wykorzystać emocje tej części społeczeństwa, która czuła się pogardzana, dotychczas do tego bardzo konkretne propozycje socjalne. I zrobiło to w skrajny sposób, bazując na defektach mentalności tej grupy. Dlatego zaczęło mówić o Polsce w ruinie w sytuacji bezprecedensowego rozwoju w wielu dziedzinach, np. dróg, ale również rozwoju miast, ich infrastruktury. Wieś zaczęła wyglądać inaczej. Tymczasem głoszono, że rządzący dosłownie ograbiają Polaków, żeby oddać to Niemcom w zamian za zaszczoty – jak Donald Tusk, obejmujący wysokie stanowiska w Europie za cenę marginalizowania naszych interesów. PiS nie tylko więc te emocje skutecznie „złapało”, ale właśnie podkręciło i radykalizowało. Rzeczy z porządku

polityki – spór o modernizację, inwestycje, rolę w Europie – z powrotem stały się starciem dobra ze złem. „Naszych” i „okupantów”. Wojna kulturowa, od której zaczęliśmy tę rozmowę, właśnie tego wymaga. By wyjąć rzeczy, które mogą być przedmiotem negocjacji i kompromisu, z domeny racjonalności i umieścić je w sferze walki o wartości, o tradycję, o honor. Ten konflikt w Polsce, jak mówiłem, jest o tyle specyficzny, że naznaczony został niedojrzałością elit i szkodliwym dziedzictwem romantyzmu. Ale powtórzę – toczyłby się tak czy inaczej. Nie ma ucieczki w czystą merytokrację, choć kraje Zachodu ze stabilnymi instytucjami demokracji i społeczeństwa obywatelskiego mają lepsze bezpieczniki.

Czy to błędne koło, ta spirala polaryzacji musi się nakręcać w nieskończoność, czy jest gdzieś granica, za którą to przestaje działać?

– Szanse są jedynie w dłuższej perspektywie. Musiałaby wygasać fala populizmu na świecie. Sprzyjałaby temu zwycięstwo wyborcze Joego Bidena w USA oraz większa odporność na wirusa populizmu w krajach UE, które padły jego ofiarą.

A w Polsce?

– Nie widzę nikogo, kto dostrzega konkretne sposoby na wyjście z tego w krótkiej, a nawet średniej perspektywie. Można sobie wyobrazić

upadek rządów PiS w ciągu roku, ale wirówka polaryzująca będzie się kręciła. Mogą się zacząć rozliczenia, różne dochodzenia, piętnowanie elektoratu tej formacji. Jednocześnie w Polsce musiałoby dojść do prze wartościowania celów, które chcemy realizować w polityce. Istotny byłby nacisk na budowanie ram wspólnoty, w tym pokazanie wrażliwości na los środowisk w najtrudniejszej sytuacji. Biedę musimy atakować nie tylko zasiłkami, trzeba też walczyć z biedą edukacyjną, kulturową, zdrowotną. Dzisiejsza wojna kulturowa jest szkodliwa, ale wady naszej polityki i życia publicznego mają wielowiekową historię.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com



Czy SLD istnieje?

Miller do Czarzastego: jesteś nielegalny



Robert Walenciak

Czy Włodzimierz Czarzasty jest przewodniczącym SLD? Leszek Miller uważa, że nie, że minęła mu kadencja, jest więc uzurpatorem. Ale, żeby było weselej, podobnego zdania jest... sam Czarzasty, choć innymi kieruje się przesłankami. Otóż uważa się on za przewodniczącego Nowej Lewicy. Czyli partii, która działa w miejsce SLD. Sęk w tym – co podnosi Miller – że niczego takiego w spisie partii politycznych Państwowej Komisji Wyborczej nie ma. Jest za to SLD. Na lewicy mamy więc bajzel. I byłoby to śmieszne, gdyby nie było smutne.

O tym bałaganie, prawnym przede wszystkim, mogliśmy się dowiedzieć z listu Leszka Millera do Zarządu

Krajowego SLD, który upublicznił na Facebooku. List dotyczy procesu przekształcania SLD w Nową Lewicę, zjednoczenia z Wiosną i sposobu kierowania partią przez Czarzastego.

„W dniu 23 stycznia 2016 roku, podczas VI Kongresu SLD Włodzimierz Czarzasty został wybrany

przed wygaśnięciem jego kadencji miał obowiązek doprowadzić do zwołania Kongresu SLD i przedłożenia temuż Kongresowi sprawozdania z 4-letniej działalności oraz przeprowadzenia wyborów na kolejną 4-letnią kadencję. (...) Wbrew tym postanowieniom nie zwołano

Zachodzi uzasadnione domniemanie, że Włodzimierz Czarzasty i władze SLD działają na zasadzie uzurpacji.

przewodniczącym partii na 4-letnią kadencję – czytamy w liście. – Zgodnie z art. 17 ust. 4 statutu SLD, który przesądza, że kadencja władz uchwałodawczych, wykonawczych, sędziowskich i kontrolnych partii trwa 4 lata, Włodzimierz Czarzasty zakończył swą kadencję 23 stycznia 2020 roku. Przewodniczący SLD

Kongresu SLD, nie przyjęto wymienionych dokumentów, nie przeprowadzono też wyboru nowych władz na kolejne 4 lata.

W tej sytuacji zachodzi uzasadnione domniemanie, że Włodzimierz Czarzasty, jak i władze SLD, podejmują swoje działania na zasadzie uzurpacji, gdyż nie mają

► pochodzącego z wyboru członków partii mandatu”.

Jak do tego mogło dojść? Otóż 14 grudnia 2019 r., już po wyborach parlamentarnych, miała miejsce konwencja SLD, podczas której zmieniono statut partii i jej nazwę, tak żeby umożliwić zjednoczenie z Wiosną. A w nowym statucie zapisane zostało, że do Kongresu Krajowego Nowej Lewicy (czyli do połączenia SLD i Wiosny) działają wszystkie władze krajowe partii wyłonione zgodnie z poprzednio obowiązującym statutom, zachowując przewidziane w nim kompetencje. Sęk w tym, że – jak poinformowała nas rzeczniczka SLD Anna-Maria Żukowska – rada krajowa nie zwołała kongresu, ponieważ w świetle obowiązujących przepisów nie może tego do tej pory zrobić. Bowiem art. 49

działacza Sojuszu Zbigniewa Żabę (potem wyrzucono go za to z SLD). W związku z tym rozpatruje je Sąd Apelacyjny w Warszawie. A kiedy wyda orzeczenie? Na skutek pandemii sądy pracują wolniej, więc, jak przypuszczają politycy lewicy, na orzeczenie w tej sprawie przyjdzie jeszcze trochę poczekać. Jak długo? Według ich szacunków do końca tego roku sąd apelacyjny powinien je wydać.

Jeżeli wyda i będzie to orzeczenie korzystne, rada krajowa partii, której teoretycznie nie ma, zwoła kongres krajowy partii, której praktycznie nie ma.

A jeśli sąd apelacyjny zmiany statutu odrzuci? Tego nie wyklucza np. Krzysztof Janik. – Sądy analizują bardzo uważnie statuty partii i pilnują

to uwagę, argumentując, że przedłożony projekt nowego statutu wraz z nową nazwą partii wykracza poza kompetencje Konwencji i mieści się jedynie w jurysdykcji Kongresu SLD. Te, jak i inne uwagi krytyczne zostały całkowicie zlekceważone. Złamano również procedury głosowania, nie poddając pod głosowanie poprawek, które – jak i cały Statut – muszą mieć poparcie 2/3 delegatów.

W kontekście zapowiadanego w trakcie Konwencji połączenia Sojuszu Lewicy Demokratycznej z partią Wiosna zwracałem także uwagę, że art. 60 ust. 1 i 2 Statutu SLD nie pozostawia wątpliwości, iż może to się dokonać jedynie na mocy uchwały Kongresu SLD. Zgodnie z tym przepisem: »Połączenie SLD z inną partią lub innymi partiami politycznymi może nastąpić na podstawie porozumienia zawartego pomiędzy zainteresowanymi. Treść porozumienia zatwierdza kongres większością 2/3 głosów, w obecności co najmniej połowy uprawnionych do głosowania«.

Te i inne nieprawidłowości towarzyszące procesowi rejestracji nowej partii i jej statutu spowodowały, że procedura rejestracji po decyzji Sądu Okręgowego w Warszawie zawisła w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. W wykazie Państwowej Komisji Wyborczej partii wpisanych do ewidencji partii politycznych na podstawie prawomocnych postanowień Sądu Okręgowego w Warszawie pod numerem 87 wpisany jest dalej Sojusz Lewicy Demokratycznej, natomiast

Leszek Miller: Napisałem ten list, żeby wzbudzić w SLD refleksję.

ust. 2 stanowi, że w ciągu dwóch miesięcy od dnia uprawomocnienia się postanowienia sądu o zmianie wpisu w ewidencji partii politycznych, dokonanej na podstawie niniejszego statutu, działająca na podstawie poprzednio obowiązującego statutu rada krajowa zwoła kongres krajowy. A uprawomocnienia orzeczenia do tej pory nie ma.

Wyjaśnijmy ten galimatias. Konwencja z grudnia 2019 r. wprowadziła do statutu zmiany, które zgłoszono do Sądu Okręgowego w Warszawie, by je zaakceptował. Ale zmiany te zostały oprotestowane m.in. przez

procedur – mówi. – Kiedy zakładaliśmy SLD, to nie mogliśmy wcześniej rozwiązać SdRP. Nic nie było na skróty. Demokracja wewnątrzpartyjna jest dla nich ważna.

Dlaczego sąd apelacyjny może odrzucić zmiany, czyli *de facto* nowy statut partii, który został przyjęty podczas konwencji w grudniu 2019 r.? Píše o tym Leszek Miller: „Zgodnie ze statutom SLD »zmianę statutu partii« może przeprowadzić tylko Kongres SLD, natomiast »zmiany w statucie« może przeprowadzić także Konwencja Krajowa SLD. Na grudniowej Konwencji zwracałem na

42 zł

43 zł

Państwo, którego nie da się wymazać z historii

ZNAKOMICI AUTORZY:
 Andrzej Walicki, Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma,
 Andrzej Werblan, Dariusz Jarosz, Lech Mażewski

W PAKIECIE 70 ZŁ

Kup 2 książki o PRL PRZEŁOM PAŹDZIERNIKA '56 dostaniesz GRATIS!

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
 Wpłać prosimy dokonywać na konto:
 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
 Fundacja Oratio Recta,
 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
 W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

nie figuruje tam Nowa Lewica. To zrozumiałe. PKW wpisuje partię do rejestru, gdy postanowienie sądu o jej rejestracji uprawomocni się”.

Innymi słowy, konwencja nie miała uprawnień do zmiany statutu SLD, poza tym wszelkie zmiany w statucie muszą zostać zatwierdzone większością dwóch trzecich głosów. Jeżeli sąd apelacyjny uzna

to na karb mało kolegiąlnego sposobu prowadzenia partii przez Włodzimierza Czarzastego. Naginanie bądź omijanie procedur można również uznać za znak czasów – malejącej kultury prawnej i „spisienia” lewicy.

A co na to Leszek Miller? – Napisałem ten list, żeby wzbudzić w SLD refleksję – mówi. – Chciałem przestrzec członków zarządu krajowego,

Ludzie w regionach nie mają nic z tego, że SLD jest w Sejmie. Nikt z nimi nie rozmawia, nie pracuje.

ten tok myślenia (a od jego orzeczenia nie ma odwołania), za chwilę okaże się, że Sojusz Lewicy Demokratycznej istnieje, i to pod swoją nazwą, nie ma zaś Nowej Lewicy, grudniowe zmiany w statucie są nieważne, a partia nie ma władz, bo ich kadencja wygasła.

Dlatego też Miller nie szczędzi Czarzastemu i jego współpracownikom uszczypliwości. „Próby przekonywania, że mimo stanu nieprawomocności można posługiwać się nazwą »Nowa Lewica«, przyjmować uchwały, występować w jej imieniu oraz przekształcać struktury SLD – są całkowicie nieuprawnione – pisze.

– Sytuacja, w której posiedzenie w dniu 2 października br. rozpoczęło się jako zebranie Zarządu Krajowego SLD, a skończyło się jako zebranie Zarządu Krajowego Nowej Lewicy, można traktować jedynie w kategoriach humorystycznych. Stan prawny dotyczący rejestracji Nowej Lewicy na początku posiedzenia był dokładnie taki sam jak na jego końcu”.

Dodajmy do tego jeszcze jeden element – wciąż funkcjonuje strona internetowa sld.org.pl, jest stale aktualizowana, a prezentowani tam politycy są podpisani jako członkowie SLD. Łącznie z rzeczniką, która informuje, że nie ma SLD, a jest Nowa Lewica. Na dokładkę zapowiadane jest zjednoczenie SLD (czyli czegoś, czego już nie ma) z Wiosną. Mamy więc stan kompletnej schizofrenii.

Dlaczego tak się stało? Odpowiedź najłagodniejsza dla obecnego (albo już byłego) kierownictwa SLD jest taka, że w ferworze zmian postanowiono iść na skróty. To oczywiście szefów SLD nie rozgrzesza, raczej ich kompromituje. Można też złożyć

żeby nie ulegali manipulacji ze strony kierownictwa SLD, zwłaszcza Włodzimierza Czarzastego. Jego kadencja skończyła się w styczniu 2020 r. I nie podjął działań, żeby odbył się kongres, który wybrałby nowe władze partii, na którym mogliby wystartować inni kandydaci do stanowiska przewodniczącego. Jest przecież jasne, że wszystkie organy pochodzące z wyboru mają kadencję. Wszędzie ta zasada jest przestrzegana, z wyjątkiem SLD. Czarzasty jest pierwszym przewodniczącym SLD pochodzącym z biznesu. Pewnie dlatego prowadzi partię jak prywatną firmę. Jakby ją prywatyzował, zupełnie

Kuriozalnie wygląda sytuacja, że polityk, który lata całe opowiadał, że jest „patriotą SLD”, pierwszy przykład rękę do jego wymazania.

pomijając ciała statutowe. Zwróćmy uwagę – kierownictwo SLD zarzuca PiS łamanie konstytucji, łamanie prawa. A ma bardzo słabe karty, żeby krytykować, bo zaraz usłyszy w odpowiedzi: wpiersi sami przestrzegajcie prawa u siebie!

Miller podkreśla jeszcze jedno: – To próba zakończenia działalności SLD chyłkiem, po cichu, co dla członków Sojuszu powinno być porażające. To jest przecież kawał naszego życia. SLD miał swojego prezydenta, premierów, ministrów, wprowadził Polskę do Unii Europejskiej. I to wszystko ma być zapomniane! Zepchnięte w odmęt niepotrzebnej historii! Nie rozumiem, dlaczego SLD ma być rozwiązany w sposób pokątny. Przecież można to zrobić zgodnie ze statutem!

Czyli zwołując kongres. A gdyby rzeczywiście tak się stało? Jaki byłby jego wynik? Anna-Maria Żukowska twierdzi, że wygryliby

zwolennicy zjednoczenia z Wiosną. – Zdecydowana większość struktur powiatowych (konsultacje odbyły się ze wszystkimi przewodniczącymi powiatów i we wszystkich województwach) opowiada się za zjednoczeniem.

– Zjednoczenie jest przesądzone. List Millera nic tu nie zatrzyma – to z kolei opinia innego bliskiego Czarzastemu polityka. Leszek Miller natomiast dopuszcza niespodziankę. – Ludzie w regionach nie mają nic z tego, że SLD jest w Sejmie. Nikt z nimi nie rozmawia, nie pracuje. Mogą więc być niespodzianki.

Inni nasi rozmówcy wskazują, że SLD jako partia przeżywa kryzys, że gasną jego struktury, ograniczają się do działaczy funkcjonujących w samorządach i niewielkiej grupie do tego aspirujących. Potrzebuje więc impulsu. Tylko jakiego?

Jeśli bowiem oceniać według sondaży, impuls Czarzastego, który opowiada, że ma dość starych działaczy, że chce odmłodzić SLD, zmienić tam wszystko, łącznie z szyldem, nie działa. Nawiasem mówiąc, on sam ma 60 lat, trudno więc go przedstawiać jako symbol młodości. Poza tym kuriozalnie wygląda sytuacja, że

polityk, który lata całe opowiadał, że jest „patriotą SLD”, pierwszy przykład rękę do wymazania Sojuszu.

I tak zamiast impulsów mamy w SLD klótnię. O to, czy w ogóle taka partia jeszcze jest. – To mój apel do zarządu krajowego, żeby był bardziej samodzielny, żeby nie dał się czarować – mówi o swoim liście Leszek Miller. – Sprawa będzie przecież miała dalszy ciąg.

Z kolei Anna-Maria Żukowska pyta, jaki jest stosunek SLD do listu Leszka Millera z 7 października i czy były dwukrotny przewodniczący otrzyma odpowiedź, komentuje zimno: – Stosunek Nowej Lewicy, dawniej SLD, jest neutralny. Pan Leszek Miller wysłał swój list do poszczególnych członków zarządu partii, zatem to od indywidualnych decyzji poszczególnych członków zależy, czy coś mu odpiszą.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Historia pewnej habilitacji

Przemysław Czarnek w pracy habilitacyjnej traktuje poglądy Balcerowicza z najwyższą atencją

Bogusław Markowski

23 czerwca 2015 r. Rada Wydziału Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego nadała dr. Przemysławowi Czarnkowi stopień naukowy doktora habilitowanego w dyscyplinie naukowej prawo. Uchwałę tę poprzedziło kilkumiesięczne postępowanie habilitacyjne, które pod pewnymi względami było dosyć nietypowe.

W 2015 r. obowiązywała nieco inna procedura habilitacyjna niż obecnie. Stopień naukowy nadawała uprawniona rada wydziału po pozytywnej rekomendacji komisji habilitacyjnej powołanej przez Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów, nazywaną dalej skrótowo CK. Pierwszą osobliwością postępowania habilitacyjnego dr. Czarnka był skład komisji habilitacyjnej. Racjonalnie zazwyczaj działająca CK tym razem wyznaczyła na jednego z recenzentów dr. hab. Dariusza Dudka – promotora pracy magisterskiej i doktorskiej Przemysława Czarnka. Nie jest to zabronione, ale od lat niespotykane, trudno wtedy bowiem o obiektywną ocenę dorobku habilitanta. Z podobnych powodów sekretarzem komisji nie powinien być dr hab. Rafał Biskup, nieco starszy kolega habilitanta z KUL, którego prace Przemysław Czarnek da-



dlaczego Przemysław Czarnek, wyznający tak liberalne poglądy gospodarcze, zgodził się być wojewodą w etatystycznym państwie PiS?

dotyczyła co prawda wolności gospodarczej, ale ściśle wpisywała się w domenę prawa konstytucyjnego. W Polsce jest wielu wybitnych prawników specjalizujących się w prawie konstytucyjnym, tymczasem w skład

czterech neurologów, ginekolog, psychiatra i tylko jeden laryngolog, będący mentorem habilitanta.

Naukowcy rozpoczynający postępowanie habilitacyjne powinni mieć pewien dorobek piśmienniczy i/lub wynalazczy, uzyskany po doktoracie. Dorobek naukowy Przemysława Czarnka w momencie rozpoczęcia tego postępowania był znikomy i taki pozostał. W jego dorobku piśmienniczym dominują artykuły opublikowane w mało znanym kwartalniku „Cywilizacja”, wydawanym przez lubelską Fundację Servire Veritati – Instytut Edukacji Naukowej. Nie jest to w żadnej mierze czasopismo naukowe. Oprócz artykułów w „Cywilizacji” są jeszcze prawne komentarze praktyczne, hasła w encyklopediach katolickich, noty biograficzne itd., trudno więc temu przypisać charakter naukowy. Zdumienie budzi również zaliczenie do dorobku naukowego tłumaczenia streszczeń artykułów naukowych. Wśród prac habilitanta

nie można znaleźć ani jednej pozycji opublikowanej w liczącym się naukowym czasopiśmie prawniczym. Nie przedstawił on też spisu cytoowań swoich prac, co jest wymagane. Czarnek stwierdził jedynie: „Mogę określić liczbę przypisów (cytoowań) odnoszących się do moich publikacji (w tym współredagowanych przeze mnie monografii) na co najmniej 21”. Po pierwsze, mała liczba cytowań prac Czarnka świadczy o tym, że są one praktycznie niedostrzegane.

Po drugie, artykuły habilitanta mogły być cytowane przez jego najbliższe otoczenie naukowe, co także wskazywałoby, że nie zyskały szerszego oddźwięku. Po trzecie, manipulacją jest uwzględnienie w cytowaniach

Czarnek pisze: „W warunkach społecznej gospodarki rynkowej zadaniem państwa w pierwszej kolejności jest troska o przedsiębiorcę”.

rzy „szczególną atencją”, jak napisał jeden z recenzentów.

Wybór innych członków komisji również był zaskakujący. Monografia przedstawiona przez Czarnka jako jego osiągnięcie habilitacyjne

komisji weszło czterech specjalistów od prawa gospodarczego, jeden od prawa finansowego i jeden od prawa karnego, a jako jedyny „konstytucjonalista” – Dariusz Dudek. To tak, jakby habilitację z laryngologii oceniało

odniesień do monografii współredagowanych przez Czarnka. Redagowanie monografii nie jest dorobkiem piśmienniczym, a cytowania odnoszą się nie do jej redaktorów, lecz do autorów prac zamieszczonych w monografii. Zresztą zaliczanie współredagowania monografii do dorobku piśmienniczego jest nieporozumieniem. Podsumowując, pracownicy naukowcy z tak małym dorobkiem badawczym na ogół nie ośmielają się nawet myśleć o wszczęciu postępowania habilitacyjnego.

Poglądy społeczne Przemysław Czarnka są obskurantyczne, zgodne z poglądami dużej liczby członków i zwolenników Prawa

i Sprawiedliwości. Natomiast jego poglądy dotyczące gospodarki, wyrażone w monografii habilitacyjnej „Wolność gospodarcza – pierwszy fi-

Pracownicy naukowcy z tak małym dorobkiem jak Czarnek nie ośmielają się myśleć o wszczęciu postępowania habilitacyjnego.

lar społecznej gospodarki rynkowej”, są ordoliberalne. Ordoliberalizm postuluje wręcz balcerowiczowską koncepcję wolnego rynku. Zresztą, jak zauważył jeden z recenzentów, w swojej monografii habilitant traktuje prace Balcerowicza z najwyższą atencją. Ten sam recenzent stwierdził również, że cechą charakterystyczną monografii habilitacyjnej jest „absolutyzowanie przez Autora wolności

gospodarczej, z kilkakrotnym i przesadnym akcentowaniem dążenia do zysku jako motoru przedsiębiorczości jednostki ludzkiej”. Troska

o dobro przedsiębiorców przewija się przez całą monografię, co potwierdza choćby następujący cytat: „W warunkach społecznej gospodarki rynkowej zadaniem państwa w pierwszej kolejności jest troska o przedsiębiorcę”.

Recenzje habilitacji są dosyć krytyczne, ale w końcowych konkluzjach – pozytywne. Bardzo osobliwa jest recenzja Dariusza Dudka. Czuł się on zapewne niekomfortowo w roli recenzenta dorobku swojego ucznia i napisał bardzo szczegółową, 43-stronicową opinię. Była to chyba najdłuższa recenzja, jaka kiedykolwiek wpłynęła do CK, znacznie dłuższa niż autoreferat Czarnka opisujący jego osiągnięcia naukowe. W wielu miejscach autor tej opinii imponować może erudycją, jednak recenzja jest wewnętrznie sprzeczna. Po

Czarnek musiał się stać hunwejbinem „dobrej zmiany”, aby zmaść grzech liberalnego myślenia o gospodarce.

licznych pochwałach, np. „Wywody książki są w łwiej części merytorycznie bezbłędne”, autor poddaje tezy postawione przez Czarnka surowej krytyce, co więcej, wielokrotnie po prostu z niego kpi. Wygląda, jakby Dudek miał wyrzuty sumienia, że uczestniczy w tej nikczemnej z punktu widzenia etyki procedurze.

Na końcu należy sobie zadać pytanie, dlaczego wyznający tak liberalne poglądy gospodarcze Czarnek zgodził się być wojewodą w etatystycznym państwie PiS. Możliwe są dwie przyczyny: albo doznał olśnienia jak św. Paweł w drodze do Damaszku, albo jest po prostu cynicznym oportunistą. Jedno jest pewne, Czarnek musiał się stać hunwejbinem „dobrej zmiany”, aby zmaść grzech liberalnego myślenia o gospodarce i dzięki temu zaistnieć w środowisku PiS.



**CENTRALNA KOMISJA
DO SPRAW STOPNI I TYTUŁÓW**

Pałac Kultury i Nauki
00-901 Warszawa

Nr BCK - I - L - 7416/14
499

Warszawa, dnia 13 stycznia 2015r.
tel. 022 626-82-38
tel./ fax. 022 656-63-28
e-mail: kancelaria@ck.gov.pl

Dziekan
Wydziału Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji
Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
Jana Pawła II

Energia i prawo

Centralna Komisja do Spraw Stopni i Tytułów na podstawie art. 18 a ust. 5 ustawy z dnia 14 marca 2003 r. o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki (Dz.U. z 2003 r., nr 65, poz. 595; Dz.U. z 2005 r., nr 164, poz. 1365; Dz.U. z 2011 r., nr 84, poz. 455), zwana dalej ustawą, informuje, iż w dniu 13 stycznia 2015r. powołała komisję habilitacyjną, w skład której wchodzi:

1. przewodniczący komisji – prof. Anna Walaszek-Pyziol – Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, *prof. od 1995 r. prawo*
2. sekretarz komisji – dr hab. Rafał Biskup – Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II,
3. recenzent – dr hab. Andrzej Powalowski – Uniwersytet Gdański,
4. recenzent – dr hab. Karol Kiczka – Uniwersytet Wrocławski,
5. recenzent – dr hab. Dariusz Dudek – Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, *prawo*
6. członek komisji – dr hab. Eryk Kosiński – Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, *finansowe*
7. członek komisji – dr hab. Krzysztof Wiak – Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, *prawo karne*

w celu przeprowadzenia postępowania habilitacyjnego dr. Przemysław Czarnka, wszczętego w dniu 13 listopada 2014r., w dziedzinie nauk prawnych, w dyscyplinie prawo.

Jednocześnie zwracamy się do Rady Wydziału Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II z uprzejmą prośbą o powiadomienie, w imieniu Centralnej Komisji, ww. osób o powołaniu ich w skład przedmiotowej komisji oraz o przekazanie dokumentacji Kandydata.

W załączeniu Centralna Komisja przekazuje dokumentację, o której mowa w art. 18a ust. 1 ustawy, w formie papierowej.

Do wiadomości:
- dr Przemysław Czarnek 50,

nałeno stopni
23 marca 2015

Coraz bliżej do szczepionki

Jest nadzieja, że w przyszłym roku będą co najmniej cztery sprawdzone szczepionki przeciw SARS-CoV-2

Marek Czarkowski

To wyścig o prestiż i niewyobrażalne pieniądze. Stawką jest życie milionów ludzi, którzy umrą, jeśli pandemia COVID-19 nie zostanie opanowana. W walkę z nią zostały zaangażowane ogromne środki i najtęższe umysły.

Według Światowej Organizacji Zdrowia prace nad szczepionką przeciw koronawirusowi SARS-CoV-2 prowadzone są na świecie w 193 instytucjach. Naukowcy, politycy i zwykli ludzie mają nadzieję, że dopuszczenie w krótkim czasie do masowego stosowania choć jednej z opracowywanych szczepionek ograniczy koszty globalnego kryzysu i sprawi, że nasze życie wróci do normalności.

Prace nad szczepionką przeciw koronawirusowi prowadzone są na świecie w 193 instytucjach.

Niezbędne działania, których celem było opanowanie pandemii, zostały podjęte bardzo szybko. Już z początkiem marca br., zanim jeszcze Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła stan pandemii, administracja prezydenta Trumpa rozpoczęła prace nad programem Operation Warp Speed – partnerstwa publiczno-prywatnego, którego celem było nie tylko przyspieszenie prac nad badaniami, produkcją i dystrybucją szczepionek zwalczających SARS-CoV-2, ale także rozwój narzędzi diagnostycznych i terapeutycznych.

27 marca br. Kongres przeznaczył na ten cel prawie 10 mld dol., wpisując go do ustawy o pomocy i bezpieczeństwie gospodarczym. Oficjalnie Operation Warp Speed ruszyła 15 maja. W jej realizację zostały zaangażowane m.in. Departament Zdrowia i Opieki Społecznej, Departament Obrony, Urząd Zaawansowanych Badań i Rozwoju Biomedycznego, największe amerykańskie koncerny

farmaceutyczne, a nawet Departament Rolnictwa i Departament ds. Weteranów. Przyjęto założenie, że do końca 2020 r. Stany Zjednoczone będą miały co najmniej jedną skuteczną, masowo produkowaną szczepionkę.

W Europie koordynacją działań, których celem było sfinansowanie badań nad szczepionką, a następnie uruchomienie produkcji i dystrybucji, zajęła się Komisja Europejska. Podobnie jak USA już w marcu przeznaczyła na ten cel 37 mld euro. Szybko też zaczęły się negocjacje z koncernami farmaceutycznymi i spółkami, które miały szanse na opracowanie skutecznej szczepionki. Miała ona się pojawić w Europie na początku 2021 r.

Rosja początkowo nie informowała o podjętych krokach. W czerwcu i lipcu do mediów przeciekły skąpe

informacje, że prace nad szczepionką prowadzone są w Narodowym Centrum Badań Epidemiologii i Mikrobiologii im. N.F. Gamaleja oraz w Państwowym Centrum Badawczym Wirusologii i Biotechnologii Vector w Kolcowie koło Nowosybirsk.

W Chinach w badania zaangażowanych zostało co najmniej kilkadziesiąt spółek, instytucji oraz instytutów naukowych. Dziś, według danych Światowej Organizacji Zdrowia, Sinovac Biotech, Sinopharm Group, Beijing Bio-Institute of Biological Products, CanSino Biologics, Fosun Pharma, Wuhan Institute of Biological Products oraz Beijing Institute of Biotechnology, występując samodzielnie lub jako członkowie konsorcjum, dysponują kilkoma szczepionkami w III fazie badań klinicznych. A co najmniej jedną z nich – szczepionkę produkowaną przez Sinopharm – za zgodą rządu podano tysiącom pracowników służby zdrowia.

To niewyobrażalne tempo prac. Jak dotąd najszybciej opracowaną

szczepionką była ta przeciw śwince koncernu Merck, o nazwie Mumps-vax, wprowadzona na rynek w roku 1967. Prace nad nią trwały cztery lata. Zazwyczaj od rozpoczęcia badań do uzyskania rejestracji szczepionki i wprowadzenia jej na rynek mija 10-15 lat. A tu wszystko ma być gotowe w ciągu 12-18 miesięcy!

Jak się robi szczepionkę?

Potrzebne są ogromne pieniądze. Europejskie i amerykańskie miliardy to nie wszystko. W ostatnich dniach Bank Światowy podjął decyzję o uruchomieniu linii kredytowej o wartości 14 mld dol. dla państw rozwijających się na zwalczanie pandemii koronawirusa. W praktyce na zakup szczepionek i budowę infrastruktury niezbędnej, by zaszczepić część populacji.

Komisja Europejska podpisała wielomiliardowe umowy na przyszłe dostawy szczepionki m.in. z konsorcjum AstraZeneca/Uniwersytet Oksfordzki oraz niemieckim start-upem CureVac. Stany Zjednoczone poszły szerzej. W czerwcu br. zawarto umowę o wartości 1,2 mld dol. z konsorcjum AstraZeneca/Uniwersytet Oksfordzki. W tym samym czasie 483 mln dol. trafiły do amerykańskiej spółki Moderna. W lipcu obiecano firmie Novavax 1,6 mld dol., jeśli badania kliniczne zakończą się sukcesem i wyprodukuje ona 100 mln dawek szczepionki, nad którą pracuje. Wartość 2 mld dol. zamówienia rządowe trafiły do koncernu Pfizer oraz spółki BioNTech, które mają wyprodukować kolejne 100 mln dawek szczepionki, jeśli okaże się ona bezpieczna i skuteczna. Także koncerny Sanofi i GSK mogą liczyć na 2,1 mld dol. z Operation Warp Speed. Wielkie nadzieje związane są ze szczepionką opracowaną przez firmę Johnson & Johnson (Janssen Pharmaceutica). Amerykańska administracja wpompowała w ten projekt badawczy 1 mld dol.



Badania nad szczepionką w laboratorium Janssen Pharmaceutica w Beerse należącym do koncernu Johnson & Johnson.

Rząd rosyjski okazał się bardziej oszczędny. Kwotą liczoną w setkach milionów rubli sfinansował prace Narodowego Centrum Badań Epidemiologii i Mikrobiologii im. N.F. Gamaleja. 11 sierpnia prezydent Władimir Putin ogłosił, że w Rosji została zarejestrowana pierwsza na świecie szczepionka o nazwie Sputnik V. Wykorzystuje ona osłabioną wersję zwykłego adenowirusa wywołującego przeziębienie do wprowadzenia białka szczytowego koronawirusa SARS-CoV-2 do organizmu człowieka. Szczepionka wymaga drugiego podania po 21 dniach dla wzmocnienia reakcji immunologicznej. Rosjanie

w Państwowym Centrum Badawczym Wirusologii i Biotechnologii Vector w Kolcowie koło Nowosybirska. W internecie można znaleźć informacje, że kontrolę nad nimi przejęła armia rosyjska i wszystko zostało utajnione.

Europa Środkowo-Wschodnia i Zachodnia czekają na wyniki prac koncernu AstraZeneca i uczonych z Oksfordu. Ich szczepionka o roboczej nazwie AZD1222 jest w fazie testów. W oficjalnych dokumentach Światowej Organizacji Zdrowia jedną z osób kierujących badaniami klinicznymi jest dr Magdalena E. Sobieszczyk z Uniwersytetu Columbia.

We wrześniu badania III fazy klinicznej prowadzone z udziałem 50 tys. wolontariuszy z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Brazylii i Afryki Południowej zostały zawieszone, po tym jak jeden z nich zachorował. Gdy ustalono, że przypadek ten nie miał nic wspólnego ze szczepionką, badania zostały wznowione. Po obu stronach Atlantyku wiązane są z nią wielkie nadzieje. Wszystko wskazuje, że stanie się ona skuteczną bronią przeciw SARS-CoV-2.

W Stanach Zjednoczonych jednym z największych graczy jest koncern Pfizer, jego szczepionka nosi nazwę BNT162b2. Do współpracy zaprosił niemiecką firmę biotechnologiczną BioNTech. Amerykanie chcą skorzystać z opracowanej w Moguncji technologii służącej do produkcji eksperymentalnych szczepionek przeciwnowotworowych.

Testy łączące II i III fazę badań klinicznych rozpoczęły się 27 lipca br. i objęły 44 tys. wolontariuszy z różnych krajów. Wstępne wyniki wskazują, że szczepionka skutecznie stymuluje wytwarzanie przeciwciał i jest bezpieczna. Kierownictwo koncernu Pfizer ma nadzieję, że na przełomie 2020 i 2021 r. możliwa będzie kompleksowa ocena wyników dotychczasowych badań, a do końca 2021 r. będzie można wyprodukować

Kongres amerykański przeznaczył na prace nad szczepionką prawie 10 mld dol., Komisja Europejska – 37 mld euro.

twierdzą, że wytwarza ona przeciwciała i jest skuteczna. 12 sierpnia br. rozpoczęto III fazę badań klinicznych. Dyrektor Centrum im. Gamaleja, akademik Aleksander Ginzburg, powiedział w wywiadzie telewizyjnym, że zostanie ona podana 40 tys. ochotników. Rosjanie niedawno ogłosili, że dostarczyli jej partię na Białoruś i mają podpisane umowy z Indiami, Brazylią i kilkunastoma innymi krajami.

Nie wiadomo, czym zakończyły się prace nad szczepionką prowadzone

Szczegółowy opis szczepionki znajdziemy w czasopiśmie „The Lancet”. Składa się ona z pozbawionego możliwości replikacji małego wektora adenowirusowego ChAdOx1, zawierającego pełnej długości strukturalną glikoproteinę powierzchniową (białko szczytowe) koronawirusa SARS-CoV-2. Pod tym względem przypomina rosyjską szczepionkę Sputnik V. I daje zbliżone efekty uboczne – niektórzy ochotnicy rosyjscy i brytyjscy odczuwali ból głowy.

► i dostarczyć do odbiorców 1,3 mld dawek szczepionki.

Do niedawna liderem w tym wyścigu był koncern Johnson & Johnson. Jego szczepionka występowała pod nazwą JNJ-78436735. Tworzący ją naukowcy wprowadzili fragment RNA koronawirusa SARS-CoV-2 do zwykłego adenowirusa wywołującego przeziębienie, który został wcześniej genetycznie zmodyfikowany, tak by nie mógł się replikować w organizmie. Firma wykorzystała w tym celu własną technologię, opracowaną w trakcie badań nad szczepionką przeciw eboli.

W lipcu br. na łamach magazynu „The Nature” został opublikowany raport, z którego wynikało, że szczepionka zapewnia prawie całkowitą ochronę już przy jednej dawce. 23 września koncern Johnson & Johnson ogłosił, że rozpoczyna III fazę badań klinicznych w celu oceny jej skuteczności i bezpieczeństwa. Miało w nich uczestniczyć 60 tys. osób z różnych krajów i w różnym wieku. 12 października br. ukazał się komunikat o wstrzymaniu badań z powodu niewyjaśnionej choroby jednego z wolontariuszy. Nie ujawniono żadnych szczegółów. Stało się jasne, że prezydent Trump, który bardzo liczył na koncern Johnson & Johnson, nie będzie mógł przed listopadowymi wyborami ogłosić, że Stany Zjednoczone mają skuteczny oręż do walki z pandemią.

W o wiele lepszej sytuacji jest chiński przywódca Xi Jinping. Jego kraj dysponuje już szczepionką przeciw koronawirusowi SARS-CoV-2, która zostaje opracowana przez państwową firmę farmaceutyczną Sinopharm Group. 29 września br. magazyn „The New Yorker” opublikował informację, że Sinopharm złożył wniosek do chińskiej komisji regulacyjnej o zatwierdzenie szczepionki, która ma się pojawić na rynku w październiku. Podkreślono przy tym, że wiadomo o tysiącach Chińczyków, którzy już w lipcu, za zgodą władz, zostali zaszczepieni. Byli to głównie pracownicy medyczni i przedstawiciele służb, a nie wolontariusze uczestniczący w typowych badaniach klinicznych III fazy. Jednocześnie Sinopharm rozpoczął takie badania na 15 tys. ochotników mieszkających

w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Planuje też zaszczepić wolontariuszy z Bahrajnu i Peru.

Chińskie spółki stały się aktywne na terenie Ameryki Południowej. 6 lipca Sinovac Biotech ogłosiła, że wspólnie z Instituto Butantan z São Paulo, producentem leków immunobiologicznych i szczepionek, rozpoczyna badania kliniczne III fazy szczepionki o nazwie CoronaVac w Brazylii.



Jedną z osób kierujących badaniami klinicznymi szczepionki AstraZeneca i Uniwersytetu Oksfordzkiego jest dr Magdalena E. Sobieszczyk z Uniwersytetu Columbia.

Celem jest zaszczepienie 9 tys. wolontariuszy – pracowników 12 szpitali na terenie całego kraju. Na razie nic nie wiemy o wynikach tych badań.

Beijing Bio-Institute of Biological Products, China National Biotec Group wspólnie z argentyńskimi partnerami, Fundación Huésped oraz Laboratorio Elea Phoenix, uzyskały zgodę na przeprowadzenie III fazy testów klinicznych w tym kraju. Badania mają się zakończyć w grudniu 2021 r. Wydaje się, że na razie nawet się nie rozpoczęły. O postępach prac prowadzonych przez Wuhan Institute of Biological Products oraz Beijing Institute of Biotechnology niewiele wiadomo. Jeśli uda im się opracować skuteczną szczepionkę przeciw

koronawirusowi, to nie pędź jej w roku przyszłym.

Wszystko wskazuje zatem, że w 2021 r. świat będzie dysponował co najmniej czterema sprawdzonymi, bezpiecznymi i dopuszczonymi do obrotu szczepionkami przeciw SARS-CoV-2. Zostaną one rozdysponowane w następujący sposób: Europa będzie miała swoją szczepionkę, opracowaną najprawdopodobniej przez koncern AstraZeneca i naukowców z Oksfordu. Rosja wykorzysta szczepionkę Sputnik V i dostarczy ją Indiom, Białorusi, niektórym krajom afrykańskim i południowoamerykańskim. Chińczycy zapewnią ją swoim obywatelom, a Amerykanie swoim.

Lek na COVID-19 – nadzieje i rozczarowania

W tej dziedzinie toczy się równie efektywna rywalizacja między firmami. Nie ma mowy o szybkim znalezieniu nowej substancji czynnej i uruchomieniu produkcji nowego, oryginalnego leku, ponieważ ten proces trwałby nawet 10 lat i kosztował miliardy dolarów. Naukowcy szukają leku na COVID-19 wśród znanych, zarejestrowanych specyfików, które można by natychmiast podać chorym, co czasem prowadzi do zbyt optymistycznych wniosków i decyzji. Klasycznym przykładem jest historia chlorochiny, w Polsce znanej pod nazwą handlową Arechin, która w marcu br. została przyjęta entuzjastycznie, a Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych błyskawicznie wpisał do jej charakterystyki „leczenie wspomagające w zakażeniach koronawirusami typu beta, takimi jak SARS-CoV, MERS-CoV i SARS-CoV-2”. Arechin jednak, jak się okazało, może powodować arytmie serca, co w konsekwencji prowadzi do zgonu pacjenta. Dziś chlorochina to historia w leczeniu COVID-19. Podobnie jak hydroksychlorochina (promowana przez prezydenta Trumpa) i azytromycyna, które testowano z nadzieją na przełom w leczeniu ofiar pandemii.

Wielu lekarzy specjalistów zwraca uwagę na rekomendowany przez naukowców z Oksfordu dexametazon – pierwszy steryd, jeszcze z lat 60. Brytyjczycy ogłosili na początku czerwca,

że skutecznie zmniejsza on ryzyko śmierci, ale są nowocześniejsze leki, takie jak medrol, bezpieczniejszy dla chorych, gdyż podaje się go w mniejszych dawkach.

Uważano, że jedynym skutecznym lekiem, który mają do dyspozycji lekarze w szpitalach, jest remdesivir. Stosowany w leczeniu ofiar eboli miał także się sprawdzać w COVID-19. Dlatego szybko zarejestrowano go zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Jednak w ubiegłym tygodniu Światowa Organizacja Zdrowia poinformowała, że skuteczność tego leku „jest rozczarowująca”. Jak wynika z badań WHO, remdesivir ma „mały lub żaden wpływ na śmiertelność wśród pacjentów hospitalizowanych” z powodu COVID-19 i nie pomaga zakażonym koronawirusem szybko wracać do zdrowia.

Na początku lipca br. hiszpański dziennik „El Mundo” podał, że produkowany przez spółkę Pharma

Mar aplidin ma 80 razy większą skuteczność niż remdesivir. Jednak jest z nim problem – początkowo miał być stosowany w leczeniu szpiczaka mnogiego, nowotworu układu krwiotwórczego, lecz Hiszpańska Agencja Leków odmówiła w maju jego rejestracji. Dopuszczono go za to w Australii. Współpracująca z Hiszpanami

Tempo prac nad szczepionką na koronawirusa jest niewyobrażalne.

południowokoreańska spółka Boryung Pharmaceutical zapowiedziała, że pierwsze testy aplidinu na pacjentach ruszą w tamtejszych szpitalach jeszcze w tym roku. Może się okazać, że efekty będą pozytywne.

Sensacją ostatnich tygodni jest „koktajl” przeciwciał firmy Regeneron Pharmaceuticals, którym leczono prezydenta Trumpa. Gdy poczuł się lepiej, w nagrany występ

telewizyjnym promował ów „koktajl” jako lekarstwo na COVID-19. Niektórym dziennikarzom wydało się to podejrzane, gdyż prezydent wcześniej wykazał niezdrowy entuzjazm dla przeciwmalarycznej hydroksychlorochiny oraz środka dezynfekującego stosowanego do czyszczenia toalet. Tym razem było inaczej. Specyfik wyprodukowała poważna amerykańska spółka z siedzibą w Tarrytown w stanie Nowy Jork o rocznych przychodach ponad 7 mld dol. Lekarze z uwagą obserwowali proces leczenia Trumpa, gdyż podobny lek ma w ofercie amerykański koncern Eli Lilly.

Wydawać by się mogło, że o takiej reklamie można tylko pomarzyć. Tymczasem prezes Regeneron Pharmaceuticals Leonard Schleifer w wywiadzie udzielonym CBS News ostrzegał przed wyciąganiem pochopnych wniosków. „Przypadek prezydenta to jednostkowy przypadek, dowód na to, że coś się dzieje, ale to najłabszy dowód, jaki można uzyskać w badaniach”.

Jakże różni się jego postawa od tej prezentowanej przez dziennikarzy i przedsiębiorców nad Wisłą. Wspomnę tylko entuzjastyczne tytuły „Wyprodukowano pierwszy na świecie lek na COVID-19”. Chodziło o lubelski Biomed i jego immunoglobulinę anty-SARS-CoV-2. Tymczasem czekają ten specyfik badania kliniczne, które pozwolą na ustalenie, czy faktycznie mamy do czynienia z lekiem. Zresztą produkcja leków z krwi ozdrowieńców nie jest niczym nowym. W Stanach Zjednoczonych jest ona zakazana. W dodatku spółka najwyraźniej nie ma szczęścia, gdyż ledwo podpisała umowę z Wojskowym Instytutem Higieny i Epidemiologii w Warszawie dotyczącą współpracy w zakresie działalności badawczo-rozwojowej, a już dyrektorem instytutu zajęli się funkcjonariusze CBA. Miał on przywłaszczyć sobie testy na SARS-CoV-2.

To kolejny dowód, jak daleko nam do liderów. Niestety, w sprawie leków na COVID-19 czy szczepionek nie możemy niczego osiągnąć. Pozostaje mieć nadzieję, że zrobią to za nas inni.

Fazy badań klinicznych

By uzyskać dopuszczenie do obrotu nowego leku, firmy farmaceutyczne muszą wykazać, że spełnia on wymogi bezpieczeństwa, jakości i skuteczności. W tym celu lek podawany jest ochotnikom w serii rygorystycznych badań, zwanych badaniami klinicznymi, studiami badawczymi albo badaniami medycznymi. Badania te muszą być prowadzone zgodnie z regułami Dobrej Praktyki Klinicznej (Good Clinical Practice – GCP).

Jest pięć faz badań klinicznych:

Faza 0 – badania wstępne, których celem jest uzyskanie w krótkim czasie informacji dotyczących farmakologii potencjalnego leku oraz zdolności pokonywania barier fizjologicznych w organizmie. Używa się niskich dawek badanej substancji leczniczej oznakowanych izotopami. Uczestniczy w tym od 10 do 15 zdrowych ochotników.

Faza I – badanie ma na celu przede wszystkim ocenę bezpieczeństwa stosowania testowanego środka. Dąży się też do określenia dawki badanej substancji leczniczej, która będzie stosowana w fazie II i III badań klinicznych. Badania są prowadzone na populacji 20-50 zdrowych ochotników, w specjalnie przystosowanych ośrodkach badawczych bądź ośrodkach należących do instytucji naukowych czy firm farmaceutycznych.

Faza II – po pozytywnym wyniku fazy I można przejść do dalszych badań. Chodzi w nich o ostateczne określenie dawkowania badanego produktu. Badania te prowadzone są na grupie 50-500 pacjentów cierpiących na dane schorzenie i mogą trwać nawet kilka lat. Po uzyskaniu wyników przeprowadza się analizę, której celem jest określenie relacji korzyści terapeutycznych do ryzyka. Jeśli wypadnie pozytywnie, można przejść do fazy III.

Faza III – badana jest skuteczność i bezpieczeństwo produktu leczniczego, a także interakcje między środkiem leczniczym a innymi lekami oraz efekty długotrwałego stosowania. Badania te często prowadzone są w wielu krajach i obejmują tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy osób. Średnio trwają od trzech do pięciu lat. Jeśli wynik jest pozytywny, dochodzi do rejestracji produktu leczniczego, który staje się lekiem.

Faza IV – badania porejestacyjne mają na celu potwierdzenie skuteczności i bezpieczeństwa leku poprzez jego długotrwałe przyjmowanie. Badania te prowadzone są na dużej populacji, w związku z tym jest większa możliwość wykrycia działań niepożądanych.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Noszenie maseczek
na terenie szkoły
jest dobrowolne.



Beata Igielska

Odptyw czy dopływ?

Pandemia w szkołach niepublicznych
pokazała zarówno odpływ uczniów do szkół
publicznych, jak i napływ z publicznych.

Który trend weźmie górę?

COVID-19 jest jak gra w ruletkę, na kogo wypadnie, na tego bęc. Padło więc na przyszłego ministra edukacji, Przemysława Czarńka, u którego potwierdzono zakażenie, i na jeszcze obecnego, Dariusza Piontkowskiego, który musi przejść kwarantannę, bo spotkał się z Czarńkiem. W szkołach i bez tych doniesień było nerwowo.

Bo czego boją się najbardziej niepubliczne placówki? Tego samego co publiczne – przypadku zakażenia. I chodzi o lęk nie przed koronawirusem, lecz przed całym tym zamieszaniem z odsyłaniem szkoły na kwarantannę itp. To właśnie niepewność jutra najbardziej szarpie psychicznie dyrektorów.

Na kogo wypadnie, na tego bęc! Wypadło też na szkołę kierowaną przez Jarosława Pytlaka, działacza edukacyjnego, od 1990 r. dyrektora szkół STO na warszawskim Bemowie. Zakażony jest jeden nauczyciel. W myśl obecnych zasad sanepid zazwyczaj nie odsyła na kwarantannę całych szkół. Dyrektor uzyskał zgodę na nauczanie zdalne w trzech klasach. Kwarantanna potrwa jedynie cztery dni i obejmie w sumie ok. 50 uczniów i nauczycieli oraz ich domowników.

Mimo tych lęków i niedogodności decyzję o powrocie dzieci do szkół za słuszną uważa 80% badanych,

krytycznie ocenia ją 14%. Takie wyniki przyniosło badanie CBOS „Rząd wobec epidemii – oceny we wrześniu”. Z kolei dyrektorzy szkół niepublicznych zdają sobie sprawę, że gdyby ministerstwo pozwoliło im na całkowitą niezależność, wielu na wszelki wypadek uciekłoby w edukację hybrydową.

Wszystko byłoby w tej pandemii prostsze, gdyby była dobra komunikacja z MEN, powtarzają jak echo. Wskazują przy tym ponure zwycięstwo Anny Zalewskiej – dzieci mają czas już tylko na naukę i na nic innego. Czy o to chodziło? Ale, co ciekawe i jednocześnie przykre, rodzice siłą przyzwyczajenia chcą zwykłej pruskiej szkoły: z podziałem na 45-minutowe lekcje, dzwonekami, ocenami, zakuwaniem. Jak przed 200 laty, mimo że świat pędzi do przodu. Teraz większość szkół, czy to publicznych, czy niepublicznych, zlikwidowała dzwoneki, uelastyczyła

czas przerw, plan lekcji ułożyła tak, by zajęcia odbywały się w dwugodzinnych blokach. Przerwami trzeba bowiem żonglować, by nie było korków na korytarzu i kolejek do toalet.

Cyfryzację większość szkół niepublicznych wprowadzała od dobrych pięciu lat, więc przejście na naukę zdalną nie zaskoczyło ich tak jak szkół publicznych. Po zamknięciu szkół przez MEN po prostu przeniosły zajęcia do internetu. Nie wszystkie w całości, bo część dyrektorów uznała za absurd posadzenie dzieci na pięć-sześć godzin przed komputerem. Przecież nawet nastolatek nie powinien spędzać w ten sposób więcej niż trzech godzin dziennie, a co dopiero małe dziecko.

Niezbýt różowo

– No, niestety, sporo ludzi chce przepisać dzieci do szkół publicznych, odżywają się finansowe skutki

pandemii. Boimy się. Rekrutację do młodszych klas mieliśmy zamkniętą jeszcze przed ogłoszeniem pandemii. Ale z tego, co widzę, nie we wszystkich szkołach niepublicznych w Warszawie jest dobrze. Będą kłopoty – mówi anonimowo dyrektor

Dyrektorzy szkół bardziej niż koronawirusa boją się zamieszanego z odsyłaniem szkoły na kwarantannę.

prywatnej szkoły podstawowej w stolicy. Zapewnia, że na długo przed pandemią mieli dobrze funkcjonującą platformę internetową, na której prowadzili projekty. – Dlatego po dwóch dniach od zamknięcia szkół, nie czekając na rozporządzenie, przeszliśmy na nauczanie zdalne, codziennie łączyliśmy się z uczniami. Ale wszystko z rozsądkiem. Gdybyśmy cały plan przenieśli do internetu, dzieci byłyby zmęczone i nie skorzystałyby z lekcji. Dzięki naszemu podejściu rodzice byli bardzo zadowoleni, gdy porównywali sytuację z innymi szkołami, gdzie nawet do połowy maja nauczyciele porozumiewali się z uczniami za pomocą mejli. Mówiąc krótko, tamte dzieci mają dwa miesiące edukacji w plecy. Dziś już widzę, jak duże będzie różnicowanie w poziomie edukacji. I nie myślę tu tylko o szkołach publicznych. Również niepubliczne szkoły, choćby nie wiem jak się starały, nie dokonają cudów, poziom uczniów nie będzie taki sam jak w czasie nauki stacjonarnej. Po prostu nauka online nie jest tak efektywna. Teraz próbujemy usuwać rumowisko, które powstało w kontaktach rówieśniczych, relacjach społecznych, kształtowaniu wzorców zachowań. Łatwo nie jest, skoro niektóre dzieci przez pół roku grały na konsoli. W mojej szkole uczy się 250 dzieci, maksymalnie 18 uczniów w klasie. Każdego dnia drzę, czy nie zadzwoni sanepid. Robię, co mogę. Dzieci u nas chodzą bez maseczek, bo doszliśmy do wniosku, że ten wymóg w szkole podstawowej jest bzdurą. Podzieliliśmy za to szkołę na sektory, w których przebywają poszczególne grupy, by się nie mieszać, przerwy są wymienne. Ale i tak, jeżeli pojawi się zakażenie, część uczniów i nauczycieli pójdzie na kwarantannę – mówi ów zrezygnowany, anonimowy dyrektor szkoły prywatnej.

– W mojej szkole dramatyczne decyzje o odejściu dzieci z powodów finansowych podjęło jedynie kilkoro rodziców. Nauka u nas to jednak duże zobowiązanie: 1590 zł przez 10 miesięcy. W tej cenie są lekcje podstawowe, zajęcia

dodatkowe, opieka psychologiczna i kilka innych świadczeń. Nie generujemy zysków – wylicza Jarosław Pytlak prosto sprzed komputera, na kwarantannie. – W pandemii udało nam się obniżyć czesne o 10%, a drugie tyle przeznaczyliśmy na fundusz solidarnościowy, zasilony także dobrowolnie przez bardzo dużą grupę rodziców. Dzięki temu można było doraźnie pomóc wszystkim rodzinom, które zgłosiły taką potrzebę. Nie wiem, co się stanie w przyszłości. Szkoła będzie istnieć, dopóki będą uczniowie

Wszystko byłoby w tej pandemii prostsze, gdyby była dobra komunikacja z MEN, powtarzają dyrektorzy szkół niepublicznych.

zainteresowani nauką w niej i rodzice gotowi płacić za to, co oferuje. A oczekiwania bywają dzisiaj bardzo różne. Wiosną nie robiliśmy zbyt dużo zajęć online, bo nie chciałem trzymać uczniów wiele godzin przed komputerem. Kilkorgu rodziców to się nie podobało i przenieśli dzieci do innych szkół. Ich prawo.

Szkoły w Polsce dzielą się na publiczne i niepubliczne. Do tych drugich należą szkoły prywatne (prowadzone przez osoby fizyczne, fundacje lub kościelne osoby prawne) oraz społeczne (których organami prowadzącymi są stowarzyszenia).

Wszystkie niepubliczne szkoły podstawowe oraz zdecydowana większość szkół ponadpodstawowych ma uprawnienia szkół publicznych.

Nauka w większości szkół niepublicznych jest odpłatna. W odróżnieniu od szkół prywatnych w szkołach społecznych cały dochód przeznaczany jest na realizowanie celów statutowych – działają one na zasadzie *non profit*.

Moje – działać w zgodzie z wiedzą i doświadczeniem pedagogicznym.

W prowadzonej przez Jarosława Pytlaka szkole uczy się 440 dzieci, z różnych form pomocy psychologiczno-pedagogicznej korzysta około jednej czwartej. Dyrektor zwraca uwagę, że rodzice mogą być pewni pełnej obsady nauczycielskiej, co w szkołach publicznych nie jest w tej chwili normą: – Trochę lepiej płacimy, mamy mniej uczniów w klasie; dla wielu jesteśmy atrakcyjnym pracodawcą. Z wakacjami nauczycielskimi szkoły niepubliczne lepiej sobie radzą niż publiczne.

Nieco lepiej?

Za prywatną Szkołą Podstawową Krzysztofa Augustyniaka w Łodzi stoi 29 lat tradycji. Uczęszczały tam całe rodziny. Obecnie uczy się w niej 160 dzieci. W pandemii była obniżka czesnego o 15%, z 860 zł. Nie odbywały się zajęcia na pływalni ani kółka zainteresowań czy zajęcia sportowe.

– Były za to próby podłączenia się pod prowadzone przez nas lekcje zdalne. Nauczyciele plan realizowali na serwerach Discord, gdzie utworzyliśmy klasy i pokoje konsultacji. Wszystko szło bardzo dobrze, rodzice nam dziękowali. Pewna grupa dzieci funkcjonowała nawet lepiej dzięki nauce zdalnej niż w kontakcie bezpośrednim – zapewnia Krzysztof Augustyniak. – Kiedy na początku września nauczyciele przebadali poziom wiedzy i umiejętności dzieci, okazało się, że w czasie narodowej kwarantanny większość nie narobiła sobie dużych zaległości.

Między kwietniem a czerwcem w szkole Augustyniaka nie było żadnej rezygnacji. Co nie znaczy, że obyło się bez obaw w czasie rekrutacji. – W tej chwili mamy pełną obsadę. Klasy liczą 12-16 osób – mówi właściciel. – Stosujemy rygorystyczne zasady, przeorganizowaliśmy szatnię, szafki stamtąd stoją na korytarzach pod salami lekcyjnymi, uruchomiliśmy dwa wejścia. Dzieci podzieliliśmy na grupy i pilnujemy, żeby nie mieszały się, co niestety oznacza, że siedzą w salach, a co drugą przerwę ▶

► spędzają w ogrodzie. Owszem, w związku z COVID-19 mam sporo obaw. Na przykład już teraz jest duża absencja, ale dzieci przebywające w domu mogą się podłączyć pod zdalne nauczanie.

W Milanówku pod Warszawą podobnie jak w Łodzi na razie nie ma problemu z chętnymi do szkoły niepublicznej, zwłaszcza że ta ma markę. – Na pewno nie jesteśmy idealni i nie zawsze podejmujemy dobre decyzje. Ale zwracamy uwagę na budowanie relacji i jakości – zapewnia Leszek Janasik, od 2017 r. dyrektor Społecznego Liceum Ogólnokształcącego nr 5 w Milanówku, gdzie uczy się 160 osób. – Co tydzień odbieram telefon od rodzica, który chce do nas przenieść dziecko ze szkoły publicznej. Nasi uczniowie wiedzą o tym i m.in. dlatego bardzo się starają, bo na ich miejsce są chętni. Owszem, zdarzyło się, że ktoś zrezygnował z nauki u nas, ale wynikało to ze zdarzeń losowych, nie odpowiadała mu koncepcja pracy lub zwyczajnie nie poradził sobie.

Po pierwszych ambitnych próbach przeniesienia całego planu lekcji do internetu nauczyciele z Milanówka spaspowali, lekcje skrócili do 30 minut, pojawiły się zajęcia ruchowe, wydłużona została przerwa obiadowa. Zrozumieli, że przełożenie planu lekcji jeden do jednego do internetu nigdy nie będzie efektywne.

– W wirtualnym świecie również staraliśmy się budować dobre relacje. Rozmawialiśmy z młodzieżą o wszystkim. To procentowało, uczniowie nie mieli oporów, żeby

Z wakacjami nauczycielskimi szkoły niepubliczne radzą sobie lepiej niż publiczne.

nam powiedzieć, co im nie działa lub co można by zrobić lepiej. Prosił o inne ustawienie mikrofonu, kamery, zwracali nam uwagę, gdy przesyłaliśmy słaby skan. Bez informacji zwrotnej nie byłoby możliwe dobre zorganizowanie szkoły zdalnej. Myślimy się naprawdę mnóstwo nauczyli – podkreśla Janasik. – A ponieważ wcześniej kilkakrotnie mieliśmy zajęcia o cyberbezpieczeństwie prowadzone przez dobrych „hakerów”, ich bezcenna wiedza, np. jak zabezpieczyć wizerunek, bardzo nam się przydała w nauce zdalnej. Uczulali

Zygmunt Puchalski, prezes Społecznego Towarzystwa Oświatowego

Wyniki naszych ankiet potwierdzają, że szkoły STO zdały egzamin w czasie epidemii – rodzice dobrze ocenili organizację nauczania i działania informacyjne. Nasze szkoły szybko wdrożyły narzędzia do nauki online, niektóre dzieci już od pierwszego dnia nauki zdalnej uczestniczyły w zajęciach prowadzonych przez internet. Nawet zajęcia wychowania fizycznego odbywały się online lub z wykorzystaniem filmów nagrywanych przez nauczycieli.

Szkoły STO poświęciły szczególną uwagę ósmoklasistom i maturzystom – do końca prowadziły dla nich zajęcia i konsultacje, mimo że tegoroczne egzaminy odbyły się znacznie później niż zwykle. Choć nauka do tegorocznych egzaminów była dla uczniów wyzwaniem, ich wyniki po raz kolejny plasują nasze szkoły na czołowych miejscach w poszczególnych miastach, w tym w Warszawie, Krakowie, Gdańsku i Poznaniu.

Nasze szkoły zwykle cieszą się dużą popularnością, ale w tym roku zainteresowanie nimi jeszcze wzrosło. W wielu miastach otworzyliśmy dodatkowe klasy.

Szkoły STO to szkoły społeczne – są zarządzane przez rodziców i działają *non profit*. Z myślą o rodzinach uczniów szczególnie dotkniętych przez epidemię utworzyliśmy fundusz solidarnościowy. Także szkoły udzielały wsparcia tym, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej.

Systematycznie inwestujemy w technologie, które umożliwiają prowadzenie lekcji na odległość. Dbamy też o podnoszenie umiejętności nauczycieli w zakresie pracy zdalnej. Największym wyzwaniem pozostają nadal zajęcia hybrydowe, bo większość szkół jeszcze ich nie prowadziła.

młodzież, że nagrywanie nauczycieli bez ich zgody i udostępnianie tego w sieci grozi odpowiedzialnością cywilną. Nie tyle uczniów straszymy, ile przypominamy im zasady bezpieczeństwa, które muszą znać. Nie jest tego zbyt dużo. Bo gdy tworzy się za dużo zasad, istnieją one tylko na papierze, nie w życiu. Noszenie maseczek na terenie szkoły jest dobrowolne i rzeczywiście jedni uczniowie noszą, drudzy nie.

W Milanówku klasy pierwsze i dwie drugie mają przez jeden dzień w tygodniu naukę zdalną. Dzięki temu każdego dnia w szkole jest

w szkole, a dziesięciu w domu. Dlatego od początku zdecydowaliśmy się na taki łączony system pracy. Po prostu minimalizujemy ryzyko – zapewnia Janasik. – To daje komfort pracy nauczycielom i uczniom, którzy w szkole baliby się kichnąć, bo wylądowaliby w izolacji i trzeba by wezwać rodziców, a tak w razie kataru spokojnie pracują w domu. Dla mnie fundamentalne jest zapewnienie jako takiego bezpieczeństwa fizycznego i psychicznego. Nie obniżyliśmy czesnego, bo to równałoby się obniżce płac nauczycielom, czego chcemy uniknąć.

Co roku wyniki egzaminów zewnętrznych pokazują przewagę szkół niepublicznych nad publicznymi. Wiadomo, dobierają one sobie uczniów, więc prawie nie ma tam dzieci niegotowych psychicznie do nauki albo dzieci z patologicznych domów. Status społeczno-ekonomiczny rodziców pozwala na znacznie więcej niż w szkołach masowych.

Samorządom kilka lat temu dano możliwość przekazywania nierentownych, małych szkół różnym podmiotom. W ciągu kilku miesięcy do Centrum Inicjatyw Oświatowych zgłosiło się prawie 300 inicjatyw rodziców, nauczycieli, samorządowców.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

o jedną czwartą osób mniej. Przerwy zależą od prowadzącego lekcję, co powoduje, że na korytarzu jest zdecydowanie luźniej. W razie zalecenia kwarantanny nauczyciel, który dobrze się czuje, może prowadzić lekcje online. Także wtedy, gdy jest trochę podziębiony, ma katar i stan podgorączkowy, by nie stwarzać zagrożenia dla innych, zgłasza dolegliwości dyrektorowi i może prowadzić lekcje z domu. Podobnie uczniowie.

– W listopadzie, gdy spotka się grypa z COVID-19, może dojść do tego, że pięciu uczniów będzie

Z Galicji



Jan Widacki

Cała Polska zna historię niesłusznie skazanego Tomasza Komendy, który niewinnie przesiedział 18 lat w kryminale. Była ona nagłaśniana we wszystkich niemal mediach, teraz powstał film temu poświęcony, „25 lat niewinności”. Wszystkie media potraktowały sprawę Komendy jednostkowo. Zdarzyło się, biedny chłop, miał pecha. Teraz skarb państwa wypłaci (może już wypłacił) odszkodowanie, jeszcze pewnie ukaza się recenzja filmu, jeszcze może do tematu wróci jakiś publicysta. Może na przypadek Komendy powoła się kiedyś w mowie obrończej jakiś adwokat, broniąc w kolejnej sprawie poszlakowej. W całej tej wrzawie zabrakło głębszej refleksji. Choćby takiej, że sprawy Komendy nie można traktować jako jednostkowej. Jeśli zdarzyło się to Komendzie, może się zdarzyć każdemu. Każdemu z nas.

Przecież ci, którzy prowadzili śledztwo, znęcali się nad podejrzanym, wymuszali przyznanie się, to nie był jakiś desant zwyrodniałców, którzy przylecieli z innej planety i natychmiast po złożeniu aktu oskarżenia wyparowali. To byli policjanci, którzy mieli (mają?) taką metodykę prowadzenia śledztwa. Prokurator, który z mądrą miną tykał wszystko, co mu serwowali, i ubierał w formę prawną, nie pojawił się znikąd tylko do tej jednej sprawy, by po złożeniu aktu oskarżenia znów zapaść się w nicość. Wreszcie sąd, który prowadził rozprawę i oceniał przedstawione mu „dowody”, też nie był powołany *ad hoc* tylko do osądzenia Komendy, więc po wydaniu

Co drugi skazany w procesie poszlakowym jest niewinny! Gdyby tak było, zamiast kosztownego i długotrwałego procesu można by rzucać monetą. Orzełek winny, reszka niewinny. Wynik byłby ten sam. A byłoby szybciej i taniej. Wedle badań amerykańskich 5% skazanych na długoletnie więzienie, a nawet na śmierć, to ludzie niewinni. Przy czym w Ameryce pomyłki sądowe są przedmiotem stałych badań, w Departamencie Sprawiedliwości jest komórka, która monitoruje ten problem. Są dwa czasopisma fachowe poświęcone tylko tej tematyce. U nas nikt na dobrą sprawę tego nie bada. Nawet nikogo specjalnie to nie obchodzi. Gdyby optymistycznie założyć, że mimo to u nas procent niewinnie skazanych jest taki sam jak w Ameryce, że jest ich też tylko ok. 5%, to łatwo policzyć, że skoro w kryminalach siedzi w Polsce ponad 80 tys. ludzi, 4 tys. zostało skazanych „w imieniu Rzeczypospolitej” niewinnie. Ogromna rzesza ludzi skrzywdzonych. Skrzywdzonych przez państwo i w imieniu państwa!

To już truizm, że podstawowym problemem polskiego wymiaru sprawiedliwości jest nie przewlekłość postępowań (na którą powszechnie się narzeka), ale jakość wymierzonej sprawiedliwości, o której mówi się rzadko. U nas wyroki skazujące zapadają na podstawie tak słabych dowodów, że nie odważyłby się na nich opierać żaden sąd amerykański. Wystarczy pomówienie konfidenta, który zeznaje jako świadek, a sąd nawet nie wie, że to konfident policji.

Sprawa nie tylko Komendy

wyroku nie wrócił do swoich dotychczasowych, niemających nic wspólnego z sądem zajęć. Sprawa Komendy obnażyła słabość (by użyć tego delikatnego słowa) całego naszego systemu ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Obnażyła coś, co istnieje, co działa, co prowadzi do tego, że do kryminału wędrują często niewinni ludzie. Na szczęście nie ma kary śmierci, o której przywróceniu marzy polska prawica i kilkadziesiąt procent naszego społeczeństwa.

Ile śledztw prowadzili śledczy ze sprawy Komendy? Ile aktów oskarżenia napisał prokurator, który oskarżał Komendę? Ile wyroków wydali autorzy wyroku (wydanego, a jakże, „w imieniu Rzeczypospolitej”), na mocy którego niewinny Komenda trafił na 18 lat do kryminału? Już to wskazuje, że sprawa Komendy nie jest sprawą jednostkową, pojedynczym wypadkiem przy pracy. Ale analiza tego przypadku każe stawiać dalsze pytania. Czy aby policja nie prowadzi z zasady śledztw tak, jak prowadziła je w sprawie Komendy? Czy prokuratorzy w innych sprawach lepiej nadzorują pracę policji? Czy sądy, orzekając w innych sprawach, nie podchodzą w podobny sposób do materiału dowodowego?

Moje kilkunastoletnie doświadczenie w sprawach karnych każe niestety odpowiedzieć na te pytania twierdząco. Tak wyglądają u nas śledztwa i procesy w sprawach poszlakowych. Zostawmy jednak moje doświadczenie. Ktoś może powiedzieć, że jako obrońca jestem nastawiony subiektywnie, że przesadzam. Ale przecież są wyniki obiektywnych badań. W opinii doświadczonych obrońców w sprawach karnych, w procesach poszlakowych wśród skazanych stosunek winnych i niewinnych jest jak 1:1.

Wystarczy pomówienie „małego świadka koronnego”, któremu za pomówienie innej osoby zapewnia się nadzwyczajne złagodzenie kary i uchylenie aresztu, często „aresztu wydobywczego”. Wystarczy opinia biegłego, którego wywodów opartych na wątpliwej nieraz wiedzy sąd nie jest w stanie skontrolować i krytycznie ocenić. Wystarczy rozpoznanie przez świadka, a już nie daj Boże przez pokrzywdzonego, choć wiadomo, że dowód w postaci okazania, nieraz starannie przez policję wyreżyserowanego, obciążony jest błędem rzędu 30-40%. Sądy z zasady nie chcą dociekać patologii śledztwa, nie mogą (bo nie chcą!) uwierzyć w to, że przyznanie się podejrzanego w śledztwie lub obciążające zeznania świadków mogły być wymuszone. Teraz, po latach demolowania wymiaru sprawiedliwości, sądy tym bardziej wołają bezkrytycznie przyjmować to, co przedstawia prokuratura, bojąc się oceniać pracę prokuratorów i policjantów. W końcu sędziowie mają tego samego co prokuratorzy przełożonego dyscyplinarnego – ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego, a to w jego imieniu działa oskarżenie.

Opozycja to widzi. Opozycja słusznie krytykuje demolowanie wymiaru sprawiedliwości, ale nie słyszałem, by miała jakąś sensowną propozycję jego naprawy. Nie ma żadnej! Nie ma pomysłu na to, jak poprawić jakość wymierzonej sprawiedliwości.

Komenda miał w sumie szczęście. Po 18 latach znalazł się prawdziwy sprawca. Ilu ludzi siedzących niewinnie takiego szczęścia nie miało? Wczoraj był Komenda, jutro może być każdy z nas, każdy z naszych najbliższych.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Beata Igielska

Co to za opowieść *science fiction*? *Smart hospital*, nowe rozwiązania informatyczne, sztuczna inteligencja – wyróżnione w konkursie Złoty Skalpel 2019. Ma to przynieść 20% oszczędności i czas dla pacjenta.

– Mimo ogromnego długu szpitala szukam rozwiązań, które pozwolą z niego zrobić perełkę nie tylko z punktu widzenia pacjentów i lekarzy, ale także z punktu widzenia organizacyjnego. Zawsze zanim podejmę jakiegokolwiek decyzję, lubię oprzeć się na danych. One muszą być odpowiednio gromadzone, najlepiej w czasie rzeczywistym, muszą też dotyczyć wszystkich działów szpitala. *Smart hospital* to bardzo trudny projekt w polskich warunkach, bo nasze szpitale nie są zdigitalizowane. Matka Polka jest już nieźle zdigitalizowana, ale wciąż nie w stopniu zadowalającym. Tu pracuje 500 lekarzy i ponad 1 tys. pielęgniarek plus osoby w działach administracyjnych, technicznych, łącznie ponad 2,2 tys. pracowników. Dlatego tak ważny jest stopień digitalizacji. Wtedy wszystkie wyniki pacjenta są w systemie. Obecnie, kiedy pacjent opuszcza szpital, tracimy go z oczu. Zaledwie jedna czwarta jest leczona w poradniach przyszpitalnych i tylko w przypadku tej grupy możemy kontynuować ocenę stanu zdrowia. Śledząc te dane, mogę na bieżąco monitorować stan obłożenia, właściwie wykonanie kontraktu, przychodowość poszczególnych klinik, koszt pojedynczego pacjenta w danej klinice, politykę lekową, politykę działu sprzedaży usług medycznych – to wszystko musi być w jednym systemie.

Jako jedni z niewielu na świecie rozwijamy onkologię w przebiegu ciąży. Często lekarze, widząc raka u kobiety w ciąży, rozkładali ręce.

Co szef szpitala dzięki temu zyska?

– Na przykład będzie można oszacować, na co chorych pacjentów przybywa w ciągu ostatnich lat, a jakich ubywa. Na tej podstawie mogę zwiększać liczbę łóżek na, powiedzmy, ortopedii, a zmniejszać na alergologii. Decyzje będą wynikać z bezwzględnych danych. Z drugiej strony ich gromadzenie jest związane z elementami inwestycyjnymi,

kwestiami zarządzania energią elektryczną i ciepłą. Zimą, gdy grzeją kaloryfery, pacjentki otwierają okno, nie pamiętając o zakręceniu kaloryfera, mimo że w domu zakręcają. Tworzone centrum dowodzenia, z udziałem systemów opartych na

sztucznej inteligencji, spowoduje, że kaloryfer zakręci się automatycznie. Pokieruje również oświetleniem korytarzy w zależności od pory dnia czy natężenia ruchu. Gdy ten będzie mały, oświetlenie automatycznie się zmniejszy. Zrobię ten trudny projekt, bo chcę pokazać, że jest możliwe coś takiego w takim kolosie jak Matka Polka. Wtedy nikt w Polsce nie powie: nie można tego zrobić.

To da się zrobić

Szukam rozwiązań, które mimo ogromnego długu pozwolą z Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki zrobić perełkę



PROF. MACIEJ BANACH

– kardiolog, dyrektor Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi

Niedawno otworzyliście też ultranowoczesną aptekę, 1 tys. m kw. z lekami recepturowymi, cytostatykami, czyli tzw. chemią, którą leczy się raka, pracownią żywienia pozajelitowego. Znowu *science fiction*.

– *Science fiction*, biorąc pod uwagę sytuację w Matce Polce i polskiej służbie zdrowia. To było związane z oceną tego, czego potrzebujemy. W 2014 r. zaczęliśmy chemioterapie. W 2017 r. uruchomiliśmy klinikę onkologii klinicznej, teraz z panią profesor Ewą Kalinką bardzo ją rozwijamy z naciskiem na onkologię kobiecą: piersi i narządów rodnych. Jako jedni z niewielu na świecie rozwijamy poza tym onkologię w przebiegu ciąży. Już mamy naprawdę spore doświadczenie. Często lekarze, widząc raka u kobiety w ciąży, rozkładali ręce. Rozwijamy też

kardioonkologię. Bo jeśli np. u kobiet w ciąży stosujemy leki, które mogą uszkadzać serce i naczynia, oceniamy, jak one wpływają nie tylko na jej serce, ale i na serce dziecka, czy nie powodują powikłań odległych. A pracownię cytostatyków otworzyliśmy, żeby były jak najszybciej dostępne dla naszego pacjenta i tańsze dla nas, bo wyprodukowane na

obrazowej. Ale przede wszystkim miejsce jest przyjazne. Przylatuje mały pacjent z przerażonymi rodzicami, którzy już nie wchodzą do brudnych, przygłębiających pomieszczeń, tylko do pomieszczeń wyglądających bardzo profesjonalnie, co natychmiast buduje zaufanie i poczucie bezpieczeństwa. Ale te pomieszczenia byłyby niczym bez świetnej kadry. Sze

te maluszki bez matczynego dotyku źle się rozwijają.

– Każdego dnia od początku pandemii po uzgodnieniu z lekarzami było nawet kilkadziesiąt wejść matek dziennie. Nadal obowiązuje zakaz odwiedzin w instytucie, co jest szczególnie uzasadnione przy ponad 8 tys. nowych przypadków zakażeń i ponad 100 zgonach dziennie. Proszę pamiętać, że hospitalizujemy najtrudniejsze przypadki noworodków w Polsce, z wieloma chorobami wro-

Bez ludzi, z którymi współpracuję, nie osiągnąłbym tego wszystkiego.

miejsu. Z kolei na neonatologii i pediatrii jest wiele dzieci z zaburzeniami żywienia. Dlatego stwierdziliśmy, że musi być pracownia żywienia pozajelitowego. Długo czekaliśmy na bardzo skomplikowany sprzęt. Ruszamy ostro i jestem z tego naprawdę dumny. Kierownik apteki, mgr Michał Grzegorzczak, robi świetną robotę.

Ostatnio otworzyliście SOR z lądowiskiem dla helikoptera, z najnowocześniejszym w tej części Europy oddziałem urazowym za 33 mln zł, z czego 5 mln zł poszło na samo wyposażenie.

– Taki SOR musi być w Matce Polce, bo jest to szpital wielospecjalistyczny. Poza tym w Łodzi nie było dotychczas SOR dla dzieci, spełniającego wszystkie wymagane normy, a najcięższe przypadki i tak szły do nas. Przygotowania zaczęliśmy w 2015 r., trzy lata później rozpoczęliśmy ten bardzo trudny projekt, łącznie 6 tys. m kw. z miejscami dojazdowymi. Poprzednie lądowisko było już na tyle zniszczone, że za każdym razem, gdy lądował helikopter, musiała być karetka i straż pożarna. Ogromne zamieszanie, kompletny bezsens. Przecież przylatywały dzieci w bardzo ciężkim stanie, po wypadkach komunikacyjnych, wymagające natychmiastowej interwencji. Liczą się sekundy, a tu procedury się wydłużały. Mimo że jestem tu sześć lat, wciąż widzę w marzeniach, jak ten szpital może docelowo wyglądać. Myślę nie tylko o budynkach, klinikach, ale też o organizacji i ludziach. Cieszę się jak dziecko, bo ta zmiana jest niesamowita.

Chodzi głównie o sprzęt?

– Owszem, mamy najlepszy sprzęt medyczny, również do diagnostyki

SOR, dr Paweł Ziółkowski, wybitny anestezjolog, powiedział coś, co mnie wzruszyło: pracuję kilkadziesiąt lat w Matce Polce i spełniło się moje marzenie, będę mógł pracować na SOR XXI w., nie będę miał żadnych ograniczeń diagnostycznych ani leczniczych.

Chcicie robić pierwsze na świecie badanie dzieci po COVID-19 pod kątem odległych powikłań.

– Skontaktowałem się ze mną dr Michał Chudzik ze szpitala im. dr. Biegańskiego w Łodzi, że bada dorosłych po COVID-19. Na razie wiedza o odległych powikłaniach jest niewielka. Wiemy, że COVID-19 może wpłynąć na układ immunologiczny, wywołać zmiany w drogach oddechowych, chorobę Kawasaki (powoduje stan zapalny naczyń krwionośnych

Pod koniec kwietnia ruszyliśmy z akcją: koronawirus koronawirusem, ale diagnozuj się, przychodź do szpitala, bo tu ryzyko zakażenia jest najmniejsze.

– przyp. red.) czy powikłania sercowo-naczyniowe, takie jak zawał i nadciśnienie tętnicze. Jeśli odkryjemy późne powikłania, rozpoczniemy natychmiastowe leczenie tych dzieci, by nie miały konsekwencji w dorosłym życiu. Mamy już umówionych pierwszych małych pacjentów na wizyty. Liczymy, że obecny rozwój pandemii nie pokrzyżuje nam planów. Dla mnie jako naukowca ważna jest m.in. odpowiedź na pytanie, u których dzieci, biorąc pod uwagę ich wyjściową charakterystykę, jest największe ryzyko wystąpienia odległych powikłań. Wtedy będziemy mogli zadziałać prewencyjnie, by ich uniknąć.

A skoro jesteście przy dzieciach i COVID-19, dlaczego dopiero po tyłu protestach rodziców otworzył się pan na pobyt matek wcześniej-ków na oddziale? Udowodniono, że

się po kilku miesiącach, gdy proces choroby sercowo-naczyniowej lub onkologicznej był zaawansowany. Dlatego już pod koniec kwietnia ruszyliśmy z akcją promocyjną: koronawirus koronawirusem, ale diagnozuj się, przychodź do szpitala, bo tu ryzyko zakażenia jest najmniejsze, bo tu wszystkich pacjentów badamy testami molekularnymi, mamy wszystkie możliwe restrykcje, które, odpukać, spowodowały, że w Matce Polce nie było dużego ogniska infekcji. W czerwcu mieliśmy 80-procentowe obłożenie, czyli mniejsze niż normalnie. Wciąż więc jest grupa ludzi, którzy się nie badają.

Często tłumaczy pan, po co nam maseczki.

– Bo jestem przerażony, choć rzadko używam takich słów – mamy społeczeństwo bardzo dziwne, które

▶ jest w stanie negocjować wszystko, powołując się, żeby było śmieszniej, na swoje konstytucyjne prawa. Co tam dane naukowe, skoro ja się nie zgadzam. Takim osobom powtarzam: jeśli idę do banku, nie dyskutuję z pracownikiem, bo się na tym nie znam. W związku z tym polegaj na opinii lekarzy i personelu medycznego, którzy ci mówią: załóż maseczkę, zachowaj dystans fizyczny, dezynfekuj regularnie ręce. To nie boli. Sam nie będziesz źródłem infekcji, grypy czy zwykłego przeziębienia, a co

finansowe z Ministerstwa Zdrowia czy Ministerstwa Nauki.

Skoro tyle rzeczy można zrobić w Matce Polce, to może ma pan pomysł, jak uleczyć chory system służby zdrowia?

– To bardzo trudne pytanie. Każdy minister zdrowia, kiedy jest powołany, ma swój plan. Po czym wchodzi do ministerstwa, które wygląda jak pałacy się las. Trzeba próbować gasić, ale też uważać, by ogień się nie rozprzestrzenił, by się nie poparzyć. Teraz minister Adam Niedzielski

z wiedzą medyczną nie jest to zdrowe, podobnie jak spanie powyżej ośmiu godzin na dobę. Jeśli kochamy to, co robimy, spełniamy się w tym, jeśli mamy cele, które sobie stawiamy i realizujemy, to chyba nie potrzeba niczego więcej, żeby zastanawiać się, skąd na to czas i siły. Mam coś w rodzaju ADHD pomysłowego. Budzę się wcześniej rano albo kładę się spać i sen nie przychodzi, bo mam tysiąc pomysłów. Muszę przesiać, które są do zrealizowania teraz, a które później. Moi współpracownicy boją się, jak wracam z urlopu, bo wtedy zaczyna się dla nich koszmar z powodu pomysłów. Dlatego staram się na urlopy nie chodzić, żeby ich nie stresować. Oczywiście to żart, w tym roku nie miałem urlopu ze względu na COVID-19. A tak na serio: innowatorem może być człowiek z pasją. Ja ją w sobie mam, mam też kreatywność i chęć realizowania pomysłów. Wierzę, że za 10-20 lat nic się nie zmieni. Tylko pewne rzeczy prawdopodobnie będę robił wolniej ze względu na wiek. W moim przypadku jest tak, że jeśli mam pomysł, to tylko kwestią czasu jest, kiedy go zrealizuję. Nie ma, że nie mogę. Gdy pracowałem w Ministerstwie Nauki, a potem tu, w Matce Polce, gdy mówiłem o pomysłach współpracownikom,

Do szafu doprowadza mnie zdanie: ale tu nigdy tak nie było.

ważniejsze – nie przeniesiesz infekcji na osoby narażone, starsze, z czynnikami ryzyka, w tym twoich najbliższych: rodziców czy dziadków, którzy przez ciebie mogą umrzeć. Pandemia byłaby teraz na zupełnie innym poziomie, gdybyśmy wszyscy przestrzegali jednej złotej zasady: tam, gdzie nie ma możliwości zachowania odpowiedniego dystansu, włóż maseczkę. To niewiele kosztuje. Mówienie o gryzicy płuc i inne tego typu argumenty to bzdura.

Robi pan z Matki Polki szpital perelkę. Gdy obejmował pan fotel dyrektora, był to zapyział szpital z długiem 296 mln zł. Jak to zadłużenie wygląda teraz przy tak dużych inwestycjach?

– Dług nadal z nami jest, tyle że wolniej narasta. Gdy w 2014 r. zostałem dyrektorem, było minus 19 mln zł jako wynik finansowy za rok 2013, obecnie jest 1,2 mln zł na minusie za rok 2019. Dług przekracza obecnie 300 mln zł. To olbrzymi garb, który codziennie nosimy. Prosiłem przedstawicieli rządu o program pilotażowy związany z oddłużeniem. To jednak bardzo trudne; zawsze pada argument: jeśli was oddłużymy, musimy również oddłużyć inne szpitale. Sugerowałem także, aby wziąć pod uwagę wskaźniki finansowe: rentowność, płynność, i na tej podstawie wybrać kilka szpitali, żebyśmy mogli pokazać, że jeśli oddłużymy taki kolos jak Matka Polka, to będziemy mogli funkcjonować jak przedsiębiorstwo i zarabiać na siebie, z rocznymi przychodami nawet na poziomie ok. 20 mln. Z tego przychodu byłbym w stanie wiele rzeczy zrobić sam, bez konieczności zabiegania o środki

99% energii poświęca na gaszenie pożaru wywołanego pandemią koronawirusa, to w pełni zrozumiałe. Problemem jest znalezienie rozwiązań systemowych, bo jeśli nie działamy systemowo, to nawet takie mikrosukcesy, czy raczej mikroposunięcia, jak w Matce Polce, nie trafiają na podatny grunt. Bo jeśli w tym momencie możliwości finansowe np. Ministerstwa Zdrowia nie pozwolą na kontynuację tej inicjatywy, nie będzie ona mogła się rozwijać. Dlatego mam wrażenie, że pierwszym krokiem powinno być wspieranie takich mikroinicjatyw, żeby dawały

Marzy mi się sieć szpitali typu smart. Bo wtedy jesteśmy w stanie nasz system ochrony zdrowia oddolnie stopniowo poprawiać.

dobry przykład. Ostatnio jeden ze szpitali wojewódzkich poprosił mnie o podzielenie się doświadczeniami w budowie *smart hospital*. Chętnie opowiem, jakie są zagrożenia, co można zrobić na pierwszym etapie. Marzy mi się sieć szpitali typu *smart*. Im ich więcej, tym lepiej, bo wtedy, działając oddolnie, jesteśmy w stanie nasz system ochrony zdrowia stopniowo poprawiać.

Pana biogram robi wrażenie: ogromna cytowalność odnotowana w bazach międzynarodowych, w wieku 32 lat profesura Łódzkiego Uniwersytetu Medycznego, 36 lat – profesura belwederska... Prowadzi pan Fundację na rzecz Rozwoju ICZMP, „Innowacje dla zdrowia” i inne aktywności. Skąd na to wszystko czas, ile pan śpi?

– Czasu nie mam, śpię po czterech godzinach na dobę, choć zgodnie

śłyszałem jęk: tego się nie da zrobić. To są słowa, których nie akceptuję. I mówię: da się. Drugie zdanie, które mnie doprowadza do szafu: ale tu nigdy tak nie było. Wtedy mówię: i właśnie o to chodzi, nigdy tak nie było, a teraz będzie.

Współpracownicy mówią o panu: szybki, zdecydowany, wie, czego chce. Ależ muszą pana nie lubić.

– Oj, bardzo. Pewnie czasem mówią o mnie straszne rzeczy, których wolałbym nie słyszeć. Z drugiej strony wielu z nich potrafi docenić efekt naszej wspólnej pracy. Bo sukces nigdy nie jest tylko mój. Zawsze jest sukcesem nas wszystkich pracujących w Matce Polce czy w moich grupach badawczych. Sam, bez ludzi, z którymi współpracuję, nigdy nie osiągnąłbym tego wszystkiego.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak

Może zacznę od fragmentu relacji z finałowego meczu na kortach Rolanda Garrosa. „Tuż po ostatniej piłce finału Świątek wbiegła na trybuny, by podziękować swojemu sztabowi oraz rodzinie, która przyleciała do Paryża specjalnie na mecz finałowy. Mocno spotkanie z udziałem swojej córki przeżył Tomasz Świątek, były wioślarz. – Tata nauczył mnie być profesjonalistką, wychował mnie, by być pewną siebie na korcie. Kocham cię. Dziękuję najbliższym, że towarzyszyli mi w tej chwili – powiedziała wzruszona Świątek”.

Dorzucę do tego parę zdań z wypowiedzi mamy naszej mistrzyni. Otóż powiedziała, że nie jest specjalnie zaskoczona sukcesem córki, bo trenuje ona od 15 lat, więc kiedyś czas zbiorów musiał nadejść.

15 lat treningów! Od czwartego, piątego roku życia! Bohaterska dziewczyna! Ale na oklaski zasłużył też jej ojciec, wioślarz (wspaniała dyscyplina, kształtująca charakter i wytrzymałość), olimpijczyk, na igrzyskach w roku 1988 w Seulu zajął w finale siódme miejsce.

A za co oklaski? Odpowiedź jest prosta. Iga trenuje od piątego roku życia, zanim poświęciła się tenisowi całkowicie, trenowała jeszcze pływanie. Ktoś musiał Igę na zajęcia zapisać, ktoś musiał ją tam wozić. Z małym dzieckiem nie ma kłopotu, bo trenuje dwa-trzy razy w tygodniu, więc to bardziej zabawa. Ale z większym, gdy obciążenia treningowe rosną, zaczynają się kłopoty. Kłopoty logistyczne, a później – finansowe.

Jeżeli Iga zostałaby przy pływaniu, to – powiedzmy – w wieku 12 lat musiałaby trenować 11 razy w tygodniu. Czyli dwa razy dziennie plus sobota. Niedziela to albo czas wolny, albo zawody.

To zaś oznacza, że byłaby codziennie wożona na godz. 6 na basen, potem zawożona do szkoły (śniadanie w samochodzie). Pewnie rodzicielska pomoc byłaby jej potrzebna także po południu, żeby zaoszczędzić chociażby pół godziny na odrabianie lekcji.

To nie jest abstrakcja, tak funkcjonują dziesiątki dzieci i ich rodzin. Ile takich układów to związki niemalże patologiczne, w których rodzic żądny sukcesu zmusza dziecko do

Iga Świątek, czyli sukces po polsku

Team Świątek – ładnie to brzmi.
Ale miejmy świadomość,
że ten team to rodzinna firma



Tata nauczył mnie być profesjonalistką.

► ciężkiej pracy? Tego nie wiemy. Ale zdecydowana większość takich sytuacji rodzi się niejako mimo woli. Najpierw wozi się dziecko na trzy treningi, potem na pięć, trener chwali, więc obciążenia są zwiększane... I tak w sposób niemal niezauważalny życie rodziny zaczyna krążyć wokół młodego sportowca.

Iga wybrała tenis. Tam obciążenia treningowe są mniejsze niż w pływaniu, ale są. Więcej za to jest zawodów, turniejów, więc młodzi tenisisci (i ich rodzice) mają zapełnione weekendy.

Na jednym z portali wyczytałem, co mówi o niej szkolna wychowawczyni: „Niesamowite dla mnie było to, że Iga, choć wiele podróżowała na turnieje i często była nieobecna w szkole, nie miała żadnych

Mało który rodzic byłby przecież gotów przyjechać w połowie dnia do szkoły, żeby zabrać dziecko na trening, a potem odwieźć. To jest również kwestia miejsca pracy.

W ten sposób doszliśmy do pieniędzy. Bo gdy mówimy o tenisie dzieci, nie wolno nam zapomnieć o finansach. Tenis jest sportem bardzo drogim. Owszem, gdy trenuje 10-latek, dwa-trzy razy w tygodniu, wiele zachodu z tym nie ma. Ale później koszty rosną.

Tata Świątek musiał zatem nie tylko wozić córkę, a raczej córki, bo trenowała także starsza, Anna, ale i płacić. Za trenera i wynajęcie kortu. Ile? Przyjmijmy niską warszawską cenę – 50 zł za godzinę (choć stawka może być i dwukrotnie większa). Dwugodzinny trening to 200 zł, co daje

Tata zawiezie, tata zapłaci. Czy w sporcie można osiągnąć sukces bez pomocy rodziców?

zaległości. Jeszcze podczas wyjazdu kontaktowała się z koleżankami, pytała, co było na lekcji, i już tam nadrabiała braki. Kiedy wracała z zawodów, trzeba było ją dopytywać, jak poszło, bo sama z siebie o tym nie opowiadała. Nie chciała tym epatować. Bardzo skromna, normalna dziewczyna, pomagająca innym, gdy tylko była w stanie. Skupiona na nauce, ale jeszcze bardziej na tenisie. Wykorzystywała każdą wolną chwilę. Kiedy było jakieś zastępstwo, jej tata czasami pojawiał się, zabierał Igę na trening i po niecałych dwóch godzinach przywoził ją z powrotem do szkoły”.

Ta opowieść wiele mówi. Po pierwsze, o lidze. Rzeczywiście tak jest, że dzieci mocno trenujące, i pilnowane przez rodziców, są przyzwyczajone do dyscypliny i nauczone, że każdy kwadrans jest ważny. Znam rodzinę, w której jedna córka trenowała pływanie, i to na wysokim poziomie, 11 razy w tygodniu, a druga nie. Ta pierwsza wyrosła na osobę zdyscyplinowaną, poukładaną, wytrwale dążącą do wyznaczonego celu. Ta druga... Wciąż mówiła, że na nic nie ma czasu, i z niczym nie mogła zdążyć.

Ale opowieść wychowawczyni wiele mówi też o Tomaszu Świątku. Jak widać, pilnował każdej okazji, by córka mogła się rozwijać. Tenisowo. Trzymał ją więc w sportowej bańce.

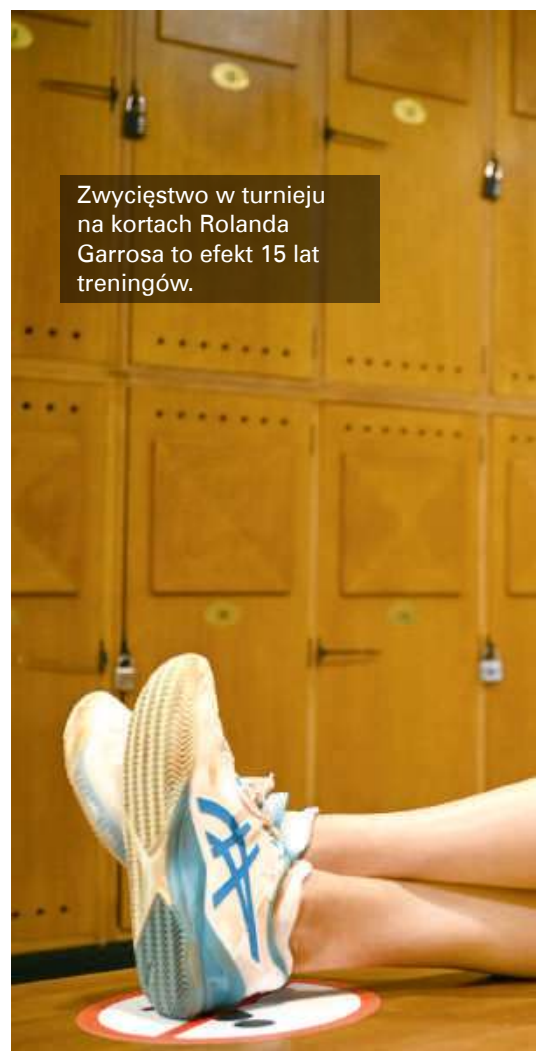
sumę 1000 zł tygodniowo. Do tego sprzęt, plus wyjazdy na turnieje.

To pokazuje, jak wielkiego poświęcenia ze strony rodziny wymagają treningi. I jaka wielka bariera zatrzymuje te dzieci, które pochodzą z niezamożnych rodzin. Trenerzy opowiadają, że pojawia się ona mniej więcej na przełomie szkoły podstawowej i średniej. I jeżeli w turniejach 12-latków mamy tłok, to już 14-latków startuje niewiele.

Starsze dzieci nie chcą już trenować, dociera do nich, że świat oferuje masę przyjemności i szkoda z nich rezygnować. Rodzice nie zawsze skłonni są poświęcać cały swój czas, by wozić małego sportowca na treningi i do szkoły. Zwłaszcza że tych treningów jest coraz więcej. Dzieci różnie się rozwijają, mają więc wahania formy – to także może zniechęcać. Bo po co trenować, skoro

Jeśli ktoś nie wie, co oznacza skrót KOR, zapraszam na mecz dzieciaków. Piłki nożnej, siatkówki, koszykówki...

nie wychodzi? Pojawiają się również kontuzje. To wszystko wymaga wiedzy, jakie są ścieżki kariery, i silnej woli, żeby nie rezygnować. Chyba nieprzypadkowo zatem łatwiej karierę zrobić dzieciom z rodzin sportowców. No i pojawiają się pytania, skąd wziąć na to wszystko pieniądze.



Zwycięstwo w turnieju na kortach Rolanda Garrosa to efekt 15 lat treningów.

Bo o sponsorach w wieku 14 lat raczej nie można marzyć. Można ich szukać później – ale też trzeba wpierw pochwalić się jakimiś sukcesami. Team Świątek – ładnie to brzmi, ale miejmy świadomość, że ten team to rodzinna firma.

Świat tenisa jest pełen opowieści o rodzicach, którzy poświęcili rodzinne finanse, aby dzieci coś osiągnęły. Rodzice Jerzego Janowicza, także byli sportowcy, siatkarze, sprzedali

sześć sklepów i mieszkanie, żeby tylko syn mógł trenować, jeździć na turnieje, rozwijać się.

Poświęcenie finansowe rodziny towarzyszyło też początkom kariery sióstr Radwańskich. Dziadek Agnieszki i Uli, żeby mogły jeździć na turnieje, sprzedał kolekcję obrazów.



W sporcie dzieci i młodzieży istnieją więc realne bariery. Z drugiej strony ma on swoją specyfikę, którą trenerzy nazywają KOR. Ten skrót oznacza Komitet Oszałamiałych Rodziców. Jeżeli ktoś jeszcze nie wie, o co chodzi, zapraszam na mecz dzieciaków. Piłki nożnej, siatkówki, koszykówki... Na widowni, ale niedaleko trenera, zasiada zawsze grupa rodziców, przeważnie ojców, którzy wychodzą poza rolę kibiców. I pokrzykują – to na swoją latorośl („Ruszyć się sk... do tej piłki!” – autentyczne), to na sędziego, no i na trenera. Pretensji jest co niemiara, szczególnie po przegranym meczu. Że trener źle trenuje, że źle ustawił na boisku dziecko, że nie powiedział innym zawodnikom, że mają mu podawać, że faworyzuje innych itd.

Każdy z tych KOR-owców myśli, że właśnie wychowuje przyszłego Lewandowskiego, Glika, może Grosickiego, i tylko niewłaściwy trener hamuje jego rozwój. KOR jest więc plagą, choć często pomaga – chociażby wtedy, kiedy nie ma klubowego busiku, a trzeba zawodników zawieźć na mecz.

Na tym tle Tomasz Świątek prezentuje się jak zimnokrwisty menedżer. Może dlatego, że jako były sportowiec miał odpowiednie doświadczenie? Łatwiej mu było patrzeć na karierę córki. Zwłaszcza

Robert Radwański mówił zresztą w wywiadach, że zanim córki zaczęły na turniejach zarabiać, wydatki ponosił olbrzymie. Był również, i to długie lata, pierwszym trenerem córki, co zresztą przypłacił spięciami i kłótniami. W końcu Agnieszka, ale już jako uznana zawodniczka, z niego zrezygnowała. „Układ zawodniczka-trener nie istnieje już dawno – mówiła w wywiadzie dla magazynu „Viva!”. – Teraz mamy układ ojciec-córka. A raczej jak dorosły-dorosły. W sumie nigdy nie było inaczej. Nigdy nie było w naszych relacjach czułości. Nie przytulaliśmy się. Byliśmy z Ulą raczej traktowane z góry. I wszystko było tak, jak ojciec chciał. A potem obie doszliśmy do wniosku, że tego już za dużo. I nasze drogi się rozeszły”.

OK. Ale i tak Robert Radwański może być z córek dumny. Osiągnęły wiele. Większość trenujących może tylko o tym marzyć. Sukces odnoszą

Jeżeli Iga zostałaby przy pływaniu, w wieku 12 lat musiałaby trenować 11 razy w tygodniu.

nieliczni. A wiele rodzin, ze względu na koszty, po prostu odpuszcza. Inni walczą. Choć różnie to się kończy. Radwański w jednym z wywiadów mówił, że zna wiele przypadków wielkich tragedii, rozwodów czy bankructw. „Ale czego się nie robi dla swoich dzieci?”, pytał retorycznie.

A inne dyscypliny? Jedne, jak jachting czy windsurfing, są drogie, więc dostęp do nich mają tylko dzieci z bogatszych rodzin, drugie tańsze, choć to nie znaczy, że rodzice nic nie muszą płacić. Weźmy piłkę nożną, teoretycznie sport dla ludzi niezamożnych. Kluby od trenujących pobierają składki, od 60-80 zł miesięcznie do kilkuset. Do tego dochodzą koszty butów, spodenek, dresów, obozów sportowych... Dla niektórych rodzin to już jest bariera nie do pokonania.

że początkowo była dość daleko klasyfikowana. Sam zresztą mówił, że kariera sportowca, po pierwsze, wiśi na włosku, bo przerwać ją może kontuzja, a po drugie – jest krótka, trwa do trzydziestki, niewiele dłużej. Warto mieć zatem dobre wykształcenie, żeby po tej trzydziestce mieć co robić. I nie warto na tę karierę się „napinać”.

Hm... Nie wiemy, czy się nie napiął. Włączenie do ekipy psychologa, by cały czas z Igą pracował, świadczy, że nie chciał niczego przeoczyć. I niespodziewanie szybko *team* Świątek osiągnął sukces. A tata otrzymał wspaniałą nagrodę – zaraz po wygranym finale córka rzuciła mu się na szyję.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Kampania w cieniu katastrof

W najdziwniejszym roku wyborczym w historii USA
prezydent zyskuje nawet na kolejnych tragediach,
jakie dotyczą Stany Zjednoczone

Jakub Dymek

Za dwa tygodnie Amerykanie oddadzą głosy w wyborach, które będą finałem najdziwniejszej kampanii w historii Stanów Zjednoczonych. Najdziwniejszej to i tak może nie dość mocne słowo, bo rok 2020 przyniósł Ameryce wiele wydarzeń żenujących i komicznych, ale także przerażających – od śmierci George'a Floyda i trwających tygodniami protestów, jakie sprowokowała, przez niechlubny światowy rekord zakażeń COVID-19, aż po apokaliptyczne pożary w Kalifornii.

Fatalna sytuacja zdrowotna nie zjednoczyła Amerykanów w złości na niekompetentną głowę państwa.

Kampania demokratycznego prezydenta Joego Bidena toczyła się głównie zdalnie i online – z piwnicy jego domu w Wilmington w stanie Delaware, gdzie zbudowano mu

małe studio transmisyjne. Urzędujący prezydent dla odmiany zachowywał się, jakby pandemii nie było, i miesiącami upierał przy organizacji kampanijnych wieców i wydarzeń.

Na przykład w Tulsie w stanie Oklahoma. Gdzie, po pierwsze, prawie nikt nie przyjechał, a po drugie, ci, którzy jednak przyjechali, najprawdopodobniej przywlekli ze sobą wirusa. Po wiecu w Tulsie liczba zakażeń w okolicy wzrosła, a jeden z obecnych tam sojuszników prezydenta, biznesmen i prawicowy działacz Herman Cain, zachorował i zmarł. Ostatecznie sam Trump złapał koronawirusa i trafił do szpitala. Pierwsza

amerykańskie państwo, a rynek tym bardziej nie jest w stanie zapewnić potrzebującym podstawowych usług czy choćby elementarnego bezpieczeństwa, to myśl aż zabawna. Ale na początku 2020 r. nie był to pomysł absurdalny.

W Ameryce kondycję gospodarki mierzy się za pomocą nieco innych niż u nas wskaźników. Media, ekonomiści i analitycy Departamentu Pracy patrzą np. na to, ile miejsc pracy przybywa co miesiąc, jak wysoko stoją najważniejsze indeksy giełdowe, ile na konsumpcję wydaje przeciętna rodzina i jakie nastroje deklarują w ankietach szefowie firm w największych branżach. Nie wdając się w szczegóły, każdy z tych wskaźników na początku roku pozwalał oceniać, że sytuacja jest rekordowo dobra. Trump to notoryczny kłamca, ale jeśli chodziło o gospodarkę, jego doradcy i sztabowcy mogli wyciągnąć garść badań i konkretne liczby na poparcie prezydenckich przechwałek.

Wybory rozstrzygną nie o tym, kto lepiej poradzi sobie z katastrofą, lecz kto ma lepszą narrację.

Dlatego urzędujący prezydent chciał iść do wyborów z prostym przekazem. On – kapitalista – wie, jak zarządzać gospodarką, by dobrze było biznesowi. Jego przeciwnicy zaś nie mają o tym pojęcia, to zresztą – przekonywał sztab prezydenta – wszystko socjaliści i dyletanci. Lewica miałaby w takiej kampanii z pewnością pod górkę. Bo choć nierówności w kraju są dramatyczne i pogłębiają się podziały rasowe, a młodzi ludzie mają przed sobą fatalny start w dorosłość – to katastroficzne scenariusze, że Trump doprowadzi kraj do ruiny, jak na złość

debata między kandydatami skończyła się pyskówką. Teraz Amerykanie do ostatniej chwili nie dowiedzą się, czy w ogóle będą jeszcze jakieś przedwyborcze debaty. Może obaj zamknęci w swoich domach-sztabach kandydaci ograniczą się do ataków w mediach społecznościowych? O tradycyjnym objeździe kraju, który każe rywalom odwiedzać w kampanii kilkadziesiąt stanów, nie ma już oczywiście mowy.

W tej sytuacji niełatwo odgadnąć, co jest stawką tych wyborów, nad jakimi najważniejszymi sprawami kandydaci powinni się pochylić i co może się okazać rozstrzygające. O czym – mówiąc kolokwialnie – w ogóle są te wybory.

Trumponomika działa!

Jeszcze w styczniu Trumpowi wydawało się, że ma gotową kampanię i zwycięstwo w kieszeni. Wystarczyło pokazać jedno – Trump jest dobry dla gospodarki, a więc jest dobry dla waszych portfeli, czyli dla was. Dziś, gdy na całej linii zawodzi



nie chciały się sprawdzić. To znaczy, dopóki nie wybuchła pandemia.

Wirus zamiata kampanię pod dywan

Gdy tylko okazało się, że „chińska grypa” – jak mówił prezydent – naprawdę jest groźna, a system opieki zdrowotnej dramatycznie niegotowy na jej odparcie, kampania zmieniła tor. W przypadku zaś Trumpa wprost się wykołubiła. Demokraci oczywiście

zawalił się dosłownie jednej nocy, gdy okazało się, że gospodarka stanęła, a 20 mln obywateli z dnia na dzień znalazło się na bezrobociu. Trump był wściekły, pomstował i zwalniał swoich doradców, których winił za to, że

Choć ruch sprzeciwu wobec rasizmu miał Trumpa pogrążyć, stało się coś odwrotnego.

wysokooktanowym paliwem. A już na pewno nie tak, jak życzyliby sobie tego sztabowcy Bidena. Fatalna sytuacja zdrowotna wcale nie zjednoczyła Amerykanów w złości na niekompetentną głowę państwa. Przeciwnie, zwiększyła się nieufność wobec medycyny i pojawiły się protesty przeciwko restrykcjom. Brali w nich udział nie tylko radykałowie i wariaci, ale też rozgoryczeni właściciele drobnego biznesu. Po fatalnej lawinie zwolnień z początku



Na pierwszym publicznym wiecu po wyjściu ze szpitala Donald Trump wyrzucił publicznie maski. 12 października, lotnisko w Sanford na Florydzie.

od początku chcieli, aby wybory 2020 r. były referendum nad trumpizmem. Teraz – gdy uderzyła pandemia – mogli to referendalne pytanie do narodu wyostrzyć. Od „jak złym prezydentem jest Trump”, przejść do „jak złym prezydentem na czasy pandemii jest antynaukowy, nieracjonalny i proepidemiczny milioner z grupy ryzyka”.

Im groźniejszy był wirus dla Ameryki, tym bardziej prezydent go bagatelizował. Także dlatego, że jego prosty i skuteczny pomysł na kampanię

„przegrywają mu” kampanię. Sam zaś upierał się przy organizowaniu wieców i spotkaniach twarzą w twarz z wyborcami. Wszystko, by pokazać, że ani on, ani gospodarka USA nie zwalniają. Wiemy już, jakie były konsekwencje tych spotkań.

Ale demokraci, którzy mieli nadzieję, że kampania będzie się toczyła tylko wokół pandemii, także się przeliczyli. Okazało się, że choć żniwo wirusa jest tragiczne, politycznie temat zarządzania kryzysem zdrowia publicznego nie jest aż tak

kwietnia, gdy bezrobocie dobiło do poziomu z czasów wielkiego kryzysu, poparcie dla prezydenta... wzrosło! Niewiarygodne? A jednak.

Prowincjonalna Ameryka patrzy na protesty

Śmierć George’a Floyd’a, nieuzbrojonego Afroamerykanina, którego policjanci udusili w trakcie próby aresztowania pod koniec maja br., stała się zapalnikiem olbrzymich protestów. Według niektórych

► obserwatorów największych w amerykańskiej historii – pod względem liczby zarówno miast, w których się odbywały, jak i uczestników. Śmierć kolejnego czarnoskórego obywatela z rąk policjantów była oczywiście impulsem, ale energia do demonstracji (które czasem zmieniały się w zamieszki) płynęła także skądinąd. Miliony Amerykanów szukały ujścia

kierowania emocjami mas. Protesty faktycznie się zradycalizowały (bo od początku i tak miały taką etykietę), a liczne akty przemocy i bezsensowne niszczenie mienia wywoływały u bardziej umiarkowanych, prowincjonalnych i politycznie mniej aktywnych Amerykanów przerażenie i niesmak. A że to ostatecznie o głosy takich obywateli

Na zachodzie apokalipsa

A potem jeszcze wybuchły katastrofalne pożary na Zachodnim Wybrzeżu. Wszyscy, którzy widzieli zdjęcia Kalifornii w tych letnich dniach, mieli podobne skojarzenia – apokaliptyczne kino, powierzchnia Marsa, piekło na ziemi. Niebo miało musztardowy kolor, a wskaźniki jakości powietrza wskazywały, że w czystych, ekologicznych i liberalnych enklawach, takich jak Portland czy Seattle, zanieczyszczenie było wyższe niż w Kalkucie czy Kabulu.

Niedofinansowane służby przeciwpożarowe (w skład których w Kalifornii wchodzi też pracujący za głodowe stawki więźniowie!) i ratownicze nie były w stanie odpowiedzieć na katastrofę tej skali. Z drugiej zaś strony właściciele domów i biznesów byli wściekli, bo chcieli jak najrychlej wracać do siebie – choć w Kalifornii buduje się na zagrożonych terenach – a nie błąkać się po lokalach zastępczych w czasie pandemii. Ekologiczna katastrofa na zachodzie obnażyła niewydolność systemu we wszystkich obszarach. A przecież pożary są już cykliczne i można choćby próbować im zapobiec.

W 2020 r. katastrofa goniła katastrofę. I o nich rzeczywiście wypowiedzą się Amerykanie w listopadzie. Nie będzie to jednak wyłącznie referendum na temat Trumpa i trumpizmu. Ani tylko głos za lub przeciw temu, jak władze federalne radzą sobie z problemami systemowego rasizmu, nierówności w dostępie do służby zdrowia, braku odporności gospodarki na kryzys czy zmian klimatycznych. Wybory rozstrzygną nie o tym, kto lepiej sobie z tym wszystkim poradzi, lecz kto ma lepszą – jak to się modnie mówi – narrację. I kto w obliczu kolejnych nieszczęść umiał lepiej nie tyle na nie zareagować, ile o nich opowiedzieć, nadać im sens, który przekona Amerykanów do tych, a nie innych racji. Czy demokraci próbujący opowiedzieć świat za pomocą języka merytokracji i rzetelności, czy raczej Trump i prawica, wciąż lepiej odnajdujący klucz do zbiorowych emocji?

Proste scenariusze, nawet jeśli ktoś miał takie gotowe na początku roku i kampanii wyborczej, dawno już znalazły się na śmietniku.

j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl
www.dymek.substack.com

Ekologiczna katastrofa na zachodzie obnażyła niewydolność systemu we wszystkich obszarach.

dla różnych, czasem zupełnie niezwiązanych ze sobą frustracji. Na transparentach niesionych przez demonstrantów widniały hasła walki z systemowym rasizmem i wezwania do reformy policji. Ale licznie protestowali też biali – źli na władzę, zmęczeni restrykcjami, przerażeni kryzysem gospodarczym i ci szukający rozróby. Albo chcący wyrazić sprzeciw wobec Trumpa i prawicy w ogóle, także w stanach zarządzanych przez demokratów.

Opozycja wobec prezydenta skonsolidowała się wokół hasła #BlackLivesMatter i ruchu protestu – demokratyczni politycy na wyścigi deklarowali wsparcie dla demonstracji i ich postulatów. Prędko jednak i w tym wypadku okazało się, że opozycja wobec Trumpa przecenia swoje szanse i zdolność

w wyborach prezydenckich idzie – kandydat demokratów musiał w końcu od wandalizmu się odciąć.

I choć to właśnie ruch sprzeciwu wobec rasizmu miał Trumpa pogrążyć – jego notowania wśród niebiałych zawsze były fatalne – stało się coś odwrotnego. Prezydent z tych aktów przemocy i wandalizmu i „zagrożenia dla amerykańskich przedmiotów, naszych przedmiotów” uczynił na chwilę (skuteczny!) wehikuł kampanii. Powtarzając zagrywkę Nixona sprzed półwiecza, dyskretnie, lecz stanowczo dawał do zrozumienia białym Amerykanom, że będzie ich człowiekiem w Waszyngtonie. Kwestia rasowa i dyskusje o przemocy policji z pewnością więc odcisną się na wyborach – ale niekoniecznie tak, jak oczekiwali tego demokraci i opiotwórcze media.

FUNDACJA JUDAICA
CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ
1993-2020

DZIEDZICTWO, PAMIĘĆ
WSPÓLNOTA OBYWATELSKA

BAJIT CHADASZ
SPOTKANIA Z KULTURĄ ŻYDOWSKĄ

WRZESIEŃ - LISTOPAD, 2020

Informacje: Centrum Kultury Żydowskiej
ul. Rabina Meisela 17, 31-058 Kraków, tel. (12) 430 64 49, info@judaica.pl
www.judaica.pl facebook.com/judaica.krakow

Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urzędu Miasta Krakowa

Sponsorzy:

Kraków
KARCHER
KHK
mpec
Współorganizatorzy:
Współorganizatorzy:
Współorganizatorzy:



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Książka o bohaterstwie

„A pani miała szczęście, dużo szczęścia, żyje pani”. W wydanej przed paru miesiącami książce „Wczesne życie” Małgorzaty Nocuń te słowa lekarza padają dopiero na stronie 47. Tymczasem już na pierwszej stronie słyszymy wołanie matki: „Gdzie jest moje dziecko?”. I czytamy: „Przesunęła dłonią po brzuchu, był pusty”. W tej książce jest jak u Hitchcocka: zaczyna się od trzęsienia ziemi, a potem napięcie rośnie.

Nigdy w tych felietonach nie pisałem o książkach. O tej muszę, bo jest pionierska. Bo odśłania coś, co było nieznane. Coś, co zwłaszcza dla mężczyzny pozostaje egzotyką. Narratorka, występująca jako M., rodzi dwa i pół miesiąca przed terminem, jej dziecko waży niewiele ponad kilogram. M. spędza 58 dni na Oddziale Intensywnej Terapii Noworodka. Zmaga się z bólem fizycznym i psychicznym, zasięga porad psychiatrów, zażywa środki uspokajające, czuje się winna. Moje ciało – powiada – które dla dziecka „miało być schronieniem, stało się komorą gazową”. Gdy jednak płacze i woła do matki: „Przytul mnie”, słyszy w odpowiedzi: „Nie maź się, idź do dziecka. Jesteś matką, walcz o niego tak, jak ja o ciebie walczyłam”. Mężczyzna nie odważyłby się na taką szorstkość. I nie powinien się odważyć.

„Jak możesz mówić, że nie dałabyś rady? No jak? – pyta M. jedna z pacjentek. – Matka znajduje w sobie nadludzką siłę, kiedy dziecko jest w niebezpieczeństwie, wstaje i idzie, walczy, jest w stanie zrobić dla niego wszystko”. To dlatego M. od pierwszych chwil interesuje się nie sobą, lecz dzieckiem, to dlatego wiadomość o zagrożeniu jej własnego życia pojawia się dopiero w dalszych partiach książki. M. bezwiednie, ale natychmiast, zaczyna prowadzić wielką grę kobiety. Jest jak żołnierz – w „stresie bojowym”. Lecz jej głównym zajęciem jest teraz odciąganie mleka.

„Jak często pani odciąga? Co trzy godziny. Widocznie za rzadko”. „Znów kryzys laktacyjny?”. „Chyba znów nie mam nic w tych cycach”. „Byłam w ciąży bliźniaczej”. „Mnie odklejało się łożysko”. „Skracająca się szyjka macicy”. Wszystkie te rozmowy, ów rozbrzmiewający w szpitalnym pokoju laktacyjnym „chór laktacyjny”, uwidaczniają najlepiej sztukę sztuki reporterskiej Nocuń. Oto świat kobiet oglądany od strony najbardziej intymnej, współczujące widzenie autorki tu właśnie przejawia się najpełniej. Tu też jest szczególnie widoczne przesłanie generalne tej książki: kształtowanie altruizmu, nauka pokory.

„Przymierze z dzieckiem”... Tam jednak, w książce Marii Kuncewiczowej, kobieta dopiero dojrzewa do macie-

rzyństwa, tu – jest do niego gotowa od początku i tylko zrządzenie losu sprawia, że jest to – jak sama mówi – macierzyństwo „koślawe”, jakoś niepełne, jakoś sztuczne przez sam fakt zastąpienia macicy przez inkubator, przez niemożność ujrzenia nawet twarzy dziecka, zasłoniętej przewodami aparatury. A jednak M. przemawia do swego synka nieustannie. „Głośno tu masz. I światło takie ostre. Cierpisz”, mówi już w pierwszych dniach jego życia. A gdy po miesiącu odśłania się twarz, szepcze: „Więc tak wyglądasz, to jesteś ty”. Powoli wychodzi z piekła. Oboje, M. i jej partner, wciąż rozmawiają ze swym Julkiem. A partner donośnym głosem czyta mu bajki.

„Jak umiera dziecko?”, pyta jednak M. oddziałową psycholożkę. Bo przecież nie każda historia kończy się tu happy endem. A właściwie – żadna tak się nie kończy, bo nie kończy się garb wcześniactwa, dziecku zazwyczaj nie przestaje grozić ślepotą, ułomność, kalectwo. M. opowiada szczegóły o walce, jaką niegdyś stoczyła o nią jej własna matka. Ta matka, tak bardzo podtrzymująca ją na duchu, tak wyjątkowo teraz potrzebna, umiera w tej książce także –

Gdy cały personel szpitala dwoi się i troi, by ratować życie wcześniaków, pod szpitalem demonstrują aktywiści „pro-life”.

wprawdzie daleko od oddziału noworodków. Natomiast na tym oddziale pojawiają się śmierci nieustannie. Oto kobieta o inicjały B.: nie chce usunąć ciąży i gaśnie na stole operacyjnym. „Wokół tamtego inkubatora roztawili parawany”, czytamy suchą informację. Płacz na korytarzu, trumienka dziecka, modlitwa, by dziecko umarło i dłużej już nie cierpiało... W tej książce nowe życie kielkuje zawsze w cieniu śmierci. I tylko ofiarność lekarzy potrafi czynić cuda.

Jeden epizod wbija się szczególnie w pamięć czytelnika. Oto gdy cały personel szpitala dwoi się i troi, by ratować życie wcześniaków, pod szpitalem demonstrują aktywiści „pro-life”. Jedna z matek zbiega na dół, ruga ich ordynarnymi słowami. M. widzi ją po powrocie: „Cała się trzęsła. Była wierzącą i praktykującą katoliczką, modliła się, uczestniczyła w nabożeństwach.” Sama M. wierzy, lecz dawno już odeszła od Kościoła.

Niezwykła książka. Każąca skłonić głowę przed bohaterstwem kobiety. Nasycona humanizmem, przepojona uczuciem solidarności. Powinna iść do szkół, stać się lekturą obowiązkową. Czy to jednak możliwe w państwie PiS?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

W oczekiwaniu na kolejnego antyzbawiciela

Bojan Stanisławski

Niecodziennym zjawiskiem okazał się Związek Ocalenia Rumunii (USR). Partia ta traktowana jest jako nadzwyczaj postępową, a to tylko dlatego, że jako jedyna pozwala sobie na krytykę Kościoła prawosławnego, nieszczególnie wprawdzie radykalną, ale widoczną na tle dość powszechnego, podobnie jak w Polsce, fundamentalizmu. Co jednak znacznie ważniejsze, tylko USR zdołał dokonać wyłomu w zabetonowanej od 30 lat scenie politycznej Rumunii. Jest to o tyle istotne w kontekście wyborów samorządowych, że ugrupowanie to ukonstytuowało się na bazie organizacji jakościowo bliskiej polskim ruchom miejskim, które jednakowoż nigdy nie osiągnęły żadnego realnego politycznego sukcesu; przynajmniej nie w takiej skali.

Deбата pełna wrzasków

Inicjatorem tego ruchu był mały do niedawna znany działacz obywatelski i profesor matematyki Nicușor Dan, który po wyborach lokalnych z września został burmistrzem Bukaresztu. Niemal 15 lat temu, w 2006 r., założył Związek Ocalenia Bukaresztu (USB), organizację, której celem było przeciwdziałanie samowoli deweloperów w rumuńskiej stolicy. W 2016 r. przekształcił to stowarzyszenie w Związek Ocalenia Rumunii i partia ta w wyborach

Wielu Rumunów jest dziś przekonanych, że jedyny problem ich kraju to korupcja.

parlamentarnych niespodziewanie uzyskała trzeci wynik, co przełożyło się na 30 miejsc poselskich i 13 senackich. Dan zrezygnował wprawdzie rok później z przewodnictwa USR, ale nie odszedł z polityki. Jako niezależny deputowany kontynuował karierę, a w ubiegłym miesiącu – z poparciem dawnych kolegów

Pogarda dla ubogich, jadowity antykomunizm i obsesje na punkcie antykorupcji – oto klimat wyborów samorządowych w Rumunii



Maria Cernat.

oraz establishmentowej prawicy skupionej w Partii Narodowo-Liberalnej (PNL) – uzyskał najważniejsze samorządowe stanowisko w stolicy, detronizując Gabrielę Fireę z Partii Socjaldemokratycznej (PSD).

Jest to istotne zwycięstwo, gdyż – według wielu komentatorów – toruje Danowi drogę do ewentualnej prezydentury. Spekulacjom, jakoby prezydentura była faktycznie w zasięgu jego możliwości, towarzyszy bardzo szczególna ekscytacja – nadzieja, że Nicușor Dan położy kres korupcji. Czy jednak faktycznie można mówić o przełomie?

Podobnie jak w Polsce debata publiczna w Rumunii jest niemal pozorowana. Dyskusję wypierają tyleż emocjonalne i bombastyczne, co przypadkowe i puste wrzaski, bardziej

przypominające obrzędy plemienne niż jakikolwiek dialog. Zjawiska polityczne, które zdobywają zainteresowanie mediów i miejsce w debacie publicznej, natychmiast ściągają niemal ślepo oddanych sprawie zagorzałych wrogów, bezwzględnie przywiązanych do innych obozów ma się rozumieć.

W tak skonstruowanej przestrzeni publicznej nie ma miejsca na ekspertyzy, zwłaszcza ogólne, a nie wybiórczo, krytyczne. Specjalistów gotowych wyrazić stanowisko wykraczające poza dominujący wszystko spór jest dosłownie kilku, może kilkunastu; w mediach są niemal nieobecni.

„Rumuńska kultura polityczna opiera się w dużej mierze na infantylnych nadziejach, które okazują się koszmarami. Tak było w 1989 r., tak bywało wcześniej w historii, tak będzie i tym razem”, komentuje dr Maria Cernat, dziennikarka i akademicka, wykładowczyni w Wyższej Szkole Nauk Politycznych i Administracji Publicznej oraz na Uniwersytecie Titu Maiorescu w Bukareszcie.

„Nie uczymy się jako społeczeństwo, albo uczymy się niezwykle powoli, a czas gra na naszą niekorzyść. Zamiast traktować politykę jako obszar konfliktu interesów i wartości, ludzie zainteresowani sprawą publiczną żyją od jednego zachłyśnięcia do drugiego, a pomiędzy nimi występują długie okresy lęku i depresji”, podsumowuje.

Oczekiwania względem dalszego udziału USR w polityce krajowej są ogromne, ale bardzo prawdopodobne, że skończą się ponownym rozczarowaniem. Zwłaszcza gdy więcej uwagi poświęca się *public relations*, a faktyczne postulaty programowe ignoruje.

Marzenia o państwie-korporacji

„Do polityki, nagle i niespodziewanie, weszli młodzi ludzie z entuzjazmem i wiarą w możliwość zmiany



Nicușor Dan we wrześniowych wyborach został wybrany na burmistrza Bukaresztu.

rzeczywistości, jednak samo ich przekonanie o własnej wyższości i etycznym niepokalaniu ma dokładnie zero politycznego ładunku, a właśnie ten jest niezbędny do wprowadzenia zmian. Poza, jaką przyjmują działacze USR i ich otoczenie, przypomina coraz bardziej jakiś moralizatorski *reality show*, męczący dla każdego, kto zachował zdolność choćby minimalnie krytycznego myślenia”, konstatuje Maria Cernat.

USR nie będzie zapewne przełomem, podobnie jak przełomem nie okazała się w Polsce partia Razem, w której także nie ma ludzi, zwłaszcza młodych, utopiło swoje nadzieje na to, że „inna polityka jest możliwa”. Z pewnością jest możliwa, jednak wymaga odwagi i myślenia wykraczającego poza liberalno-demokratyczne *status quo*. Skończyło się więc na epatowaniu alternatywą. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja walczących o „ocalenie Rumunii”. Zamiast starać się wybić ponad mantrę podaną do wierzenia jeszcze w latach 90. – o wspaniałości biznesu i świętej przedsiębiorczości – USR poszedł w zupełny neoliberalny, a niekiedy libertariański ekstremizm.

„Politycznie biorąc, ci ludzie są szaleni, zachowują się jak jakaś technokratyczna sekta. Im naprawdę się wydaje, że ład korporacyjny to jest to, do czego powinniśmy dążyć jako państwo i społeczeństwo. Dlatego, że to jest według nich efektywne. Dlatego, że korporacje to władza i wielkość, która rzekomo

została osiągnięta dzięki dobremu zarządzaniu. Wszystko im się kojarzy księgowo lub biznesowo, oni sobie wyobrażają idealne państwo właśnie jako korporację, która ma swoich akcjonariuszy i swój zarząd, w której dobrze się płaci, choć praca jest ciężka, a cała maszyna wytwarza coraz większe zyski i coraz skuteczniej się rozrasta. To nawet nie jest

Warunki bytowe, które znosić musi rumuńskie społeczeństwo, rodzą frustrację i permanentny lęk.

nieporozumienie, to jest komedia poznawczych pomyłek wynikająca z naprawdę zakutego doktrynerstwa, z ideologicznego zachłystnięcia się pomysłami, które innowacyjne mogły się wydawać w połowie lat 80., a dziś są już niemal nieakceptowalne”, wyjaśnia akademicka.

Antykorupcja – histeria, obsesja, kult

W obliczu faktycznego braku lewicowej alternatywy próżnia wypełnia się pravicowymi bytami. Naturalnie samozwańczy zbawiciele nikt nie rozlicza z merytorycznego przygotowania. Ten niebezpieczny trend z kolei napędza zainstalowana skutecznie nie tylko w Rumunii, ale i w sąsiedniej Bułgarii, obsesja antykorupcji. Miliony w różnych walutach, które wykorzystywały niezliczone organizacje pozarządowe w obu tych krajach na swoje kampanie,

nakręciły istną spiralę hysterii na tym punkcie. Zrobiono to na tyle skutecznie, że wielu Rumunów i Bułgarów jest dziś przekonanych, iż jedyny problem w obu krajach stanowi właśnie korupcja i jeśli tylko uda się ją wypłenić, ojczyzna niemal natychmiast spłynie mlekiem, miodem i powszechną szczęśliwością.

Trudno nie uważać tej nadziei za co najmniej nieracjonalną; w sposób oczywisty odbiega bowiem od kwestii zasadniczej – systemowej struktury opartej na korupcji. Mimo że patologia ta jest fundamentalnie obecna w Rumunii od początku przemian po 1989 r., wciąż traktuje się ją jako raka na zdrowym ciele transformacji, a nie jako funkcję nowego systemu. Tymczasem korupcja jest swoistym *spiritus movens* rumuńskiego porządku; to mechanizm uruchamiający wszystkie najważniejsze sprzężenia zwrotne tamtejszej narracji politycznej.

„Istne obłąkanie na punkcie korupcji to bardzo poważny uszczerbek na psychicznym zdrowiu naszej opinii

publicznej. Każda podejrzana czynność czy jakiegokolwiek działanie, które można choćby częściowo powiązać z bardzo ogólnie pojętą korupcją, może spowodować nagłą zmianę nastrojów społecznych lub załamanie jakiegoś procesu. To jest niemal kult, z którym naprawdę trudno walczyć. Warunki bytowe i ekonomiczne, które znosić musi rumuńskie społeczeństwo, są straszne, rodzą frustrację, desperację oraz – co najważniejsze – permanentny lęk. Od społeczeństwa złożonego z przestraszonych i bezradnych jednostek doprawdy trudno wymagać racjonalnego rozumowania w skomplikowanych sprawach, a rządzenie państwem i utrzymywanie systemu prawno-politycznego jest bardzo skomplikowane, dalece bardziej niż zarządzanie firmą, nawet bardzo dużą, jak wydaje się zarozumiałym wschodzącym gwiazdom krajowej polityki”, tłumaczy Maria Cernat.

► Groteskowy antykomunizm klasy średniej

Naturalnie w naszych szerokościach geograficznych w żadnej historii nie może zabraknąć czynnika agresywnego antykomunizmu. Antykorupcję w Rumunii często przedstawia się więc jako swoiste przedłużenie „walki z komunizmem”, który jest źródłem wszelkiego zła, a więc i korupcji. Przekonanie to pomagali niestety umacniać socjaldemokraci, którzy są dziś ofiarami antykomunistycznego terroru propagandowego. Rozwijając się według wzoru, który my znamy z okresu wszechwładzy SLD-owskich baronów, rumuńska PSD stworzyła wręcz hrabiów, którzy nie tyle stosowali praktyki korupcyjne, ile zarządzali całymi sieciami na różnych poziomach, w poczuciu absolutnej bezkarności. Czasami rękawicę rzucała im prawica, której zdarzało się nawet wygrywać wybory parlamentarne, jednak socjaldemokraci zawsze mieli gigantyczne zaplecze, które nawet z opozycyjnych ław zapewniało znaczny udział we władzy.

Ich dezynwoltura granicząca z arogancją – stylistycznie bardzo zbliżona do pisowskiego zuchwaństwa – wytworzyła grunt dla rozwoju jadowitego antykomunizmu i antykorupcyjnego oszołomstwa, ale nie tylko. Obiektem bardzo silnej propagandowej ofensywy stali się również wyborcy tej partii, których

prawica i powiązane z nią media traktują w sposób niezwykle obelżywy, odbierając im wszelką godność. Nazywani są pasożytami i złodziejami, gdyż „chcą żyć z zasiłków”; PSD jest jedyną partią, która tego rodzaju kwestie podejmuje. To zaś umacnia prawicę i otwiera drzwi dla takich libertariańskich eksperymentów jak

Socjaldemokraci obsadzili najwięcej stanowisk burmistrzów, choć stracili Bukareszt.

USR Nicușora Dana, gdyż wzmacniając polaryzację, wytwarza jednocześnie kulturę skrajnej pogardy dla biednych.

„Niezauważonym paradoksem jest fakt, że pogardę wobec biedy sięją także biedni, tylko po prostu trochę mniej biedni, których stać na to, by nie ubiegać się o żadne zapomogi. Już samo to daje w naszej kulturze poczucie wyższości. Mamy więc całą wspólnotę osób pomiędzy 20. a 50. rokiem życia, które są poddawane bardzo brutalnemu wyzyskowi w branżach korporacyjnych czy IT i zarabiają kilka razy mniej niż na analogicznych stanowiskach w Europie Zachodniej, ale stać je na jako takie, średnie życie, choć najmniejsze potknięcie może się skończyć pełnym bankructwem. Jednak ci ludzie tego nie widzą, spoglądają wyłącznie przez pryzmat swojej obecnej sytuacji, w której są nieco lepiej umocowani niż zdecydowana większość społeczeństwa, i tej większości nie nawiądują. Mają silnie uwewnętrznione fałszywe przekonanie, że to przez tę rzekomo pązną na zasiłki większość, która manipuluje całym państwem poprzez »komunistów«, którzy z kolei są organizatorami »korupcji«, oni nie mogą się rozwijać, zarabiać więcej i w ogóle wszystko idzie źle”, opisuje dr Cernat.

Kolejna katastrofa już na horyzoncie

PSD rzeczywiście ma jedną właściwość, której wszystkie pozostałe partie jej cichaczem zazdroszczą, choć publicznie socjaldemokratów szkalują. Mianowicie umiejętność nawiązania kontaktu z przeciętnym, biednym, zagubionym i zgorzkniałym obywatelem. Dzięki temu właśnie ta partia zdobywa wiele posad w każdym

wyborach, również w niedawnych lokalnych. Najwięcej stanowisk burmistrzów obsadziła właśnie PSD, choć straciła Bukareszt.

Okoliczności te znów przywołują na myśl rodzime konfiguracje polityczne i wyjątkową niekompetencję całej dzisiejszej opozycji w komunikowaniu się ze społeczeń-

stwem. Zresztą podobieństw między polską i rumuńską kulturą polityczną jest więcej. Liderzy PSD prowadzą politykę zagraniczną na kolanach wobec USA i coraz aktywniej zwalczają ideologię gender. Jeden z liderów i kierownik polityczny państwa i partii, a także marszałek Izby Deputowanych w latach 2016-2018, Liviu Dragnea, to wypisz wymaluj prezes Kaczyński. Tyle że, jak to się kiedyś mawiało – postkomunista.

„Próby powołania w Rumunii nowoczesnej lewicy spełzły na niczym. Inicjatorzy projektu DEMOS (Partia Solidarności i Demokracji – przyp. aut.), głównie intelektualści, już na początku zaplątali się we własne

Próby powołania nowoczesnej lewicy spełzły na niczym.

nogi, a organizacja pogrążyła się w modnych dziś sporach z zakresu równie modnych polityk tożsamości. Szybko tematem numer jeden nowo powstającej lewicy stały się kwestie związane nie z polityką, tylko z ludzką seksualnością. Naturalną konsekwencją była marginalizacja tego środowiska. Na horyzoncie widać już koniec obecnego porządku, czego świadectwem jest choćby bitwa o Bukareszt, którą przegrał establishment. Jednak, zważywszy na rynkowy ekstremizm nowej nadziei Rumunek i Rumunów, która prze do rozmontowania skorumpowanego układu, nowy ład wydaje się niezwykle groźny. To może się okazać naszym najbardziej bolesnym rozczarowaniem. A korupcja nie zniknie, nawet pewnie się nie zmniejszy”, podsumowuje Maria Cernat.

Bojan Stanisławski



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Taka maszyna jak państwo długo potrafi ciągnąć na oparach, ale kiedy nagle robi się i pod górę, i po śliskim, i kierownica nie działa, bo trzeba było ją dawno wymienić, a kasa zamiast na paliwo i olej poszła na browar i fajki dla kierowcy – przychodzi czas próby, bo jechać się nie da, auto zaczyna się zsuwać. Chory czas, słaba metafora. Huczy o aresztowaniu mecenasa Giertycha, który wskrzesił w Polsce brunatnego wirusa, reaktywując przed laty faszyzującą Młodzież Wszechpolską, potem był ministrem edukacji, co mordował Gombrowicza, wicepremierem u Kaczyńskiego, ale nawrócił się na KOD-owych manifestacjach i już jest swój. Giertych da sobie radę. Jest zbyt bogaty i za dużo wie. Ani nie posiedzi, ani nie pożałuje.

Ale w cieniu wprowadzenia na obszarze zamieszkanym przez 70% Polaków stref czerwonych w sytuacji rosnącego wykładniczo rozprzestrzeniania się COVID-19, kiedy każdego dnia umiera jeden tuzin chorych, a za chwilę nie będzie respiratorów, tak jak nie ma już łóżek szpitalnych dla

decyzję w ostatnim dniu urzędowania. Niezaprzysiężony minister edukacji, „profesor” Czarnek, w magicznych okolicznościach wykonał sobie test na koronawirusa, niedostępny dla zwykłych Polaków z objawami czy tylko z obawami – nawet nie musiał wejść do budynku sanepidu, sanepid wyszedł do niego, pobrał wymaz i po godzinie Czarnek dostał wynik – pozytywny. Wicepremier Kaczyński, którego żadne obostrzenia się nie imają (maseczkom i rękawiczkom się nie kłaniał – będą kiedyś pisać), gdzieś sobie krąży, jak już się wyśpi do południa i opanuje bunt swoich senatorów w sprawie ustawy o zwierzętach.

Prezydent Duda przed kilkoma tygodniami zapewniał, że w połowie października szczyt zachorowań będzie z nami, a w ostatnich dniach wdawał się na Twitterze w pyśkówki z dziennikarzem „Rzeczpospolitej”, próbując wyłgać się z odpowiedzialności za swoje słowa podczas kampanii wyborczej, skierowane przeciwko opozycji: „Byli gorszym wirusem niż, proszę państwa, koronawirus. Dla polskiej gospodarki byli gorsi niż koronawirus”.

To nie są ćwiczenia

chorych innych niż na koronawirusa, kiedy nie ma pielęgniarzek, a przeciwko lekarzom – którzy, dopominając się o swoje prawa i godne płace, słyszą od PiS, że mogą sobie jechać (z Polski) – członkowie rządu wytaczają zarzuty nierobstwa i niezaangażowania, próbując przekierować na służbę zdrowia narastający gniew społeczny, umknęło inne symptomatyczne aresztowanie. Również człowieka PiS. Jest nim szef Wojskowego Instytutu Higieny i Epidemiologii w Warszawie (WIHE), płk Adam Z. To świeży dyrektor tej instytucji, bo tuż przed wybuchem pandemii wybitny minister obrony narodowej (nie tak jak Antoni Macierewicz, ale zawsze) zdążył wyrzucić doświadczonych szefów tej placówki, w tym płk. dr. Marcina Niemcewicza, specjalistę kształconego m.in. w Stanach Zjednoczonych, który kierował WIHE od 2011 r. Był m.in. członkiem zespołu lekarzy podczas misji w Iraku. Ośrodek monitorował zagrożenia terrorystyczne i epidemiologiczne. Specjalizował się w zagrożeniach wąglikiem, ale w ostatnim czasie również w zagrożeniach wirusologicznych. Odeszli także zastępca Niemcewicza i grono fachowców. Przyszedł płk Adam Z. Minister Mariusz Błaszczak w Polskim Radiu komentował zmiany: „Medyczne służby wojskowe są gotowe nieść pomoc, reagować w sytuacji zagrożenia”. W rzeczy samej, problem w tym, że w specyficzny sposób. Adamowi Z. zarzuca się, że przez kilka ostatnich miesięcy miał przywłaszczać sobie mienie należące do WIHE w postaci „sprzętu ochronnego, płynów dezynfekujących oraz testów w kierunku koronawirusa”.

Minister Emilewicz, odchodząc z ministerstwa, przyznał 6 mln zł nagród swoim współpracownikom, podpisując

Premier jest na kwarantannie. Oglądamy spektakl, w którym sypie się państwo, ale rząd wciąż ma gębę pełną frazesów i za żadne swoje błędy nie odpowiada. Według najgorszych wzorców próbuje wskazać wrogów publicznych, tym razem ostrze skierowano przeciw lekarzom, bo też trudno sobie wyobrazić, że teraz skutecznie zaprotestują.

Każdy inny polski rząd dawno by już nie istniał. A ten zaraz sobie przyzna premie za walkę z COVID-19, kiedy zmarłych będziemy liczyć w tysiącach. I wzorem dawnego Wałęsy pójdzie w Marszu Niepodległości przeciw sobie samemu, bez maseczek, z flagami i patriotyzmem na ustach. Policja osłaniająca nieosłonięte twarze manifestantów antycovidowych będzie o szóstej rano wyciągać z łóżek kolejne osoby, które podejrzewa o napisanie kilku słów na murze. A my patrzymy i milczymy, bezsilni, bez pomysłu, zastrachani, zniechęceni, zubożniętymi. No bo wybory za trzy lata. Ale kto powiedział, że PiS za to wszystko odpowie? Bo niby co takiego się dzieje? Polityka, Panie, Panowie. Polityka wokół nas. Nikt w Polsce, i nie tylko tu, nie ponosi politycznej odpowiedzialności. Traci władzę, jak Platforma, która przegrała nie za swoje winy, tylko za ośmiorniczki i zegarek Nowaka. To były standardy...

Bukmacherzy przyjmują podobno zakłady, kogo teraz, kiedy nadejdzie fala śmierci i załamania służby zdrowia, zaatakuje PiS. Strażaków? Grabarzy? Kogoś z całą pewnością. Przecież na siebie nie znajdzie nigdy krytycznego słowa. Maseczki na twarz. I niech tak zostaną, bo twarzą rządzący i tak już nie mają.

Mateusz Mazzini

„W latach 70. naszym marzeniem było położenie komputera na każdym biurku na świecie. Dziś komputery znajdują się w każdej kieszeni. Postęp technologiczny osiągnął w naszych czasach niewyobrażalne tempo. Tysiące lat temu poznaliśmy polio. 200 lat temu dowiedzieliśmy się, że jest zaraźliwe, 100 lat temu zdefiniowaliśmy wirusa, który je powoduje. 50 lat temu wynaleźliśmy szczepionkę, 25 lat temu rozpoczęliśmy misję całkowitej eliminacji tej choroby. Czas, by cel ten wreszcie osiągnąć”. Autorem tych słów jest Bill Gates – dawniej znany głównie z działalności biznesowej, rozwijania technologicznego imperium Microsoftu i statusu najbogatszego człowieka na ziemi. Z tworzeniem kolejnych programów komputerowych nie ma już nic wspólnego, a z czołowego biznesmena przekształcił się w czołowego filantropa. Pieniądzy ma tyle, że mógłby je rozdawać praktycznie w nieskończoność. Dekady temu zdecydował jednak, że skupi się na kilku konkretnych, ambitnych, lecz możliwych do realizacji celach. Jednym z nich było wyeliminowanie ze światowej mapy wirusowej polio, w Polsce szerzej znanego jako choroba Heinego-Medina. Z Europy i Stanów Zjednoczonych polio zniknęło już wiele dekad temu, jednak w Afryce i Azji Południowo-Wschodniej nadal zbierało śmiertelne żniwo. Gates wydał mu taką samą – śmiertelną – wojnę. I w 2020 r., po 13 latach od rozpoczęcia inicjatywy, może się ogłosić zwycięzca tego starcia.

Nie ma miejsca na wyjątki

Co ciekawe, zacytowane wyżej słowa pochodzą z przemówienia, które miliarder wygłosił niemal dokładnie w połowie swojej krucjaty. Przemawiając w 2013 r. w czasie dorocznego wykładu im. Richarda Dimbleby'ego, organizowanego i transmitowanego przez BBC, zapowiedział, że polio zniknie z Afryki do 2020 r. Już wtedy był pewien, że uda mu się osiągnąć ten cel, choć droga do niego była wciąż bardzo długa. Nigeria, najludniejszy kraj na kontynencie, pozostawała jednym z trzech

Afrykańska lekcja

Gdy antyszczepionkowcy rosną w siłę, warto przypomnieć, że dzięki szczepionkom i akcji Billa Gatesa polio zniknęło z Afryki



Szczepionka przeciw polio, podobnie jak podawana przez Billa Gatesa szczepionka przeciw rotawirusom, ma formę doustną. Ahentia, Ghana, 26 marca 2013 r.

na świecie, w których transmisja wirusa powodującego polio nigdy nie została powstrzymana. Przy populacji przekraczającej już 200 mln mieszkańców i niesamowitym tempie jej wzrostu, połączonym z kiepską infrastrukturą medyczną, brakiem dostępu do szczepionek i coraz częstszymi konfliktami zbrojnymi na swoim terenie, państwo to jawiło się jako największa, być może nawet niemożliwa do pokonania przeszkoda w realizacji

Światowa koalicja na rzecz walki z polio zaszczepiła od 1997 r. prawie 3 mld dzieci.

celu Gatesa. W dodatku w chwili gdy wypowiadał on swoje słowa, wolne od polio nie były też Indie – inna potęga demograficzna, która wprawdzie w Afryce nie leży, ale przy ogromnej migracji ekonomicznej

mogła stanowić poważne zagrożenie dla powodzenia jego planu. Wreszcie oczywiste jest, że aby dany kraj, region czy kontynent w całości od polio uwolnić, trzeba zaszczepić każde rodzące się tam dziecko. Na wyjątki nie ma miejsca, ominięcie kogokolwiek może mieć katastrofalne skutki dla całej populacji.

Dziś jednak Afryka oficjalnie uznawana jest za kontynent wolny od choroby Heinego-Medina. Od Kamerunu po Somalię, od Libii po RPA, polio zostało z niej wyeliminowane. Udało się dzięki największemu w historii ludzkości partnerstwu publiczno-prywatnemu w opiece zdrowotnej, ogromnym nakładom finansowym i wielkiej determinacji konkretnych ludzi i instytucji. A przede wszystkim – dzięki wierze,

że szczepionki działają i mogą przynosić realne, pozytywne skutki dla milionów osób.

Marsz dziesięciocentówek

Skala przedsięwzięcia współfinansowanego przez fundację Billa i Melindy Gatesów jest trudna do wyobrażenia. Razem ze Światową Organizacją Zdrowia (WHO), UNICEF, Rotary International, CDC – amerykańską agencją epidemiologiczną oraz dziesiątkami pomniejszych organizacji pozarządowych, agencji Narodów Zjednoczonych i przy

byli przekonani o jej dobroczynnych skutkach, a społeczeństwo i władze publiczne nie obdarzyły ich ogromnym zaufaniem, gdy najbardziej tego potrzebowali.

Ze Stanów Zjednoczonych polio oficjalnie zniknęło w 1980 r. – równo ćwierć wieku po zarejestrowaniu szczepionki. Wynaleziona w 1955 r. przez wirusologów z Uniwersytetu w Pittsburghu, testowana była do pewnego stopnia „na żywym organizmie”, którym było ówczesne amerykańskie społeczeństwo. W ostatniej fazie mierzenia jej efektywności podano ją bowiem ponad

Żołyziciel Microsoftu na walkę z polio przeznaczył ponad 6 mld dol.

współpracy krajowych rządów utworzona w 1997 r. światowa koalicja na rzecz walki z polio zaszczepiła w ciągu ponad 20 lat prawie 3 mld dzieci. To właśnie upowszechnienie na skalę masową szczepionki przeciw polio było kluczowe dla pokonania tego wirusa. Jak informuje CDC, podanie dwóch dawek szczepionki daje 90% szans, że nie dojdzie do zarażenia. Podanie trzeciej dawki zwiększa ten odsetek do 99%. Czwarta dawka daje już pewność, że szczepiona osoba na chorobę Heinego-Medina nigdy nie zachoruje. Biorąc pod uwagę, że szczepionka ta istnieje i wciąż podawana jest w dwóch postaciach, w tym doustnie, podać ją dzieciom może praktycznie każdy. Nie potrzeba więc sztabu wysoce wykwalifikowanych lekarzy, wystarczy jedynie armia wolontariuszy. To znacznie zmniejsza koszty wal-

ki z wirusem, pozwala też na łatwą i szeroką rekrutację osób, które mogą w niej pomóc. WHO szacuje zresztą, że odkąd uruchomiono globalną strategię przeciwko polio, w szczepieniu dzieci wzięło udział ponad 20 mln wolontariuszy na całym świecie.

Pomocny był również fakt, że bardzo tania jest sama szczepionka. W wersji doustnej kosztuje równowartość 14 amerykańskich centów, czyli nieco ponad 50 gr. Tak niska cena to efekt wielu czynników – naukowego konsensusu, wsparcia małżeństwa Gatesów i podobnych im filantropów, ale także rozwoju technologicznego i postępu w badaniach klinicznych. Nie byłoby go jednak, gdyby twórcy szczepionki nie

650 tys. dzieci w USA. Przeprowadzenie tak szerokiej kampanii szczepionkowej było z kolei możliwe dzięki ogromnym nakładom finansowym, jakie otrzymał koordynator prac, dr Jonas Salk. Co ciekawe, pieniądze te nie pochodziły od bogatych filantropów, prywatnych firm medycznych ani nawet od rządu federalnego. Zebrała je organizacja charytatywna – Narodowy Instytut Badań nad Paraliżem Dziecięcym, założony przez Basila O'Connora. Z wykształcenia prawnik, mógł się pochwalić bardzo szerokimi koneksjami na szczytach amerykańskiej władzy. Partnerem w jego kancelarii był bowiem Franklin D. Roosevelt. Dzięki temu O'Connorowi łatwiej

Zwalczenie polio było możliwe dzięki wierze, że szczepionki działają.

było nakłonić Biały Dom do zaangażowania się w zbiórkę funduszy, jednak o jej sukcesie zadecydowała ogólnonarodowa mobilizacja. W ramach kampanii, która przeszła do historii jako „Marsz dziesięciocentówek”, O'Connor, Salk i inni zachęcali Amerykanów do wysyłania do Białego Domu monet właśnie o tym nominale, przeznaczonych na prace nad szczepionką na polio. W 1955 r. Salk mógł już z pełną odpowiedzialnością zakomunikować, że szczepionka działa. 25 lat później krzywa zachorowań na chorobę Heinego-Medina w USA osiągnęła zero. I do teraz z tego poziomu się nie ruszyła. Systematycznie spadały też cena i koszty podawania szczepionki.

99-procentowy sukces

Oczywiście polio z Afryki nie zniknęło tylko dzięki tanim i skutecznym szczepionkom. Sama możliwość ich podawania jest bowiem pochodną ogromnego postępu – infrastrukturalnego, medycznego, gospodarczego – w krajach kontynentu. Wirus powodujący chorobę Heinego-Medina przenosi się bowiem drogą oralno-fekalną. Do zahamowania jego transmisji kluczowa jest więc higiena osobista. Czyli dostęp do bieżącej wody i środków czystości oraz korzystanie z toalet w warunkach pełnego bezpieczeństwa sanitarnego. To też pomogło w osiągnięciu wyznaczonego przez Gatesa celu. I znów

ważną rolę odegrały jego pieniądze, bo bez pokaźnych darowizn od fundacji Billa i Melindy trudno byłoby prowadzić w Afryce wiele inwestycji – od budowania kanalizacji i studni po dystrybucję szczepionek, wartych tyle co landrynka, a ratujących życie milionom.

Łącznie założyciel Microsoftu na walkę z polio przeznaczył ponad 6 mld dol. Niełatwo ocenić, czy to dużo, czy mało. Najważniejsze, że była to kwota wystarczająca. Bo Gates oprócz własnych pieniędzy dał tej krucjacie znacznie więcej: rozpoznawalność i uwagę całego świata. O dążeniach do wyeliminowania polio mówił praktycznie za każdym razem, gdy zabierał głos

publicznie. Cały czas podkreślał, że zamierza swój cel osiągnąć. Ignorował fakt, że z powodu zaangażowania w popularyzację szczepionek stał się ulubionym celem wyznawców wszelkich teorii spiskowych. I dopiął swego – dziś nowe zachorowania na polio notuje się tylko w Pakistanie i Afganistanie. Choroba zniknęła z powierzchni ziemi w 99%. Przede wszystkim dzięki skutecznej i powszechnej szczepionce. W czasach gdy ruchy antyszczepionkowe rosną w siłę, a ludzkość znów zmaga się z nieujarzmionym wirusem, afrykański sukces Gatesa to lekcja, z której czerpać powinniśmy wszyscy pełniymi garściami. ■

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Papież chłoczne neoliberalizm

Głos Franciszka z nowej encykliki lepiej współbrzmi z diagnozami i receptami lewicy niż liberałów czy prawicy

Ignacy Dudkiewicz

„Sam rynek nie rozwiązuje wszystkiego, chociaż czasami chcą, abyśmy uwierzyli w ten dogmat wiary neoliberalnej. To kiepski, powracający sposób myślenia, który zawsze proponuje te same recepty w obliczu wszelkich wyzwań. Neoliberalizm sam się powiela, uciekając się do magicznej teorii (...) »skapywania« (...). Koniec historii był inny, a dogmatyczne receptury panującej teorii ekonomii nie okazały się nieomyłne”. Tych słów nie napisał Slavoj Žižek, Janis Warufakis czy Adrian Zandberg. To fragmenty nowej encykliki papieża Franciszka *Fratelli tutti* (Wszyscy braćmi), będącej aktem oskarżenia wobec neoliberalizmu, populizmu oraz możliwych tego świata. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jego głos lepiej współbrzmi z diagnozami i receptami lewicy niż liberałów czy prawicy.

Nie czyni to papieża nowym przywódcą światowej lewicy. Z powodu oczywistych różnic głowa Kościoła katolickiego nie stanie się jej głównym autorytetem. Franciszek jest jednak duchowym i faktycznym przywódcą grubo ponadmiliardowej społeczności. Gdy więc tak jednoznacznie po raz kolejny staje po stronie słabych, ubogich i opresjonowanych, a także środowiska naturalnego, może to cieszyć również tych, którzy nie podzielają jego poglądów w sferze bioetyki czy metafizyki.

Przeciw imperium pieniądza

Antykapitalistyczne treści w nauczaniu Franciszka nie są niczym nowym. We *Fratelli tutti* jego krytyka rynków finansowych, spekulacji, podporządkowania polityki dyktatorowi ekonomii znajduje jednak całościowy wyraz. Ocenia on, że kryzys gospodarczy sprzed kilkunastu lat nie został należycie wykorzystany do zmiany myślenia o ekonomii, a ostatecznie przyjęte rozwiązania służyły

zwiększeniu możliwości działania możliwych, „którzy zawsze znajdują drogę wyjścia bez szwanku”. Również w przypadku pandemii, jak sądzi papież, nie umieliśmy pójść drogą globalnej solidarności.

Franciszek umieszcza tę niezdolność w szerszej perspektywie i szuka głębiej jej przyczyn. Krytykuje – odnosząc się do klasycznej triady – indywidualizm, który „nie czyni nas bardziej wolnymi, bardziej równymi, bardziej braćmi”. Bez owijania w bawełnę rozprawia się z szanowaniem godności ludzi tylko o tyle, o ile wnoszą oni

Franciszek rysuje wizję ludzkości, która zapewni wszystkim ziemię, dom i pracę. Główną przeszkodą zdaje się być kapitalizm.

użytkownie rozumiany wkład w kapitalizm i pomnażanie zysków, które czerpią głównie najbogatsi. Żyjąc na dyktat wydatności, „obsesję obniżania kosztów pracy” i „zmniejszania kosztów ludzkich”. Píše: „Jeśli społeczeństwo kieruje się przede wszystkim kryteriami wolnego rynku i skuteczności, (...) braterstwo będzie tylko kolejnym romantycznym wyrażeniem”, dodając, że w takiej sytuacji słowa demokracja, wolność czy równość stają się kolejnymi narzędziami dominacji kulturowej silnych nad słabymi, a nie rzeczywistymi wartościami wcielającymi w życie. Opisuje, jak obecny kształt gospodarki wypycha osoby „nieużyteczne” (np. starsze) na „peryferie znajdujące się blisko nas, w centrum miasta lub we własnej rodzinie”, czyniąc z nich „ukrytych uchodźców” traktowanych w społeczeństwie jak ciała obce.

Co Franciszek proponuje w zamian? Nie przedstawia całościowego planu naprawczego globalnej gospodarki. Ale nie znaczy to, że z *Fratelli tutti* nie wynika nic konstruktywnego.

Papież jednoznacznie stwierdza, że dobroczynność i wielkoduszność nie wystarczą. Poparcie dla aktywnego w gospodarce i rozwiązywaniu problemów społecznych państwa

opisuje jako zależne od statusu ekonomicznego, oskarżając bogatych – mówiąc wprost – o to, że nie potrafią spojrzeć dalej niż na czubek własnego nosa. Franciszek natomiast wzywa do „walki ze strukturalnymi przyczynami ubóstwa, nierównością, brakiem zatrudnienia, ziemi i mieszkań, negowaniem praw społecznych i pracowniczych”. Jak píše, jest to „stawianie czoła niszczącemu efektom imperium pieniądza”. W tym kontekście obrywa się zresztą nie tylko liberałom, ale także lewicy, która w ocenie papieża bywa związana z „nawykami

indywidualistycznymi i nieskutecznymi procedurami, które docierają do nielicznych”, a pozostawia „rzesze ludzi na fasce ewentualnej dobrej woli niektórych osób”.

Franciszek wzywa więc nie tylko do zmiany myślenia, rozwijania „duchowości braterstwa”, ale też do tworzenia „skutecznej organizacji świata”. Uderza w demontaż publicznych systemów ochrony zdrowia. Sprzeciwia się takim działaniom na rzecz osób ubogich, które nie budują ich sprawczości ani poczucia uczestnictwa w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym, lecz pozostawiają ich odbiorcami wsparcia. Wskazuje, że wzrost bogactwa bez realnej redystrybucji i wspólnego dzielenia jego owoców powoduje jedynie nowe formy ubóstwa.

Domaga się poza tym, by uznać pożywienie, wodę, dach nad głową oraz dostęp do opieki zdrowotnej za niezbywalne prawa człowieka. Krytykuje sytuację, gdy prawa człowieka są dla wybranych, a bez reakcji pozostaje nieprzepraszanie ich wobec olbrzymich grup. Nie ma wątpliwości, skąd się to bierze. Ponownie uderza w możnych i silnych: „Wojny, zamachy, prześladowania z powodów



Papież wywodzący się z kraju globalnego Południa dobrze rozumie problemy biednych ludzi i społeczeństw.

rasowych lub religijnych, a także liczne wykroczenia przeciw ludzkiej godności są oceniane na różne sposoby w zależności od tego, czy są one zgodne z określonymi interesami, głównie gospodarczymi, czy też nie. To, co jest prawdą, gdy jest wygodne dla możliwego, przestaje nią być, gdy mu się to nie opłaca”.

Nieświęte prawo własności

Krytykę kapitalizmu i neoliberalizmu papież odnosi również do zagadnień globalnych. Jego sposób mówienia o relacjach międzynarodowych – ekonomicznych i politycznych – zdaje się korzystać z perspektywy neokolonialnej, co w przypadku papieża wywodzącego się z kraju globalnego Południa nieszczerze dziwi.

Papież jednoznacznie stwierdza, że dobroczynność i wielkoduszność nie wystarczą.

Według Franciszka pokój światowy nie będzie możliwy bez oddania sprawiedliwości wielowiekowemu cierpieniu i wyzyskowi ubogich – zarówno osób, jak i całych społeczeństw. Papież postuluje przemyślenie kwestii długów krajów ubogich wobec państw bogatych, pisząc, że ich egzekwowanie nie może niszczyć społeczeństw i gospodarek krajów

zadłużonych. Domaga się reformy międzynarodowych instytucji, w tym finansowych, oceniając, że przez lata promowane było prawo „do swobody inwestowania przez potęgi gospodarcze bez przeszkód i komplikacji we wszystkich krajach”. Owa dominacja – narzucająca rozwiązania fiskalne, uzależniająca gospodarki Południa od możniejszych, obalająca rządy czy wszczynająca wojny – jest według papieża sposobem na instrumentalne wykorzystywanie demokracji i wolności do szerzenia władzy i pomnażania zysków.

W tym kontekście Franciszek przypomina wielowiekowe nauczanie Kościoła, według którego własność prywatna nie jest wartością absolutną, lecz pozostaje wtórna wobec zasady powszechnego

przeznaczenia dóbr stworzonych. To zaś rodzi wciąż nieprzyswojone konsekwencje, zgodnie z którymi „prawo niektórych do swobód przedsiębiorczości lub rynku nie może być stawiane ponad prawami narodów i godnością ubogich, ani też ponad poszanowaniem środowiska”.

Kapitalizm miota się zresztą w sprzecznościach. Z jednej strony,

chciałby korzystać z „taniej siły roboczej” w krajach Południa oraz napływu migrantów i migrantek, pozwalającego utrzymać komfort życia w krajach Północy, z drugiej – próbuje ograniczać migrację, z trzeciej wreszcie wytwarza dynamikę kolonizowania gospodarek krajów uboższych i ograniczania ich realnego rozwoju, co znów napędza migrację. Papież wyraźnie widzi te mechanizmy, nazywa je po imieniu i po raz kolejny wiele uwagi poświęca sytuacji i prawom migrantów i migrantek.

Przeciw populistom

Ostrze papieskiej krytyki nie jest jednak wymierzone wyłącznie w neoliberalizm i kapitalizm. Poważnie obrywa się również populistom. Franciszek pisze: „Pogarda dla słabych może się ukrywać w formach populistycznych, które wykorzystują ich dla swoich demagogicznych celów, lub w formach liberalnych, służących interesom gospodarczym możliwym”. Nie jest jednak krytykiem populizmu jako takiego, ale jego wynaturzonej formy. Postuluje wręcz próbę odebrania słowa ludowy populistom, którzy ów lud wykorzystują do powiększania swojej władzy. Krytykuje „podporządkowywanie instytucji i systemu prawnego” politykom czy wykorzystywanie realnych krzywd

► ludu do dzielenia społeczeństwa lub nakręcania ksenofobicznych kampanii opierających się na „zamkniętych, ostrych, gniewnych i agresywnych nacjonalizmach”. Widząc zatem realne krzywdy ludzi opresjonowanych, sprzeciwia się kierowaniu ich gniewu przeciw innym pariasom tego świata.

W wielu krajach, w tym w Polsce, aktualnie brzmią jego słowa, że „najlepszym sposobem, by panować i posuwać się naprzód bez ograniczeń, jest sianie rozpacz i budzenie ciągłej nieufności, nawet jeśli jest to zakamuflowane pod maską bronienia pewnych wartości. Dzisiaj w wielu krajach stosowany jest polityczny mechanizm jątrzenia, rozdrażniania i polaryzacji. Na różne sposoby odmawia się innym prawa do istnienia i wyrażania swoich opinii”. Owych innych ośmiesza się, posądza i osacza. Odmawia się drugiej osobie prawa „do bycia sobą i do bycia odmienną”, co „prędzej czy później prowadzi do jakiejś formy przemocy, często niespodziewanej”. Choć papież w encyklice nie odnosi tych słów wprost do sytuacji osób LGBT+, to w Polsce tego właśnie klucza warto użyć, czytając te i podobne fragmenty.

Jest to tym bardziej uprawnione, że Franciszek, uderzając w liberałów, populistów i nacjonalistów, nie waha się krytykować niektórych form religijności. Gdy przywołuje św. Franciszka

z Asyżu, podkreśla, że „nie prowadził on wojny dialektycznej, narzucając doktryny, ale przekazywał miłość Boga”. Gdy pisze o sposobie głoszenia Ewangelii, wskazuje, że „są wierzący, którzy uważają, że ich wielkość polega na narzucaniu swoich ideologii innym lub na obronie prawdy z użyciem przemocy, albo na potężnych manifestacjach siły”. Słowa te można śmiało odnieść do wypowiedzi i zachowań licznych polskich biskupów. Podobnie jest, gdy czytamy o ludziach, którzy „tworzą w swoim społeczeństwie kategorie pierwszej i drugiej klasy, kategorie osób z mniejszą lub większą godnością i prawami”

Franciszek uderza w demontaż publicznych systemów ochrony zdrowia.

i „w ten sposób zaprzeczają, że jest w nim miejsce dla wszystkich”. Polskim hierarchom – i nie tylko – warto byłoby również zacytować wezwanie Franciszka do troski „o to, by nie zranić słowami lub gestami (...)”. Wiąże się to z wypowiedzianiem „słów otuchy, które koją, umacniają, dają pociechę, które pobudzają», a nie »słów, które poniżają, zasmucają, drażnią, gardzą«”.

Uwierzymy w inny świat

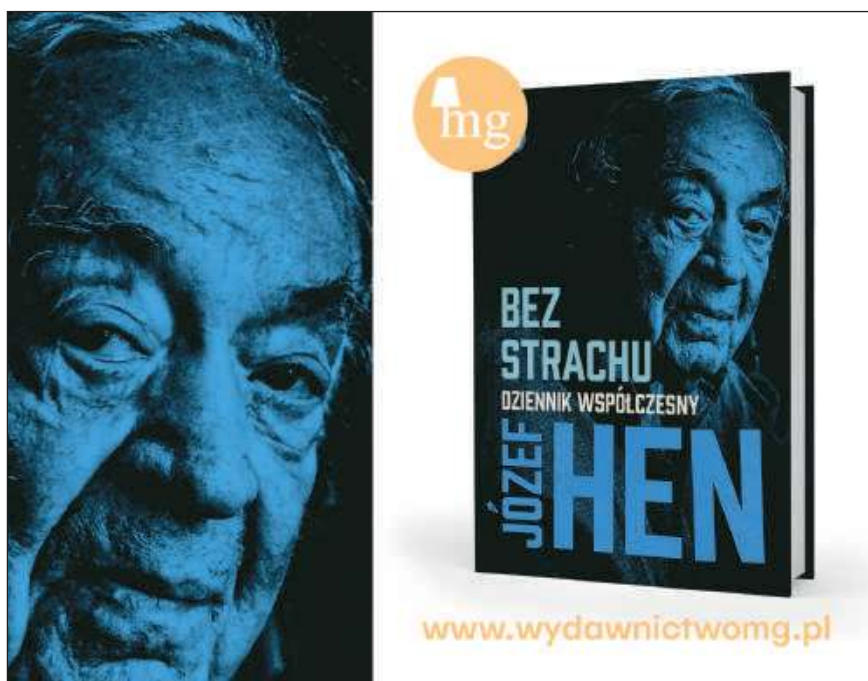
Papież podejmuje także wiele innych tematów. Krytykuje patologie

mediów społecznościowych i ich destrukcyjny wpływ na demokrację. Analizuje przypowieść o miłosiernym Samarytaninie. Całkowicie odrzuca karę śmierci, krytykuje areszty prewencyjne, domaga się humanitarnego traktowania więźniów, a dożywocie nazywa „ukrytą karą śmierci”. Przedefiniowuje katolickie rozumienie wojny sprawiedliwej, stwierdzając, że obecnie trudno o takiej mówić. Postuluje całkowitą rezygnację z broni jądrowej i przekazanie znaczącej części środków dotąd wydawanych na zbrojenia na światowy fundusz, który wyeliminowałby głód i wsparł rozwój krajów najuboższych.

Wszystko to – podobnie jak krytykę funkcjonowania gospodarki – można uznać za naiwniactwo. Tak zresztą reagują na encyklikę konserwatyści i liberałowie w wielu krajach, zarzucając papieżowi pięknoduchostwo i oderwanie od rzeczywistości. Nie sądzę jednak, by Franciszek coś sobie z tego robił. Pisze on: „Na fałszywe »wszystko jest złe« odpowiada się »nikt nie może tego naprawić«, »cóż ja mogę zrobić?«. W ten sposób podsyca się rozczarowanie i beznadzieję, a to nie sprzyja duchowi solidarności i hojności. Pograżanie ludu w zniechęceniu to zamknięcie doskonałego błędnego koła: tak działa niewidzialna dyktatura skrytych interesów, które zawładnęły zasobami i zdolnościami do wyrażania opinii i myślenia”. Namawia też do „marzenia i myślenia o innej ludzkości. Można tęsknić za planetą, która zapewni ziemię, dom i pracę dla wszystkich. To jest prawdziwa droga do pokoju, a nie głupia i krótkowzroczna strategia siania strachu i nieufności w obliczu zagrożeń zewnętrznych”.

Być może więc przypisywane różnym autorom stwierdzenie, że łatwiej dziś wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu, nie dotyczy Franciszka, który zdaje się widzieć realne zagrożenie pierwszym, ale również jest w stanie wyobrazić sobie drugi. Może to nieżyczliwe. Może to naiwne. Ale przede wszystkim budujące i inspirujące.

Ignacy Dudkiewicz jest filozofem, bioetykiem, publicystą i nauczycielem, redaktorem naczelnym Magazynu Kontakt (www.MagazynKontakt.pl)



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Nasi górą, obcy dołem

Udręczony polityką z radością oglądałem tenisowy turniej Roland Garros, chociaż puste stadiony, na widowni nieliczni ludzie w maseczkach. Taki stadion rok temu wzbudziłby zdumienie. Intryguje mnie mechanizm utożsamiania się z zawodnikiem. Najczęściej kibicujemy temu, kto jest z naszego plemienia. To solidarność stadna, czyli narodowa, ale ten mechanizm działa. Gdy natomiast grają zawodnicy z innych krajów, mamy skłonność, by kogoś wybrać na swojego faworyta, tak jak utożsamiamy się z aktorem w filmie.

Czasami ta sympatia rodzi się z błahych powodów, a czasami z politycznych. W minionej epoce nigdy nie kibicowałem zawodnikom ze Związku Radzieckiego czy z NRD. Teraz znaczenie mają wygląd, wdzięk osobisty, kibicuję w tenisie niewysokim, bo sam jestem niewysoki, a niewysocy w tenisie mają trudniej. Bardziej ładnym zawodniczkom niż brzydkim. A to małe i podłe. Ale generalnie kibicuję niefanatycznie. Fanatyzm kibiców, szczególnie piłkarskich, budzi moją odrazę. Ale fanatyzm był zawsze, w starożytności wściekłą pasją były wyścigi rydwanów, kibice nosili też na co dzień różne barwy, dochodziło do domowych wojen między zwolennikami rozmaitych drużyn.

Gram w tenisa od czasu studiów. Teraz zrobiłem sobie przerwę, bo nawala mi biodro. Wymieniałem w samochodzie niedawno łożysko z prawej strony i chce trafiać, szwankuje mi łożysko w prawym biodrze. Człowiek starzeje się i psuje podobnie jak samochód, wozy umierają nam w podobnym czasie jak psy i koty. A Iga Świątek wygrała finał. Wygrał więc też Kowalski i Malinowski. Nasi górą, obcy dołem. Teraz będzie wiele gadania, które ujawni, że jako naród mamy okropne kompleksy, pokrywane nieraz urojeniami wielkościowymi. A Iga Świątek przecież wygrała nie dla Polski, ale dla siebie i trochę dla taty i siostry. Na pewno nie dla Dudy, Morawieckiego ani prezesa, trudno o kogoś mniej sportowego niż prezes (kiedyś widziałem, jak kopnął piłkę i udało się, nie stracił nogi).

I zaczęło się to delektowanie się mediów, że będą teraz o Polsce pisać, zaczęło się powiewanie płachtami zagranicznych gazet, tu nas chwala i tu, i tam, cały świat ma Świątek na ustach. Znamiennie, tak się upolitycznił, że kiedyś w kibicowaniu Agnieszce Radwańskiej przeszkadzało mi, że jej ojciec jest pisowcem, tu nie wiem, jak jest, ale z góry zakładałam, że odwrotnie.

Mam mieć spotkanie autorskie w praskiej kawiarni Proces Kawki, zmyślna nazwa. Zgodziłem się, bo stał

za tym lekarz, bliski mój kolega, po sześćdziesiątce nie mieć w Polsce znajomego lekarza to tragedia. Jego córka Ola pracuje jako menedżer w tej kawiarni. Mam wiele doświadczeń z takimi spotkaniami, złych i dobrych, wiem, że jeśli miejsce nie ma tradycji spotkań, mała jest szansa, by przyciągnąć ludzi. Szczególnie w czas zarazy.

Ładna kawiarnia z duszą, na razie pusto. Nadchodzi czas spotkania, minuty płyną nieubłagane, nadal pusto, przy stoliku tylko dwóch starszych panów, niewyglądających na takich, co czytają książki. Z każdą nową minutą widać, że już nikt więcej nie przyjdzie. Pytam panów, czy nie pogniewają się, jeśli spotkania nie będzie. „Co proszę?! – wołają. – Słabo słyszymy”. Myślę: na dodatek przygłusi, to mi się nawet podoba. Przechodzili mimo, zobaczyli plakat, to sobie zaszli, nie mają nic przeciwko temu, by spotkanie się nie odbyło, nie mają pojęcia, jaki miał być temat i czy cokolwiek by słyszeli. Żal mi znajomego, dojechał taksówką, i jego córki, ma łzy w oczach. Przykra mi ich obawa, że może mnie jest przykro. Więc przykro mi, że im przykro.

Po sześćdziesiątce nie mieć w Polsce znajomego lekarza to tragedia.

Znam ten ból. Poczucie odpowiedzialności, lęk, czy dopisze publiczność. Przerabiałem to w Sztokholmie, kiedy byłem dyrektorem Instytutu Polskiego. Niepokój, czy na spotkaniu będzie dosyć Szwedów, Szwed, czyli tubylec, był kilkakrotnie więcej wart od polskiego emigranta. Ten niepokój wyżył mi głęboką bliznę. A z kolei sprzed wielu lat pamiętam, jak miałem mieć spotkanie poetyckie z ks. Twardowskim. Nie przyszedł nikt (pewnie w ogóle tego nie ogłoszono). Na szczęście ksiądz zachorzał i nie przybył, trochę dziecinny i próżny, bardzo by to przeżył.

A mnie cała ta sytuacja rozbawiła. Jak nie ma nikogo, to jest to po prostu przyrodnicza osobliwość. Najgorzej, jak są np. cztery osoby, nie wypada odwoływać, trzeba gadać, a to już nie jest śmieszne. Przytrafiło mi się to dwa lata temu. Duże miasta są fatalne na spotkania, za wiele atrakcji, ludzie zabiegani, najlepsza jest publiczność w małych miasteczkach, przychodzi miejscowa elita, na dodatek zawsze antypisowska, co krzepiące.

t.jastrun@tygodnikprzeklad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeklad.pl

Jan J. Zygmuntowski

Jeszcze w 1997 r. wśród pięciu najwyższyc wycenianych spółek świata znajdowała się tylko jedna, której najważniejszym źródłem przychodu były informacje – pośród dwóch firm wydobywczych, jednego potentata przemysłowego oraz firmy spożywczej, pozycję trzecią zajął Microsoft. W 2012 r. po raz pierwszy przez wszystkie kwartały najdroższą firmą pozostawał Apple, producent sprzętu (hardware'u) oraz oprogramowania (software'u), rozpoznawalny dzięki skupieniu się nie na produkcji przemysłowej, ale na designie i jakości wynikającej z nagromadzenia wiedzy w procesie wytwórczym. Pod koniec 2017 r. pięć pozycji u szczytu listy zajmowały już wyłącznie firmy technologiczne, w tym trzy oparte w zasadzie na modelu cyfrowej platformy: Alphabet (w skład której wchodzi m.in. Google), Amazon.com¹ oraz Facebook. Tuż za nimi uplasowali się natomiast potentaci platformowi z Chin: Tencent (właściciel QQ, WeChat) oraz Alibaba Group (AliExpress, Taobao, Ant Financial). (...)

Przyjrzyjmy się bliżej platformom wielostronnym, czyli infrastrukturze cyfrowej umożliwiającej łączenie stron rozproszonego popytu i podaży. Od innych rodzajów działalności gospodarczej opartej na wykorzystaniu informacji oraz wiedzy odróżnia je choćby szybkość skalowania operacji i równie dynamicznie rosnące zyski finansowe, co przejawia się

Profilowanie nas przez algorytmy może doprowadzić do pomyłek, takich jak odrzucenie wniosku o refundację operacji medycznej z ubezpieczenia zdrowotnego.

w wycenie tych, które już osiągnęły sukcesy, oraz zaufaniu inwestorów (szczególnie *venture capital*) do tych, które są na drodze do sukcesu.

Aby precyzyjnie zidentyfikować zakres poniższych rozważań, odwołam się najpierw do kategoryzacji platform zaproponowanej przez Nicka Srnicka². Dzieli on krajobraz infrastruktury platformowej na pięć głównych kategorii:

1. platformy reklamowe, które pobierają dane użytkowników, analizują je, a przychody uzyskują

z oferowania usług marketingowych (np. Google, Facebook);

2. platformy chmurowe (*cloud*), które wynajmują podstawowy *hardware* i *software* innym firmom, opartym na rozwiązaniach cyfrowych (np. Amazon Web Services, Salesforce);

3. platformy przemysłowe, które budują podłączone do sieci inteligentne narzędzia wytwórcze (np. General Electric, Siemens);

4. platformy produktowe, które kapitalizują zamianę aktywów w strumień świadczenia usług, pobierając dzięki temu rentę (np. Spotify);

5. platformy „odchudzone” (*lean*), które mają na celu redukowanie do minimum tych elementów procesu, które nie przynoszą zysków, czyli głównie kosztów i zobowiązań (np. Uber, Airbnb). (...)

Na przykładzie kilku problematycznych przypadków będziemy mogli klarownie dostrzec pewne prawidłowości tego segmentu gospodarki. Zacznę ten opis od platform *lean*, których działania wpłynęły bezpośrednio na rynki tradycyjnych

dóbr i usług, prowadząc do oporu ze strony zagrożonych grup.

Jako swego czasu największy reprezentant tzw. gospodarki współdzielenia (*sharing economy*) – wycena spółki osiągnęła zawrotne 70 mld dol. – Uber z sukcesem dokonał ekspansji w relatywnie tradycyjnym sektorze transportu osobowego. Zarazem Uber zaciekle broni swojego twierdzenia, w myśl którego jest firmą świadczącą usługi informatyczne, co zwalnia spółkę z wszelkiej odpowiedzialności

Platformy cyfrowe, cyfrowe monopole

Dostęp do kredytu czy składka ubezpieczeniowa coraz bardziej zależą od danych z mediów społecznościowych



regulacyjnej – od praw pracowniczych po prawa antydyskryminacyjne. Na kierowców przerzucana jest odpowiedzialność za pojazd czy ubezpieczenie, wobec czego przerzucane są również wszystkie niezbędne koszty wykonywania tej pracy. Zatem platforma ustalająca ceny, pensje, zajmująca się płatnościami, systemem reputacyjnym (ocenami i karami w przypadku ich niskiego poziomu) i dystrybucją popytu oraz podażą umieszcza siebie poza istniejącymi regulacjami, opierając się na niepewności związanej z brakiem adekwatnej interpretacji przepisów w kontekście nowych technologii. Ten status gwarantuje prowadzenie operacji bez zwracania uwagi na otoczenie i tym samym pozwala Uberowi przechwycić rynek oraz osiągać zysk przy łamaniu wszelkich zasad konkurencji, pokonując rywali

biznesowych stosujących się do prawa. Ponadto Uber jest daleki od redukcji kosztów transakcyjnych do zera, co entuzjaści gospodarki współdzielenia szczególnie często stawiają za dobry standard. Marża firmy wynosi dziś ponad 25% ceny przejazdu. Na niektórych lokalnych rynkach Uber wciąż utrzymuje model zaniżania ceny, szczególnie jeśli czuje presję ze strony innych firm wdrażających rozwiązania cyfrowe, podczas gdy na innych zaczyna wykorzysty-

osiedli i bloków mieszkalnych. Podnoszenie czynszów i nienaturalny wzrost cen mieszkań w miastach atrakcyjnych dla turystów, takich jak Paryż, Barcelona czy Nowy Jork, zepsuły w konsekwencji rynek nieruchomości i zmniejszyły podaż dostępnych miejsc zamieszkania, co odbiło się negatywnie na jakości życia mieszkańców i długoterminowym funkcjonowaniu lokalnego biznesu.

Wiele poważnych zastrzeżeń budzi również niejawną polityka

oceny nauczycieli w Stanach Zjednoczonych okazał się niespójny i obciążony licznymi wadami, jednak jego wynikami, potraktowanymi jako obiektywne rezultaty, uzasadniono masowe zwolnienia. Algorytmy *predictive policing* prowadziły do rasistowskiego terroru policji tam, gdzie próbowano optymalizować lokalizację patroli i podkreślić wyniki zatrzymań, a inne narzędzia odtwarzały dyskryminacyjne schematy w profilowaniu kandydatów do



wać swoją silną pozycję do osiągnięcia wartości. (...)

Kolejną szeroko rozpoznawalną firmą gospodarki współdzielenia, która generuje negatywne efekty zewnętrzne, jest Airbnb. Wiele miast w Europie i Stanach Zjednoczonych – np. Amsterdam, Berlin, Londyn, Charleston, Nowy Jork, San

Wiele poważnych zastrzeżeń budzi niejawną polityka przetwarzania danych przez platformy.

Francisco czy włoskie miasta korzystające z regulacji krajowych – podjęto już kroki przeciwko platformie, od grzywnien i inspekcji do całkowitego zakazu krótkoterminowego wynajmu. Ogromne zyski osiągane przez właścicieli mieszkań dzięki turystom w znaczącym stopniu przyczyniły się do procesu gentryfikacji całych

przetwarzania danych stosowana przez platformy. Ze względu na technologiczne zaawansowanie platform dokładna architektura działania i operacji systemowych, analizy danych, sposobów zbierania informacji i ich wpływu na dostęp do produktów, usług oraz rynku pozostają w dużej mierze nieznane. Wiele platform, zarówno plasujących się w segmencie gospodarki współdzielenia, jak i mediów społecznościowych, wyszukiwarek lub innego typu oprogramowania, broni dostępu do swoich wewnętrznych mechanizmów. (...)

Platformy mogą za pomocą swoich mechanizmów faworyzować niektóre grupy lub zmieniać parametry danego rynku w celu maksymalizacji zysku, nawet jeśli niesie to negatywne skutki dla użytkownika. Niektóre przykłady profilowania za pomocą algorytmów ujawniają poważne zagrożenie.

Profilowanie nas przez algorytmy może doprowadzić do pomyłek (takich jak odrzucenie wniosku o refundację operacji medycznej z ubezpieczenia zdrowotnego czy podnoszenie oprocentowania kredy-

tu), które nie są przedmiotem zainteresowania samych twórców tych narzędzi. Niejednokrotnie stosowanie algorytmów bez szerszego kontekstu społeczno-ekonomicznego prowadzi do sprzężeń zwrotnych (*feedback loops*), które wzmacniają zastane nierówności. *Value-Added Model* używany przez wiele lat do

Model biznesowy Facebooka czy Amazona opiera się na primacie osiągania zysku ponad innymi wartościami.

pracy. Podobnie dostęp do kredytu czy składka ubezpieczeniowa w coraz większym stopniu są wyznaczane nie tylko przez tradycyjne dane, np. wiek i zatrudnienie, ale także przez te zasysane z mediów społecznościowych.

Arbitralne podejmowanie decyzji i brak przejrzystości prowadzą do niekorzystnej sytuacji, w której użytkownicy i użytkownicy (...) są dziś konfrontowani z „czarną skrzynką” platformy, bez żadnej możliwości zrozumienia procesów, a tym bardziej odwołania się od nich lub

Dane osobowe są dziś „ropą” cyfrowej gospodarki.

współzarządzania nimi³. Zarówno sklepy i rynki pośredniczące w handlu internetowym (*marketplace*), media społecznościowe, jak i inne podmioty nowej cyfrowej infrastruktury funkcjonują w ten sposób. Facebook, Amazon Mechanical Turk, Alibaba – ich obecny model biznesowy opiera się na scentralizowanym, hierarchicznym podejmowaniu decyzji i primacie osiągania zysku ponad innymi wartościami. Wybuchające regularnie skandale związane z niektórymi z tych nadużyć – jak wzmacnianie zasięgu filmów spiskowych przez YouTube dla generowania przynoszącego firmie zyski ruchu czy sprzedawanie reklam opartych na inwigilacji użytkowników (w tym wywiadom zagranicznych mocarstw i grupom interesu) na Facebooku – pokazują skalę problemu.

Konieczne jest także zwrócenie uwagi na problem braku stabilności zatrudnienia i niskich

► standardów ochrony pracowników, które rozpowszechniły się razem z popularnością platform „pracy na żądanie” (*gig economy*), czyli delegujących drobne, krótkoterminowe zadania i usługi. Rynek pracy o zwiększonej swobodzie zawierania i rozwiązywania umów, oferowany przez platformy cyfrowe, doprowadził do powstania „pracy tłumy” (*crowdwork*), czyli zlecania zadań dużej grupie konkurujących o jej wykonanie pracowników online. Efektem tego jest postępująca prekaryzacja. Samozatrudnienie, elastyczność i gotowość do pracy w każdym momencie, zamazujące podział na czas pracy i czas wolny, wreszcie „umowy zero godzin” (*zero-hour contracts*) i inne formy zatrudnienia spychające całą odpowiedzialność na „dostawcę” były już wielokrotnie wskazywane przez badaczy. Niektóre z tych twierdzeń zostały potwierdzone drogą sądową – przykładem mogą być chociażby

Monopolizacja świata cyfrowego odbija się negatywnie na innowacyjności gospodarki.

sprawy wytoczone Uberowi i Lyftowi. Sąd Apelacyjny Wielkiej Brytanii podtrzymał w sprawie Uber vs. Aslam, że kierowcy są pracownikami i należy im się płaca minimalna oraz płatny urlop. (...)

Należy pamiętać, że użytkownicy i użytkownicy platform wnoszą wartość nie tylko w formie finansowego środka płatniczego, ale również poprzez poświęcanie swojego czasu i uwagi, na bazie których pozyskiwane są dane. Każda chwila spędzona na oglądaniu reklam, współtworzeniu treści czy ocenie usług jest przecież wytwarzaniem dla firmy pewnej wartości. Dane osobowe są dziś „ropą” cyfrowej gospodarki, która pozwala na dalsze doskonalenie narzędzi technologicznych i kontrolę nad rynkiem platformy, a poprzez to świata społeczno-gospodarczego. (...)

Facebook jest szczególnie ciekawym przypadkiem, ukazującym, jak zmienia się przedmiot aktywności inwestycyjnej. W początkowej fazie rozwoju kupowane przez platformę start-upy miały usprawnić kluczowe funkcje, np. transfer plików (Parakey, kupno w 2007 r.), zapraszanie znajomych przez inne kanały komunikacji

(Octazen Solutions, 2010 r.) czy wyświetlanie reklam opartych na lokalizacji (Rel8tion, 2011 r.). Jednak od 2012 r. i przełomowego przejścia innego medium społecznościowego – Instagrama – Facebook rozpoczął konsolidację platform konkurencyjnych w jeden monopolistyczny

Od 2012 r. Facebook rozpoczął konsolidację konkurencyjnych platform w jeden monopolistyczny megasystem.

megasystem. W 2014 r. firma Marka Zuckerberga przejęła także WhatsApp, największy na świecie komunikator (rywala usługi Facebooka pod postacią Messengera), oraz Oculus VR, przedsiębiorstwo produkujące okulary VR (wirtualnej rzeczywistości). Ta ekspansja ma wymiar monopolizacji cyfrowych mediów społecznościowych, gdyż wybór między Instagramem a Facebookiem czy Messengerem a WhatsAppem jest pozorny. Będąc częścią jednej grupy kapitałowej, platformy nie mają już interesu konkuro-

wać na jakość oferowaną użytkownikom, a logika biznesowa skłania je do współdzielenia danych osobowych bez zgody użytkowników.

Monopolizacja świata cyfrowego odbija się negatywnie na innowacyjności gospodarki. Wbrew zapewnieniom zarządów, rzeczników prasowych czy reklamom, korporacje technologiczne inwestują z czasem mniej w badania i rozwój (B+R) oraz innowacje produktowe, skupiając się na przejmowaniu mniejszych spółek, aby zatrzymać ich technologię dla siebie (tym samym ograniczając jej wykorzystanie w całej gospodarce), a także na skupowaniu patentów i blokowaniu konkurencji (*patent trolling*). (...)

Podsumowując te rozważania, możemy wskazać 10 najważniejszych zjawisk, które mają (w różnym stopniu) negatywny wpływ społeczny lub gospodarczy:

1. uzyskiwanie nieuczciwej przewagi konkurencyjnej przez unikanie regulacji,
2. przerzucanie kosztów zewnętrznych na otoczenie gospodarcze lub środowisko,

3. wykorzystywanie asymetrii informacji i ludzkich błędów poznawczych do wpływania na decyzje użytkowników,

4. odgórne, arbitralne wyznaczanie zasad funkcjonowania wbrew interesariuszom (pracownikom, władzom lokalnym),

5. rozszerzanie sfery pracy precarnej, bez zabezpieczeń społecznych,

6. nieetyczne pozyskiwanie i manipulowanie danymi osobowymi (np. przez profilowanie algorytmiczne),

7. ekstrahowanie wartości z wyzysku pracy informacyjnej tworzącej dane,

8. osłabianie usług publicznych w celu zwiększenia możliwego do przejęcia rynku,

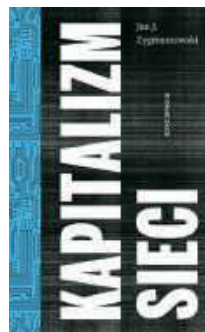
9. przejmowanie konkurencji i zamykanie dostępu do systemów silosowych,

10. stałe zwiększanie, poprzez efekt sieciowy, stopnia koncentracji, możliwości uzyskania wartości i nadzoru.

¹ Jest pewną kwestią sporną, na ile Amazon opiera swój model na platformie, a na ile na tradycyjnej, fizycznej organizacji logistyki. Nie ulega jednak wątpliwości, że niespotykana pozycja Amazona oraz komplementarnych produktów firmy (Alexa, Amazon Web Services) wynikają przede wszystkim z wykorzystania informacji i technologii ICT, w tym w procesie nadzoru pracowników logistycznych.

² N. Srnicek, *Platform Capitalism*, Polity Press, Cambridge 2016.

³ F. Pasquale, *The Black Box Society: The Secret Algorithms That Control Money and Information*, Harvard University Press, Cambridge 2016.



Fragmenty książki Jana J. Zyguntowskiego *Kapitalizm sieci*, Rozruch, Warszawa 2020, cena 44,99 zł. Książka jest także dostępna w wersji elektronicznej (e-book) w sklepie Virtualo.pl w cenie 39 zł.

Jan J. Zygmuntowski jest ekonomistą, prezesem zarządu think tanku Instrat, wykłada na Akademii Leona Koźmińskiego



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Toniemy

Premiera „Werthera” jak na tonącym „Titanicu”, w przeddzień ogłoszenia obostrzeń, które uderzają w pierwszej salwie w sztukę. Dziś strefa żółta, jutro czerwona, za tydzień czarna jak opaski na krzesłach wyłączonych z użytku – wyglądają jak memento po zmarłych widzach, ale to nie widzowie, lecz teatry, kina, sale koncertowe poumierają na naszych oczach. Dysproporcja między ograniczeniami w sektorze kultury a imprezami weselnymi, spędami religijnymi czy nawet środkami komunikacji jest jaskrawa – rząd, który kultury nienawidzi, bo ta jest zawsze niepokorna i przechylona w lewo, pod pretekstem wirusa chce ją wyciąć w pień. Toniemy, władza kaczyńska coraz nieudolniej udaje, że wie, co robi, ale tak naprawdę zamiast szalup ratunkowych ma do zaoferowania tylko ostatnie namaszczenie. Brzydkie kaczątko wodze narodu ściąga i pohukuje, że zawetujemy budżet unijny, wypierpol zatem realnie nam się przybliży; utoniemy w nędzy, ale z błogosławieństwem katabasów. Owóż kapitan już wie, że idziemy na dno, ale w pierwszej klasie muzyka gra jeszcze, i to jest pierwszej klasy muzyka.

„Werther” w reżyserii Willy’ego Deckera to realizacja sprawdzona i lubiana, oklaskiwano ją pół Europy, wreszcie dotarła do nas, niejako rzutem na taśmę (tę czarną, żałobną). Dotarł i Piotr Becała, o którym nigdy dość wyrazów zachwytu. Jego głos jest jednym z cudów świata, a móc go słuchać na żywo z kilkunastu

metrów to zaprawdę dotknięcie absolutu, jak to mówią – Jezusek stąpa po gardziółku, gęsia skórka się wysypuje, następują reakcje somatyczne organizmu zalanego dopaminą, chromi wstają z noszy, martwi z grobów itd. Jestem głęboko przekonany, że jeśli tego wieczoru byli w sali Opery Narodowej jacyś nieświadomi nosiciele koronawirusa, wyszli z gmachu uzdrowieni. Libreciści sprawy nie ułatwili: Werther umiera przez cały czwarty akt, w związku z czym ma mnóstwo partii do śpiewania na leżąco, scenograf też dołożył swoje utrudnienia w postaci pochyłych podłóg, co od miotającego się od ściany do ściany bohatera wymaga okiełznania błędniaka – ale cóż to wszystko za drobiazgi dla maestro z Czechowic. Sławna aria osjanowska (Pourquoi me réveiller) w jego wykonaniu wywołała tradycyjny aplauz widzów, zmobilizowanej do dwakroć silniejszych niż zwykle oklasków (żeby zagłuszyć pustkę połowy sali).

Nazajutrz pomknąłem zaznać na własnej skórze piśmowskiej rewolucji kulturalnej w Muzeum Narodowym, bo przecież za chwilę i galerie zamkną. Przed gmachem wciąż straszy papieski kicz Kaliny, któremu poświęciłem

już osobny felieton. Można powiedzieć, że instalacja żyje swoim życiem, bo „oczko się odkleiło temu misiu” i czerwony materiał, którym wyścielono dno sadzawki, się podwinął, wskutek czego zatrute źródło w sporej części zmieniło kolor. Grozy dzieła dopełniają ponurzy ochroniarze, na zmianę typiacy i gotowi do natychmiastowej interwencji – człowiek ze strachu nie wie, czy może patrzeć na to tak po prostu, czy winien się przeżegnać i uklęknąć, by zadowolić kontrolerów spojrzeń.

W środku galeria polskiej sztuki współczesnej nieczynna do odwołania – od kiedy paru dewotów oburzyło się na banana Natalii LL, a shitstorm dotarł do rządowych wyżyn, totumfaccy ministranta kultury najpierw dzieła deprawujące usunęli, a potem znaleźli pretekst, żeby całą galerię zamknąć. Została więc sztuka niezwyrodniała, dawna i religijna w galeriach stałych, wystawy czasowe zaś to obecnie „Sztuka obrazu” – Matejki, Malczewskie i Kossaki przyprawione toporną pogadanką patriotyczną w przypisach, oraz „Wojna 1920” w fotorelacjach. Wojna z marzeń terytorialsów: dziarscy chłopcy i dziewczęta w mundurach prężą broń, maszerują i wymachują sztandarami, a ofiarom poświęcona jest gablotka zastąpiona kotarą opatrzoną ostrzeżeniem „Okropności”! Infantyilizacja, zjazd do

Władza coraz nieudolniej udaje, że wie, co robi, ale tak naprawdę ma nam do zaoferowania tylko ostatnie namaszczenie.

poziomu fakultetu plastycznego w podstawówce, wszystkim podporządkowane indoktrynacji nacjonalistycznej – tak PiS wymyśliło powinności sztuk plastycznych. Miejsca na sztukę nienarodową programowo brak.

Kilka miesięcy temu kaczyści wyrzucili prawem kaduka wieloletnią dyrektorkę Muzeum Śląskiego, jednej z najprężniej rozwijających się i najnowocześniejszych polskich placówek – skrzętnie z tego skorzystali bracia Cześci i zatrudnili ją właśnie jako szefową praskiej Galerii Narodowej. I to jest wydarzenie znamienne, symbolicznie puentujące politykę tego koszmarnego rządu zbudowanego na ludzkim resentymentach, populistycznej zjadłości i zwykłej tępoty: wierność miernotom się liczy, nie kompetencje. Zaprzeczony historyk i pisarz, Grzegorz Kalinowski, komentując jedną z nielicznych pozytywnych chwil ostatnich dni – bezprzykładny tryumf Igi Świątek na kortach Rolanda Garrosa – napisał, że wiek tenisistki zgadza się z wiekiem Polski, bośmy się już osunęli w XIX-wieczny mental. Zaraz go skorygowano jako niepoprawnego optymistę – osiedliśmy bowiem na dobre w głębokim średniowieczu.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Krzysztof Varga

2 maja 2018

Wyprawa na Grochów – już nie rytuał, ale przyzwyczajenie, konieczność podróży w okolice ronda Wiatraczna, placu Szembeka. Najczęściej przeze mnie nawiedzana dzielnica miasta, bo pomijam mój ekosystem mokotowski, środowisko naturalne. Lecz jeśli z Mokotowa intensywnie ruszam do innych dzielnic i jest to ruszanie naznaczone silną emocjonalnością, to jest Grochów właśnie. Nieustające, choć nieregularne wyprawy na Grochów odbywam w największym sentymentalnym podnieceniu. Przez rok woziłem Roberta do szpitala na Szaserów, na jego coraz rozpaczliwsze chemioterapie, a potem go z nich zabierałem i byłem zdruzgotany, że muszę go tam wozić, i byłem szczęśliwy, że tam jeżdżę, zanim mnie ktoś zacznie wozić. Aż przyszedł czas, gdy zawiozłem go i już nie odebrałem, nie odwoziłem do domu na róg Niepodległości i Ursynowskiej, albowiem pojechał tam po raz ostateczny. Wcześniej jeździłem na Szaserów do matki leżącej na ortopedii po upadku we własnym domu; stał się w pewnym momencie szpital na Szaserów miejscem niemal najistotniejszym, a na pewno najkonieczniejszym w życiu, a ja zostałem wiernym klientem szpitalnej kawiarni, przesiadywałem nad herbatą i gazetą, oswajając nieuchronność.

Ale jeżdżę na Grochów także do Antykwariatu Grochowskiego od kilku lat wypełniającego podziemia i parter jednego z akademików na Kickiego, po tym jak przeniósł się z placu Szembeka, gdzie na tamtejszym, nieistniejącym już bazarze tworzył z kilku połączonych ze sobą odstręczających bud labirynt, w którym i Minotaur by się pogubił. Jeżdżę zatem na Kickiego, kupuję po więcej niż okazjnych cenach stare wydania klasyków, uzupełniam braki z literatury młodzieżowej Peerelu, wypełniam dziury w zbiorach, daję się ponieść niezrozumiałej fantazji czytelniczej, graniczącej z parwersją, gdy wynoszę stamtąd naręczą Żeromskiego tylko po to, by mieć w domu stare wydania jego powieści i roić, że kiedyś całość przeczytam i masywny tekst o Żeromskim napiszę. Za ladą kantorka stoi przemiły mężczyzna,

Tymczasem napisałem pierwsze zdanie nowej powieści

Nieustające, choć nieregularne wyprawy na Grochów odbywam w największym sentymentalnym podnieceniu



tysięjący, z wyraźną nadwagą, w bluzie z napisem „Śmierć wrogom ojczyzny”, w koszulce stawiającej Narodowe Siły Zbrojne, w strojach epatujących miłośnią do ONR-u, a jednocześnie emanuje z niego taka sympatyczność, jest tak uczynny, każdej książki szuka z takim poświęceniem! Jeśli trzeba przejść do drugiego pomieszczenia antykwariatu, tego piwnicznego, sam pójdzie po „Śmierć Wergilego” Brocha, byleby się klient, czyli ja, nie musiał fatygować. Wstrząsający dysonans poznawczy odczuwam, zawstydzające uczucie sympatii do skrajnego nacjonalisty, ledwo dającą się powstrzymać potrzebę zaprzyjaźnienia się z nim, tym większą, że widzę w nim żarliwość nie tylko polityczną, ale żar bibliofilski, rozpalający mu oczy, prawdziwą książkową manię.

Tym razem jednak nie do Antykwariatu Grochowskiego jechałem, ale do antykwariatu Gelber na Grochowskiej, kawałek za Szembekiem,

skąd odbierałem zamówione „Bajki i baśnie” Brzechwy (Nasza Księgarnia 1954) oraz „Faraona” Prusa w edycji PIW, rzeczy niby niekonieczne, a jednak niezbędne, bo z ilustracjami Jana Marcina Szancera. Prusa posiadam wszystko, ale z rysunkami Szancera to coś więcej, niż po prostu mieć „Faraona”. Podobnie jest z Brzechwą. Brzechwa nauczył mnie czytać, Szanecr nauczył oglądać obrazy, bo jego kolorowe plansze nie były jedynie ilustracjami, ale malarstwem w swej najgłębszej, immanentnej malarskości. Gdybym w dzieciństwie z gorączkowym zachwytem nie oglądał, pożerał łapczywie, a zarazem uważnie kontemplował tych obrazów Szancera, tobym w dorosłości nie zachwycał się malarstwem.

Brzechwa był moim sąsiadem, chociaż umarł jeszcze przed moimi narodzinami. Mieszkał na Opoczyńskiej, ulicę obok, w samym jądrze piękności Starego Mokotowa, na

kamienicy jest stosowna tablica pamiątkowa. Wedle zeznań Janka Gondowicza, mieszkającego w domu naprzeciw, Brzechwa chadzał nago po mieszkaniu, co mogło zwichnąć małego Jasia, ale chyba nie zwichnęło, a jeśli zwichnęło, to zwichnęło pozytywnie, skoro zajął się zawodowo literaturą. Brzechwa chodził nago po mieszkaniu, nie dbając o zasłanianie okien, chodził nie w celach ekshibicjonistycznych, ale dla większego komfortu fizycznego, choć nie jest wykluczone, że chodził nago z przyczyn ściśle narcystycznych, bo mu się osobście jego własna nagość podobała.

Brzechwa nie pisał dla dzieci dlatego, że dzieci tak bliskie były jego sercu, nie pisał z miłości do dzieci, a nawet nie pisał z sympatii dla dzieci, bo dzieci nie znosił. Co niczym nadzwyczajnym w kaście piszących bajki i baśnie dla dzieci. Zapewne im bardziej nie lubi się dzieci, tym większe są szanse, że zostanie się wybitnym autorem literatury dziecięcej. Andersen patologicznie nie cierpiał bachorów, z największym wstrętem myślał o nieletnich – nieszczęśliwie dla niego stał się najważniejszym pisarzem dziecięcym w dziejach. Ferenc Molnár nie planował napisania „Chłopców z Placu Broni”, oddawał się wzniosłej sztuce dramaturgicznej, ale był nałogowym karciarzem, a jak wiadomo nałogowcy mają wyjątkową skłonność do przegrywania z nałogiem i popadania w rozliczne kłopoty, jako i Molnár popadł w poważny dług karciany i „Chłopców z Placu Broni” napisał na zamówienie, wyłącznie po to, aby spłacić wierzycieli. Nic go los Nemeckza nie obchodził, a jedynie wypłatanie się z długów.

Grzegorz Kasdepke – polski gigant literatury dziecięcej – powiada, że nikt nie chce być pisarzem dla dzieci. Sam pragnął być autorem powieści *fantasy*, ale nie szło mu w tym sporcie, a że urodził mu się syn Kasper, to zaczął pisać dla niego. I proszę – jest sława, są pieniądze, jest uznanie. Podobnie u Brzechwy – ten z kolei wziął się za pisanie dla dzieci, by omamić zakochaną w dzieciach wychowawczynię przedszkolną. Wychowawczyni z przedszkola zakochana była w dzieciach, Brzechwa zakochany był w wychowawczyni – nie było innego wyjścia, jak tylko dla dziatwy pisać wierszyki. Pragnął Brzechwa tworzyć wysokopienne wiersze dla dorosłych,

jak jego przestawny kuzyn Bolesław Leśmian. Pragnął, ale pragnienie to nawet nie jest połowa sukcesu, to nie ćwierć, jedna ósma sukcesu, pragnienie to jest nic, kiedy umiejętności nie starcza. Wiersze dla dorosłych mu nie wychodziły, zaczęły mu za to wychodzić fenomenalne wiersze dla dzieci – wszystko z tej przyczyny, że był zajadłym kobieciarzem. Być może bycie zajadłym kobieciarzem łączy się z tym, że przechadzał się nago po mieszkaniu na Opoczyńskiej, tego stwierdzić się w tej chwili nie da. W każdym razie mnie nauczył czytać. Więcej – uruchomił we mnie wyobraźnię, uruchomił zgubny, acz piękny pociąg do literatury.

Jeśli jest dla mnie książka kompletna, formacyjna, która otworzyła mi oczy i na literaturę i malarstwo, to „Pan Kleks” Brzechwy z rysunkami i obrazami Szancera. Wydanie zbiorcze trzech części – „Akademia Pana Kleksa”, „Podróże Pana Kleksa”, „Tryumf Pana Kleksa” – pierwszą było

Za ladą kantorka stoi przemily mężczyzna w bluzie z napisem „Śmierć wrogom ojczyzny”.

książką, którą samodzielnie przeczytałem, jeszcze przed pójściem do podstawówki. Mój egzemplarz pochodzi z roku 1972, wówczas musiał być zakupiony przez mamę przewidującą matkę. Od tego czasu przeczytałem tę Księgę z 15 razy, a im jestem starszy, tym sięgam po nią częściej. Nie wynika to z postępującego zdziecinienia starczego, wręcz przeciwnie – z galopującej dojrzałości, z rozpędzającej się dorosłości, z coraz większej świadomości, po co znalazłem się na świecie. Tę świadomość zawdzięcza Brzechwie i Szancerowi. Aby nie zużywać egzemplarza z 1972 r., posiadam reprint z roku 2012 i ten poddaję lekturze, zaś po oryginale sięgam wyłącznie w chwilach najwyższego wzruszenia, z jakim kolekcjoner wchodzi do tajnego pomieszczenia, gdzie przechowuje bezcenny obraz van Gogha, Moneta, El Greca czy Caravaggia.

Teraz przekładam ostrożnie grube, szlachetnie poźółtkłe stronicę „Bajek i baśni” Brzechwy, kontempluję grafiki Szancera, aż wreszcie biorę się do powolnej, pełnej namaszczenia lektury „Baśni o korsarzu Palemonie”. „Faraona” odstawilem na półkę, stanął

obok dwóch tomów „Kronik” tegoż Prusa – tom trzeci i czwarty, wydane w latach 1954 i 1955. „Faraona” nie planuję teraz czytać, nie planuję czytać ani jutro, ani pojutrze, ale już jest więcej niż pewne, że nadciąga z całą stanowczością ten moment, gdy sięgnę po to oszałamiające, potężne formatem, na grubym papierze i z ilustracjami Szancera wydanie z 1970 r. Sięgnę i będę się płał w Prusie, ponieważ moje czytanie Prusa nigdy nie jest czytaniem, ale zawsze jest pławieniem się w Prusie. A „Faraona” nie czytałem od lat szkolnych, mimo iż „Lalkę” czytałem wielokrotnie, mimo iż kilka lat temu przeczytałem „Emancypantki”, „Dzieci” i dwa tomy nowel, to „Faraon” mnie nijak nie kusił. Po to jednak kupilem wydanie z Szancerem, aby zostać powiedzianym na pokuszenie i „Faraona” znów, po długich latach przeczytać. Jedynie, po rytualnym przekartkowaniu i nasyceniu wzroku kreską i pastelowymi barwami ilustracji, zajrzałem na ostatnią stronę,

by pod końcowym zdaniem powieści („Ale mędrzec ze czcią zbliża się do tych figur i ogarnawszy je spojrzeniem czyta w nich historie dawnych czasów albo tajemnice mądrości”) zobaczyć datę, którą po ostatniej kropce postawił Prus: „2 V 1895, godz. 3 po południu”. 2 maja 1895 r. Prus skończył pisać „Faraona”, a dziś jako żywo 2 maja, choć akurat roku 2018. Prus skończył Faraona dokładnie 123 lata temu o godzinie 15, a ja akurat wracam z Grochowa około 15. (...)

27 lipca 2018

Wczoraj wieczorem pod Pałacem Prezydenckim – trzeba było tam być, to kwestia czystej przyzwoitości, choć nie umiem wznosić okrzyków, nigdy nie potrafiłem skandować nawet najbardziej szlachetnych haseł. Czy to dotyczy demokracji i wolnych sądów, czy skandowania sportowego, czy śpiewania refrenów piosenek na koncertach – choć są to sprawy nieporównywalne, bo co innego drzeć się „Polacy, my chcemy gola!”, a co innego „Wolność, równość, demokracja!”, ale to jest mój deficyt. Muszę się przemagać, żeby iść, deklarując swój sprzeciw – jakże bezsilny – rając

► fantazje raczej o miejskiej guerrilli niż o pokojowym trwaniu naprzeciw obojętnego gmachu wyniosłej, pełnej pogardy dla obywateli władzy. Wyobrażam sobie, stojąc na Krakowskim Przedmieściu, że władza władająca krajem zarykuje się ze śmiechu przed telewizorami, oglądając transmisję z tych protestów, ponieważ w ich katalogu pojęć i wartości nie ma miejsca na cywilizowaną, demokratyczną formę rządów. Jakże się muszą nabijać z tych ludzi wokół mnie, wznoszących pięści, ale częściej ptonące świeczki i plakaty ze słowem „Konstytucja”. Jakże prezydent tego wciąż niedorośłego do wolności kraju musi w swym ukryciu dygotać ze strachu przed swymi przełożonymi i z uczucia wstrętu do protestujących zarażeniem. On mnie ostatnio najbardziej fascynuje jako postać literacka warta powieści. Nie owi prostacy, gogolowscy służbiści, głoszący tak, jak im każe car czy gubernator, rzucający się na każdego z ociekającymi śliną dziurawymi zębami, poszczuci przez pana i nawet niewiedzący, że są wytresowani i szczuci, bo pies nie wie, że został przystosowany przeciw. Intryguje mnie człowiek, który musi zdawać sobie sprawę ze swojej słabości, klinicznie przerażony, że może rozżość pana, formalnie będącego przy nim nieważną osobą. (...)

W tłumie widzę Ziemka Szczereka, sprawnie lawirującego między ludźmi, najwyraźniej w roli pisarza bądź obserwatora tu jest, spodziewam się zatem kolejnego publicystycznego tekstu. Minę ma srogą, niewątpliwie jutro media elektroniczne zapelnia się jego refleksjami. A potem spotykamy Paziaków, Piotrek ze swym cudownym sarkazmem mówi: „To wygląda jak pogrzeb Tadeusza Mazowieckiego”.

Wracamy z Ewą Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem, ogródki kawiarniane i restauracyjne wypełnione turystami, w wielkiej mierze zagranicznymi, ale i Polaków przecież multum – wolą pić i jeść na siedząco, niż protestować na stojąco, zresztą ten protest to dla nich abstrakcja. My też siadamy wreszcie, na Chmielnej w ogródku Vincenta, przy skrzyżowaniu ze Zgody; obsługują nas same Ukrainki.

Po powrocie do domu sprawdzam pocztę, a tam list od czytelnika, który mnie widział pod Pałacem i wyraźnie

ma do mnie pretensje, że nie krzyczę, jak inni „Hańba!”. Ale nie umiem krzyczeć, umiem tylko pisać.

Dziś wieczorem ma być spektakularne zaćmienie księżyca, następne takie będzie dopiero za 470 lat.

Na razie jednak przy opuszczonej markizie i otwartych na oścież drzwiach balkonowych sonaty Bacha na violę da gamba i klawesyn. W piekielnym upale brzmia jak obietnica życia, jak możliwość zawrócenia czasu, jak filmowa retrospekcja.

1 września 2018

Nagrody literackie nie dają nic prócz pieniędzy, popularności i szacunku. Pablo dostał za „Mikrotyki” Nagrodę Gdynia w kategorii proza. Jest najbardziej uznanym pisarzem tego roku. Dla branży, a i dla wielu czytelników, przyszedł znikąd, nie ze świata książek, ale muzyki. Cudowne dziecko literatury, nieobciążone ani przynależnością do środowisk literackich, ani politycznych, ktoś, kto ponad wszystkie uwarunkowania wyrasta, dlatego mógł od prorządowców dostać nagrodę

Nagrody literackie nie dają nic prócz pieniędzy, popularności i szacunku.

Nowakowskiego, a od liberatów Gdynię. Stał się kimś, kogo chwalić mogą i prawicowe, i liberalne tygodniki, nieumoczony w koteryjność. Jest w tym pozaliteracki naddatek, pomijając oczywiście wartość jego książki, która jest niezaprzeczalna. Można powiedzieć – oto ktoś, kto jest ponad to wszystko, co podłe, niskie, doraźne, dziennikarskie, polityczne, oto piękna proza w stanie czystym. Ktoś, kto nie bierze udziału w walce, ale stoi obok, poświęcając talent nie na ołtarz polityki, ale sztuki. Niewielka książeczka z opowiadaniem w czasach, gdy wszyscy chcą grubych powieści gatunkowych, jest lekarstwem na miałość świata kultury, lekarstwem bez efektów ubocznych. Pablo nie jest w żaden sposób uzależniony od świata literatury – wszedł do niego w stanie niewinności i w każdej chwili może odejść, wysoko niosąc głowę. Nie tylko nie jest dziennikarzem, publicystą, jak

wielu pisarzy, ale nie jest nawet „zawodowym” pisarzem, bo zawodowo zajmuje się muzyką. Ja pozostanę dla wielu dziennikarzem, publicystą, felietonistą, człowiekiem z „Gazety Wyborczej”, to jest jak wypalony na skórze znak przynależności do stada. Nigdy się go nie pozbędę, wciąż będę się do mnie zwracać „panie redaktorze”. Myślałem jakiś czas temu o zaprzestaniu jakiegokolwiek pisania i widziałem to jako rodzaj wyzwolenia. Nie z cierpienia twórczego, ale wyzwolenia od tego „pana redaktora”. Zostać kimś jak świadek koronny – dawnym przestępcą z nową tożsamością, zaczynającym nowe życie tam, gdzie nikt go nie zna.

W słowie od szefowej jury w ostatnim „Tygodniku Powszechnym” Agata Bielik-Robson tłumaczy zasady nagradzania w tej elitarystycznej i ostentacyjnie antyrynkowej Nagrodzie Gdynia. Powiada, że jury zwraca uwagę na sferę języka. Nazywa to jury „komitetem kryzysowym języka” w nowej epoce Gutenberga, kiedy każdy może pisać i, co gorsza, każdy pisze. Bielik postuluje, by nagradzać tych, którzy mają „odwagę pisania dobrej literatury w czasach, kiedy język coraz bardziej degraduje się do zbioru zdartych liczmanów”. Wrogiem ma być żurnalizm – pisanie powieści tak, jakby się pisało do gazety. Trzeba się starać – mówi Bielik – „wybronić polską literaturę przed zalewem niezbaniennej prostoty”. Całkowita zgoda. Tyle że trzeba też zrobić coś, aby w mediach masowych, gdzie króluje pochwała literatury żurnalistycznej, przeciwstawiono się językowi, który degraduje się do zbioru wytartych liczmanów, żeby gazety przeciwstawiały się książkom pisanym „jak do gazety”, stawiały opór „niezbawiennej prostocie”, bo inaczej słuszny apel Bielik-Robson zostanie jedynie niszowym głosem, który nie pociągnie za sobą rozmowy o języku naszego, degradującego się stylistycznie, pisarstwa.

Tymczasem ja napisałem pierwsze zdanie nowej powieści.



Fragmenty książki
Krzysztofa Vargi
Dziennik hipopotama,
Wydawnictwo Iskry,
Warszawa 2020



MIASTO GWIAZD INTERDISCYPLINARNY FESTIWAL SZTUK W ŻYRARDOWIE

12. edycja festiwalu rozpoczyna się w czwartek, 22 października, o godz. 18 w pięknej zabytkowej Resursie (ul. 1 Maja 45). Dzień ten upłynie pod znakiem wystaw. „Źródła” to ekspozycja zbiorowa z warszawskiej ASP, a „Łono” – podróżniczki i antropolożki Weroniki Mliczewskiej. Odbędzie się także gala artNoble 2020 – dla najlepszego dyplomu z publicznych uczelni artystycznych. W piątek na zakończenie dnia będzie można zobaczyć spektakl „Winda do nieba”, m.in. z Dariuszem Kordkiem, Małgorzatą Lewińską i Jackiem Kawalcem. W sobotę festiwal przeniesie się do żyrdowskiego Centrum Kultury (pl. Jana Pawła II 3). Tego dnia odbędą się Miasto Spotkań, Miasto Piękna i artMody oraz gale wręczenia nagród: artKciuka, ŻyRafki czy artSkryptu. Zaplanowane są też spotkania, m.in. teatralne prowadzone przez Tomasza Miłkowskiego i publicystyczne Bogusława Chraboty z Jackiem Pałkiewiczem. Gośćmi festiwalu będą m.in. prof. Jerzy Bralczyk, reżyser Bartosz Kruhlik i Grzegorz Kasdepke. Pełny program wydarzenia: www.miaastogwiazd.pl.

ŻYRARDÓW, 22-24 PAŹDZIERNIKA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Wioletta Grzegorzewska **DODATKOWA DUSZA**

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020

II wojna światowa. Z pociągu wiozącego Żydów do Trebinki ucieka mężczyzna. Za wszelką cenę pragnie wrócić do Warszawy, by odnaleźć i uratować syna. To oś fabularna nowej – opartej na faktach – powieści Wioletty Grzegorzewskiej. Autorka, znana z quasi-biograficznych, napisanych w konwencji realizmu magicznego powieści „Guguty” i „Stancje”, tym razem podejmuje popularne w polskiej literaturze tematy Holokaustu i postpamięci. Do modnych motywów podchodzi jednak z właściwą sobie narracyjną czułością i dbałością o język, dzięki czemu „Dodatkową duszę” czyta się, mimo tematu, z dużą przyjemnością. Grzegorzewska z reporterską starannością oddaje atmosferę wojennej Warszawy, czas Zagłady i bolesną codzienność. Szkoda, że książka jest tak skromna objętościowo, bo i temat, i forma zasługują na więcej.

Rafał Piłkuła



ŚWIĘTOŚĆ I POTĘPIENIE

Adaptacja „Matki Joanny od Aniołów” na małej scenie Narodowego stoi aktorstwem, sugestywną scenografią i zdyscyplinowanym rytmem, w którym bohaterowie zmierzają do zguby. Bo nawet wyniesienie Joanny do niemal świętej za życia ma posmak klęski. Na scenę wraca tu triumfalnie Małgorzata Kożuchowska w roli tytułowej jako ofiara obsesji bezgrzesznej Madonny (hipnotyczne partie choreograficzne). Fascynuje postać rozbudzonej zmysłowo siostry Małgorzaty w koncertowym wykonaniu Edyty Olszówki, niepokój wywołuje obsesjonat Wołodkowicz w kreacji Jarosława Gajewskiego. Współczucie budzi oszałały z miłości egzorcysta Suryn (Karol Pocheć), a sympatię do brodaty ksiądz Brym (Krzysztof Stelmach). Wszystkie postacie naznaczone są silną, udzielającą się widzą emocjonalnością.



Reżyser na plan pierwszy wysunął oszalenie perspektywą mistycznego wyniesienia do świętości, zderzone z całkiem ziemskimi, cielesnymi tęsknotami, z którymi zmaga się wysłany do Ludynia Suryn. Jego zanurzenie się w świat mistyki i uzależnienie od owładniętej tęsknotą za świętością Joanny sprawia, że egzorcysta przeżywa na sobie opętanie, ofiarowuje Matce Joannie drogę do świętości. Zderza się z silną kobietą i to ona nad nim zapanuje. Dla niej popełni straszliwą zbrodnię, skazując się na wieczne potępienie.

Zaskakujący przy tym wszystkim jest finał spektaklu. Matka Joanna wystrojona jak odpustowa Matka Boska, niesiona na rękach przez mniszki, jawi się podejrzanie zwycięsko. Kto wie, czy to nie jest zwycięstwo ironią podszyte. I czy Suryn nie został wydrwiony.

Tomasz Miłkowski

Jarosław Iwaszkiewicz, „Matka Joanna od Aniołów” według scenariusza filmowego Jerzego Kawalerowicza i Tadeusza Konwickiego, reżyseria Wojciech Faruga, Teatr Narodowy, scena przy Wierzbowej, premiera 5 września 2020

Katarzyna Leśniowska

Braniewo, grudzień 1945 r.

Młody mężczyzna wysiada z pociągu po kilkunastogodzinnej podróży. Ma niewielką walizkę i przewieszony przez ramię aparat fotograficzny. Jest zmęczony, ale z nadzieją i zaciekawieniem rozgląda się wokół. Na budynku stacji napis Braniewo, obok na ziemi leży zniszczona tablica Braunsberg. Gdy przybysz mija budynek stacji, roztacza się przed nim przerażający widok – ruiny i zgłiszcza czegoś, co kiedyś było miastem. W czasie II wojny światowej Braniewo straciło 85% zabudowy i było najbardziej zniszczonym miastem na Warmii i w województwie. Mężczyzna stawia walizkę, chwyta aparat i zaczyna robić zdjęcia, jedno za drugim. Światło jest doskonałe.

Wojenne losy rzucały go w różne miejsca i oto po wyzwoleniu trafił do miasta, które praktycznie nie istnieje. Zostało zrujnowane przez wyzwolicieli. Czy to moje miejsce na ziemi – zastanawia się. Wkrótce rozmyślenia zostają przerwane przez jakieś głosy, zbliża się grupa radzieckich żołnierzy. Po chwili wahania podchodzi do nich.

– *Izwinitie tawariszczi, Żeromskiego 13?*

– *Cziewo?* – śmieją się. – *Smatr, nicziewo niet.*

Rozbawieni wymieniają kilka zdań. Po chwili jeden wskazuje kierunek.

Na rozkaz organizacji podziemnej Iwulski otworzył zakład fotograficzny naprzeciw stacji kolejowej w Bełtzu.

– *Bolszoje spasiba* – odpowiada przyjezdny i rusza we wskazanym kierunku. Wkrótce widzi uliczkę z kilkoma ocalałymi domkami. Puka do jednego z nich. Drzwi otwiera przestraszona kobieta w średnim wieku.

– *Dzień dobry, nazywam się...*

– *Entschuldigen Sie bitte, aber Ich verstehe Sie nicht* – odpowiada i speszona spuszcza wzrok. Mężczyzna niezrażony płynnie przechodzi na niemiecki.

– *Guten Tag. Ich heiße Wojciech Iwulski. Ich suche mein Bruder Andrzej* – kobieta z uśmiechem otwiera drzwi.

Pod koniec 1945 r. Wojciech Iwulski dociera z Zamojszczyzny

Fotograf z konspiracji

Zdjęcia Wojciecha Iwulskiego przyczyniły się do ujawnienia prawdy o Holokauście



Wojciech Iwulski w swoim zakładzie fotograficznym.

do zniszczonego Braniewa. Miasta, gdzie jest jeszcze wielu Niemców, stacjonują oddziały Armii Radzieckiej i tworzy się nowa władza. Dołącza do brata, który po walkach w Batalionach Chłopskich tu właśnie się osiedlił. Do miasta przyjeżdża sam, żonę Annę z dwójką dzieci – Myszką i Stanisławem – oraz matkę sprowadzi w 1946 r. Dwaj

młodszy synowie urodzą się już tutaj – w 1947 r. Krzysztof, a w 1950 r. Jacek. Wojciech Iwulski postanawia zająć się tym, w czym jest najlepszy – 14 lutego 1946 r. przy ulicy Żeromskiego 13 otwiera pierwszy i przez długie lata jedyny w mieście zakład fotograficzny. Pierwsze powojenne lata są bardzo pracowite, do zakładu ustawiają się długie kolejki – potrzebne są zdjęcia do dokumentów, ślubne czy z uroczystości rodzinnych. Każdą wolną chwilę Wojciech Iwulski poświęca na dokumentowanie fotograficzne odbudowującego się Braniewa i okolic. Właśnie tej pasji zawdzięczamy liczne fotografie powojennego Braniewa.

Braniewo, czasy obecne

Jechałam samochodem z Olsztyna do Braniewa. Droga była wąska i kręta. Rosnące po obu stronach drzewa tworzyły malowniczy szpaler. Myślałam o tym, co się wydarzyło wczoraj. Telefon od Jacka sprawił, że na jakiś czas musiałam zmienić plany.

– Dzwonił z Ameryki jakiś dziennikarz, pisze trylogię o Janie Karskim i potrzebuje dokumentów potwierdzających, że tata działał w konspiracji i współpracował z Karskim – powiedział na jednym wdechu Jacek. Próbowałam zebrać myśli, wiedziałam, że muszę jak najszybciej znaleźć się w Braniewie. Do miasta wjechałam późnym popołudniem. Wiele się zmieniło od czasów, gdy jako mała dziewczynka spędzałam tutaj każde wakacje i święta. Zatrzymałam się przed budynkiem z napisem FOTO, Jacek już na mnie czekał. Jeszcze raz zrelacjonował rozmowę zza oceanu. Niewątpliwie Wojciech Iwulski skrywał wiele tajemnic, których nie chciał albo nie mógł nam zdradzić.

Bełżec, 1942 r.

Kolejny transport składający się z kilkunastu bydłych wagonów wtoczył się na stację. Na peronie czekali już żołnierze SS z psami. Kiedy

otwarto zasuwy, z bydlęcych wagonów zaczęli się wysypywać ludzie: młodzi, starzy i dzieci, przeważnie Żydzi i Cyganie. Niektórzy nie byli w stanie iść o własnych siłach, ich od razu rozstrzeliwano. Tych, którzy przeżyli, pędzono w kierunku obozu.

W kolejowej restauracji kłębił się tłum, głównie Niemcy, niektórzy mocno pijani. Kelner uwijał się między stolikami, nie zważając na obcesowe, a nierzadko brutalne zachowanie gości. Niektórych znał bardzo dobrze, stołowali się tu codziennie. Był bystry i dobrze znał niemiecki, więc musieli uważać, o czym rozmawiają. Poza tym był fotografem, a oni wywoływali u niego zdjęcia dokumentujące ich pracę w tutejszym obozie.

Przy stoliku w rogu sali siedział mężczyzna po cywilnemu i obserwował pracę kelnera. W pewnej chwili ich oczy spotkały się, mężczyzna gestem poprosił o rachunek. Wsunął kelnerowi do ręki banknot, podziękował i wyszedł. Na zapleczu kelner rozwinął banknot i odczytał informację: „Za 15 min w umówionym miejscu”. W mieszkaniu czekał już gość z restauracji. Kelner wyciągnął spod kurtki niewielki pakunek.

– Najświeższe negatywy, jeszcze ciepłe – powiedział z uśmiechem.

– Dobra robota – mężczyzna przejął pakunek. Zamienili kilka słów, po czym kelner opuścił mieszkanie. Był zadowolony. Świat ujrzy kolejne zdjęcia z obozu koncentracyjnego.

Tym kelnerem był Wojciech Iwulski – fotograf, który od wiosny 1940 r. zaczął współpracę z ruchem oporu. Dostał rozkaz zatrudnienia się w bufecie na stacji kolejowej w Bełżcu, ważnym węźle kolejowym na trasie Warszawa-Lwów. Przekazywał informacje

o przejeżdżających transportach wojskowych, osobach współpracujących z okupantem oraz inne wiadomości cenne dla podziemia. Przydatne okazały się zwłaszcza możliwość swobodnego poruszania się po stacji oraz dobra znajomość niemieckiego. Stała praca chroniła przed wywózką na przymusowe roboty do Niemiec.

Również na rozkaz organizacji podziemnej Iwulski otworzył własny zakład fotograficzny naprzeciw stacji kolejowej. Ułatwiała to kontynuację działalności wywiadowczej. Wiosną 1941 r. został zaprzysiężony i przyjęty w szeregi Związku Walki Zbrojnej (od 1942 r. Armii Krajowej) pod pseudonimem „Kazik”. Nadal oddawał cenne

usługi organizacji, dostarczając kopie zdjęć przynoszonych przez niemieckich żołnierzy do wywołania w zakładzie. Działalność konspiracyjna została przerwana w październiku 1941 r., gdy gestapo aresztowało Iwulskiego jako podejrzanego o współpracę z podziemiem. Nie wiadomo, czy ktoś go zadenuncjował, czy wpadł sam. Nie udało się też nigdy ustalić, czego naprawdę chcieli Niemcy. Pośród dokumentów zachował się życiorys Wojciecha Iwulskiego spisany odręcznie na kilku kartkach. „(...) Początkowo zostałem osadzony w obozie dla Żydów i Cyganów w Bełżcu, a następnie przetransportowany na gestapo w Tomaszowie Lubelskim.



Matka Wojciecha Iwulskiego na gruzach zbombardowanego domu w Bełżcu.

Ofiary bestialskiego mordu 50 Polaków wywiezionych przez bandy UPA z pociągu relacji Bełżec-Lwów.

Zarzucono mi współpracę z Ruchem Oporu. Byłem bity i maltretowany. Groziła mi kara śmierci bez względu na to, czy bym się przyznał, czy nie. Wobec tego faktu dowództwo i kole-dzy z AK rozpoczęli działania mające na celu uwolnienie mnie”.

AK rozważała trzy możliwości: albo go odbije, albo wykupi, a jeśli się nie uda, ktoś miał go zlikwidować. Iwulski musiał mieć ważne informacje i AK obawiała się, że gestapo prędzej czy później wszystko z niego wyciągnie. Na szczęście ludziom z podziemia udało się przekupić komendanta gestapo z Tomaszowa Lubelskiego i po miesiącu wyciągnęli Iwulskiego. Sam uwolniony nigdy nie poznał kwoty, jaką za niego zapłacono.

W 1942 r. wrócił do działalności wywiadowczej, a mężczyzną, z którym spotkał się w bufecie na stacji kolejowej, był słynny kurier Jan Kar-ski, emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego, który przyjechał do



► Bełżca, aby spenetrować obóz koncentracyjny i odebrać od kelnera zrobione tam zdjęcia. Wojciech Iwulski udokumentował również zbrodnie dokonywane na Polakach przez UPA. Wszystkie zdjęcia i negatywy przekazane Karskiemu dotarły do rządu polskiego w Londynie. Potwierdzają to zeznania świadków, poświadczone przez Instytut Pamięci Narodowej, oraz przekazy z polskich instytucji historycznych z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

4 lipca 1944 r. Bełżec został zbombardowany przez lotnictwo radzieckie. Podczas nalotu bomby trafiły w wagony z amunicją. Eksplozje zniszczyły zabudowania w promieniu 500 m od stacji, w tym mieszkanie i zakład fotograficzny państwa Iwulskich. Wojciech ożenił się w 1942 r., a w czasie bombardowania miał już dwie córki, Marię „Myszkę” i Basię. Rodzina ukryta się w przygotowanym wcześniej schronie, jednak kilkumiesięczna Basia nie przeżyła bombardowania. Wraz z budynkiem bezpowrotnie przepadła też część ukrywanych zdjęć.

Po zakończeniu wojny współpraca z wywiadem lub kontrwywiadem AK była dla organów bezpieczeństwa wystarczającym powodem do aresztowania. Dlatego z polecenia miejscowego dowódcy AK w grudniu 1945 r. Iwulski wyjechał na Ziemię Odzyskane.

Braniewo, 1946 r.

Powojenna rzeczywistość nie okazała się łatwa. Na Ziemiach Odzyskanych grasowały watahy młodych, niewykształconych ludzi, którzy chcieli szybko się dorobić. Szaber stał się powszechny. Ludzie nie widzieli niczego złego w grabieniu mienia innych – Żydów, bo i tak nie żyli, Niemców, bo to było sprawiedliwe. Kwitło donosicielstwo. W efekcie radość z wyzwolenia szybko zamieniła się w strach. Cały kraj był w chaosie, nic nie działało, łącznie z instytucjami państwa. Ale byli też tacy, którzy podejmowali trud odbudowy, nawet na poziomie lokalnym.

W Braniewie, tak jak w innych miastach, zaczął się odradzać biznes,

powstało pierwsze targowisko. Handlowano wszystkim, co udało się zdobyć albo ukraść. Otworzyła się restauracja, jakaś kobieta zaczęła szyc ubrania, inna wyrabiać pierogi. Ludzie próbowali się odnaleźć w nowych warunkach.

Wojciech Iwulski uwił się w zakładzie za dwóch, pracy nie brakowało i myślał już o zatrudnieniu pomocnika. Braniewo podnosiło się ze zniszczeń wojennych, przybywało nowych mieszkańców i tematów do uwieczniania na zdjęciach. Od pracy w ciemni oderwał go dźwięk dzwonka otwieranych drzwi. Zobaczył wchodzącego listonosza.

– Dzień dobry, panie Iwulski, chyba nie przynoszę dzisiaj dobrych wiadomości.

List był z Urzędu Bezpieczeństwa w Olsztynie. Kolejne wezwanie na przesłuchanie. Już poprzedni rok przyniósł kłopoty. Na podstawie ustawy o amnestii, podczas masowej akcji ujawniania się żołnierzy podziemia, Iwulski zgłosił władzom komunistycznym okupacyjną przynależność do

DAJEMY DZIECIOM SIĘ

ZADBAJ O DZIECIĘCY MÓZG

Wprowadź Domowe Zasady Ekranowe

domowezasadyekranowe.fids.pl

saferinternet.pl

Współfinansowane przez Unię Europejską. Instrument „Łącząc Europej”



Autorka reportażu z dziadkiem – Wojciechem Iwulskim przed jego zakładem fotograficznym w 1972 r.

„byłej AK”, co spowodowało, że został wydany z Polskiej Partii Socjalistycznej. Również wykonywanie wolnego zawodu nowej władzy się nie podobalo. Kilka dni później Iwulski siedział w pociągu do Olsztyna, nie wiedział, co go czeka, czy i kiedy wróci.

Olsztyn powitał go wiatrem i deszczem. Iwulski wszedł do baraku, który był siedzibą UB. Nie był jedyny, stanął w kolejce i czekał. Godziny wlewały się niemiłosiernie. W końcu drzwi się otworzyły i ktoś wywołał jego nazwisko. Przy biurku siedział rosty mężczyzna, pochylony nad opasłą teczką dokumentów. Po kilku minutach ruchem

wyciągnął kartkę i napisał: „Przesłuchanie towarzysza Wojciecha Iwulskiego nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Do późniejszego rozpatrzenia”. Przystawił pieczęć i podał oszołomionemu Wojciechowi. Kiedy Iwulski wyszedł na zewnątrz, był zdezorientowany, nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Jak najszybciej chciał się znaleźć w domu.

Późniejsze lata pełne były intensywnej pracy i działalności społecznej. 1 stycznia 1948 r. Iwulski został zawodnikiem drużyny piłkarskiej Miejskiego Klubu Sportowego Zatoka, grał w niej do lat 60. W 1952 r. zapisał się do

z całym światem, a liczba klaserów w domu, ku przerażeniu żony, systematycznie rosła. Jednak to przede wszystkim dziesiątki fotografii powojennego, zniszczonego miasta zapisały go w historii Braniewa. Dzięki jego zdjęciom wiemy, jak wyglądało po wojnie, gdy istniały jeszcze Starówka, szkoła zamkowa i wiele innych budynków, i jak fatalna była decyzja o rozbiórce i wywożeniu cegieł na odbudowę Warszawy. Zakład fotograficzny prowadził do 1981 r., kiedy przeszedł na emeryturę i przekazał go najmłodszemu synowi Jackowi. Był cudownym ojcem i dziadkiem, miał siedmioro wnucząt. Zmarł 2 grudnia 1990 r. w wieku 75 lat. Za swoją działalność otrzymał liczne odznaki i odznaczenia, w tym Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Braniewo, czasy obecne

Z wypiekami na twarzy skończyłam czytać książkę „Jan Karski. Jedno życie”. O tyle dla mnie istotną, że jeden z rozdziałów poświęcony jest Wojciechowi Iwulskiemu, człowiekowi niezwykle, którego praca w podziemiu i wykonane zdjęcia przyczyniły się do ujawnienia prawdy o Holokauście. Prawdziwą sensacją i odkryciem było również odnalezienie przez Jacka Iwulskiego koperty z negatywami wojennych, niekiedy drastycznych zdjęć z mordów dokonanych w pierwszej połowie 1944 r. przez bojówki UPA. Zdjęcia te posłużyły Wojciechowi Smarzowskiemu podczas kręcenia filmu „Wołyń”. 21 października Wojciechowi Iwulskiemu zostanie nadany tytuł Honorowego Obywatela Braniewa, miasta, któremu poświęcił znaczną część życia. Jestem niezwykle dumna, że znam Wojciecha Iwulskiego, jestem dumna, bo był moim dziadkiem.

Katarzyna Leśniowska

To dzięki jego zdjęciom wiemy, jak wyglądało po wojnie Braniewo.

głowy wskazał krzesło. Odwrócił lampę i silny snop światła skierował na twarz Wojciecha.

– Nie jest dobrze, towarzyszu. Przynależność do wrogiej organizacji, kontakty z zagranicą i jeszcze ten wolny zawód. Trochę się tego zebrało. Co macie do powiedzenia?

Na to Wojciech wyciągnął wystawione 4 grudnia 1945 r. przez Zarząd Gminy w Bełżcu zaświadczenie stwierdzające, że „Wojciech Iwulski w czasie okupacji niemieckiej nie działał na szkodę narodu polskiego i volksdeutschem nie był”. Ubek rozeźmiął się i rzucił kartkę na podłogę.

– Co mi tu dajecie, przecież to stek bzdur – krzyknął poirytowany.

Po kilkugodzinny przesłuchaniu, bez słowa wyjaśnienia, Iwulski został umieszczony w jednoosobowej celi. Powtarzało się to jeszcze przez trzy dni. W końcu ten sam funkcjonariusz, również bez słowa wyjaśnienia,

Stronnictwa Demokratycznego, wybrano go na przewodniczącego koła SD w Braniewie. Był też wieloletnim radnym powiatowej rady narodowej i członkiem Frontu Jedności Narodu. W 1962 r. wstąpił do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Działał również w powiatowych strukturach Polskiego Związku Filatelistycznego, gdyż oprócz fotografii właśnie znaczki były jego drugą pasją. Korespondował

Wspomnienia o pionierach Warmii i Mazur

Reportaż „Fotograf z konspiracji” otrzymał nagrodę główną w konkursie „Wspomnienia o pionierach Warmii i Mazur – w 75-lecie przybycia pierwszych pionierów do naszego regionu” ogłoszonym przez olsztyński oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Jury konkursu przyznało również wyróżnienia Helenie Piotrowskiej za pracę „Życie naprawdę”, Marcie Bulik za rozmowę z Feliksem Walichnowskim „Wrastanie w mazurskość”, Elżbiecie Szewczenko-Rybak za wspomnienia „Do Olsztyna przez Wielbark i Szczytno”. Specjalne wyróżnienie otrzymał Bolesław Pilarek za cykl wspomnień o pionierach tworzących środowisko naukowe regionu. PRZEGLĄD był patronem medialnym konkursu.



OSTRZEJ WIDZIEĆ

Fotoreportaże „itd” 1960-1990

Z okazji 60-lecia tygodnika „itd” w Domu Spotkań z Historią zorganizowano wystawę, na której prezentowanych jest ok. 200 zdjęć wybitnych fotoreporterów współpracujących z tym studenckim czasopismem. Wydawane w latach 1960-1990 „itd” poświęcone było kulturze i tematyce społeczno-obyczajowej. Zamieszczane na jego łamach fotoreportaże stylem i treścią odbiegały od oficjalnego przekazu, ukazując absurd i niejednoznaczność ówczesnej rzeczywistości. *RP*

Dom Spotkań z Historią
Warszawa, ul. Karowa 20
20 października 2020-31 stycznia 2021
Wstęp wolny





1. Dziś wszyscy jednacy. Dwie podlaskie wsie – Wojny-Szuby Szlacheckie i Wojny-Szuby Włociańskie. Fot. Krzysztof Barański, 23-30 lipca 1972.
2. Pan lekarz wizytuje. Lekarz z podrzeszowskich Mąchocic w tym dniu przyjął i odwiedził 76 pacjentów. Fot. Anna Musiałówna, 30 kwietnia 1972.
3. Ruda się żeni. Wesele we wsi Szurpiły koło Suwałk, gdzie miała powstać kopalnia rudy żelaza. Fot. Krzysztof Barański i Sławek Biegański, 16 października 1977.
4. Polskie Nagrania. Przenośne studio nagraniowe na festiwalu w Jarocinie. Fot. Krzysztof Wójcik, 7-14 września 1986.
5. Bloki na warszawskim Targówku. Fot. Andrzej Kiełbowicz, 16 grudnia 1979.
6. Wczoraj tan, węgiel dziś. Barakowóz dla rodzin budowniczych KWK Bogdanka na Lubelszczyźnie. Fot. Krzysztof Barański, Andrzej Baturo i Sławek Biegański, 4 maja 1975.



Wysokokaloryczne reklamy

W jednej z telewizji w ciągu zaledwie trzech godzin reklamowano głównie: majonez, chipsy, niezdrowe płatki, pizzę, burgery i napoje typu cola

Dorota Bartosewicz

Boris Johnson uchodził za zawziętego przeciwnika namawiania obywateli do zrzucenia wagi. Jeszcze przed czterema miesiącami mówił, że daleko mu do „polityki niańczenia i rozkazywania”. Wcześniej krytykował też podatki nakładane na produkty zawierające tłuszcz, sól i cukier jako nadopiekuńczość państwa. Ba, daniny takie nazywał wprost „podatkiem od ukrycia grzechu”. Jakie było zatem zdziwienie opinii publicznej, kiedy 27 lipca premier Wielkiej Brytanii ogłosił ogólnokrajowy plan odchudzania narodu!

Teraz domaga się, by żadna wysokokaloryczna żywność nie mogła być promowana przed godz. 21. Ani

w telewizji, ani w internecie. Co więcej, zaplanowano konsultacje w sprawie zakazu całodobowego.

Grzywną w kalorie

To kolejna odsłona walki o mniej kaloryczne reklamy – także na Wyspach prowadzona od lat, z różnym zresztą skutkiem. Już w 2007 r. zakazano w brytyjskiej telewizji emisji reklam wysokokalorycznych produktów, kierowanych do osób poniżej 16. roku życia, a od 2017 r. prawo to rozszerzono na internet, prasę i kino. Uznano przy tym, że niedopuszczalne jest pojawianie się w takich przekazach bohaterów bajek i/lub celebrytów czy np. informacji o promocjach i akcjach specjalnych. Zamiast tego „reklamodawcy mają używać

tych technik, by lepiej promować zdrowe wybory”, można przeczytać w komunikacie brytyjskiego Komitetu Praktyki Reklamowej.

Z czasem podobne standardy zaczęły wprowadzać inne kraje. Są do tego zobowiązane m.in. dyrektywą unijną. Na państwa członkowskie UE nakłada ona obowiązek wprowadzenia minimalnych przepisów dotyczących reklam dla dzieci – w formie albo rozporządzenia, albo powszechnej samoregulacji nadawców. Szczegółowe zapisy mogą jednak się różnić. Na przykład w Szwecji i Norwegii nielegalne są reklamy wysokokalorycznych produktów adresowane do odbiorców w wieku poniżej 12 lat (zabroniono poza tym przerywania reklamami programów dla dzieci), z kolei w Irlandii – poniżej 18 lat. W tym

Dzieci otyłe rozpoznają więcej reklam żywności niż inne dzieci.



ostatnim wypadku nie mogą one stanowić więcej niż 25% czasu reklamowego w danym dniu. Nie może też być emitowana więcej niż jedna reklama tego typu na każde cztery spoty.

Jako kraj z najbardziej kompleksową polityką zwalczania otyłości wskazywane jest jednak... Chile. Obowiązuje tu zakaz reklamy produktów przekraczających ustalone limity kalorii, tłuszczów nasyconych, cukrów i soli, adresowanej do dzieci poniżej 14. roku życia. – Ale w roku 2018 wprowadzono jeszcze ograniczenia emisji takich reklam w godz. 6-22; obowiązują one w telewizji, kinach

żywności. W badaniach tych pokazano ponadto, że po ekspozycji reklam produktów żywnościowych wszystkie dzieci jadły więcej”, napisała w pracy doktorskiej Anna Januszewicz, ekspert Instytutu Psychodietetyki. Specjalistka dodaje, że w 45 badaniach z udziałem 3292 osób udowodniono, że wizualne wskazówki dotyczące jedzenia, w tym zdjęcia i filmy, wpływają na zachowania żywieniowe i przyrost masy ciała podobnie jak rzeczywista dostępność żywności. Innymi słowy, jeśli oglądam reklamę np. ciastek, to pobudza ona chęć jedzenia tak samo, jakby ciastka

Efekt wyczerpania woli

Jak duża jest skala problemu, pokazuje analiza reklam żywności w jednej z telewizji w ciągu zaledwie trzech godzin. Poza wyjątkami typu woda czy mleko naturalne były to głównie: majonez, chipsy, niezdrowe płatki, pizza i burgery, a także np. napoje typu cola (tak, nawet przy reklamie marketów!). Ba, w blokach reklamowych niezdrowe produkty występowały nierzadko jeden po drugim – najpierw czekolada, a potem baton (jeszcze większy niż dotychczas, zachwalał producent).

W Polsce samoregulacja obowiązuje od pięciu lat. Zakłada ona, że audycjom dla dzieci do 12 lat nie będą towarzyszyły „przekazy handlowe o tzw. niezdrowej żywności”. Zakazane są: cukier i produkty na bazie cukru, napoje bezalkoholowe, chipsy i przekąski na bazie ziemniaków, w tym produkty z ciasta ziemniaczanego. A te produkty żywnościowe, które się pojawią, muszą spełnić kryteria żywieniowe opracowane przez Polską Federację Producentów Żywności oraz Związek Pracodawców i zatwierdzone przez Instytut Higieny i Żywnienia. Oparte są na zestawie „składników odżywczych wymagających ograniczenia” (sód, kwasy tłuszczowe nasycone oraz cukry ogółem) oraz „składników, których obecność należy promować”, co ma prowadzić m.in. do zmian

W blokach reklamowych niezdrowe produkty występowały nierzadko jeden po drugim – najpierw czekolada, a potem baton.

i na stronach internetowych dla młodych odbiorców. Dodatkowo reklamy tego rodzaju produktów opatrzone są ostrzeżeniem: „Wybieraj żywność z mniejszą liczbą etykiet ostrzegawczych”. Dotyczy to reklam w kinach, na billboardach i opakowań sprzedawanej żywności – wylicza prof. Piotr Romaniuk z Zakładu Polityki Zdrowotnej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach.

Złamanie przepisów nie wiąże się jednak z karami finansowymi. Wyjątkiem, gdzie wdrożono dużo bardziej restrykcyjne rozwiązania, jest np. kanadyjska prowincja Quebec. Zabrania się tam reklamy kierowanej do dzieci poniżej 13. roku życia (za pośrednictwem telewizji, radia i innych mediów), a naruszenie obowiązujących norm zagrożone jest grzywną sięgającą 15 tys. dol. w przypadku osoby fizycznej i 100 tys. dol. w przypadku osób prawnych.

Patrzysz, tyjesz

Krajów i praktyk przybywa, bo i o wpływie reklamy na odżywianie (czytaj: problem nadmiernej masy ciała) wiadomo coraz więcej. W 2004 r. głośno było o eksperymencie prof. Jasona C.G. Halforda i współpracowników, którzy mierzyli rozpoznawalność reklam produktów żywnościowych przez dzieci z wagą w normie, z nadwagą i przez dzieci otyłe. „Wykazali, że dzieci otyłe rozpoznają więcej takich reklam niż inne dzieci, a stopień rozpoznawania jest skorelowany z ilością konsumowanej

leżały obok mnie. Co więcej, wpływ ten nie ogranicza się tylko do czasu, kiedy emitowane są reklamy – a szacuje się, że każde dziecko w krajach zachodnich ogląda ok. 40 tys. reklam rocznie, z czego ok. 4,5-7,5 tys. to reklamy niezdrowych produktów żywnościowych. Kształtuje też trwalsze preferencje. Ba, w ogóle tworzy przekonanie, jaka dieta jest dobra („60% dzieci w wieku 6-8 lat uważało, że *fast food* jest zdrowszy niż domowe jedzenie”, wynika z raportu „Otyłość a media” stowarzyszenia European Childhood Obesity Group, ECOG). A to oznacza, że buduje osąd i co do tego, które produkty są nietuczające.

Płatki śniadaniowe, jeden z najbardziej kalorycznych produktów, bywają prezentowane jako fit.

– Płatki śniadaniowe, które są jednymi z najbardziej kalorycznych, bywają prezentowane jako fit i zdrowe i niektórzy jedzą je bez umiaru. Podobnie słodkie jogurty czy pieczywo chrupkie. O ile ostrożnie podchodzimy do ilości zjadanego chleba (uznawanego za tuczający), o tyle pieczywo chrupkie często wymyka się spod kontroli – wylicza ekspert Instytutu Psychodietetyki. – Problemem bywają również produkty dla dzieci, prezentowane jako zdrowe, a w rzeczywistości z dużą ilością cukru. Oczywiście, czytając etykiety, możemy sprawdzić, jaką wartość odżywczą mają poszczególne produkty, ale niestety nie każdy tak robi; przekaz medialny dociera i łatwiej, i szybciej.

receptur i reklamowania „zdrowszej opcji”. Dotyczy to 10 kategorii produktów, w tym m.in. lodów, zup, dań złożonych i głównych oraz np. kanapek nadziewanych.

Porozumienie podpisało siedmiu nadawców telewizyjnych (ITI Neo-vision, Telewizja Polsat, Telewizja Polska, Telewizja Puls, TVN, VIMN Poland, The Walt Disney Company Polska). Według danych KRRiTV rozwiązanie to sprawdza się w 98%. Jednak wśród specjalistów od zdrowia publicznego nadal dominuje przeświadczenie, że jest niewystarczające. Głównie dlatego, że – jak uważa prof. Piotr Romaniuk – jego efektywność jest ograniczona, czego dowodzą przykłady z innych państw. ►

► – Jak pokazują badania realizowane w Wielkiej Brytanii, wprawdzie powszechnie zastosowano się do ograniczeń reklamowania niezdrowej żywności przy programach dla dzieci, ale jednocześnie drastycznie zwiększył się udział takich reklam w ogólnej liczbie spotów reklamowych emitowanych w mediach – podkreśla profesor. – Według innych badań 70% reklam tego typu, z którymi styczność mają dzieci, jest emitowanych przed godz. 21.

Poza tym przepisy dotyczą jedynie dzieci, a przecież młodzież jest równie podatna na reklamę. Problemem są też wywołane reklamami zachowania dorosłych, bo to oni kształtują nawyki żywieniowe dzieci. I w końcu regulacja nierzadko nie obejmuje portali społecznościowych itp., a więc rynku dynamicznie się

tłuszczowych. Dodatkowo brane są pod uwagę pozytywne cechy produktu: zawartość witamin, błonnika czy białka.

Inni widzieliby jednak bardziej radykalne rozwiązania. Magdalena Jarczyńska-Jendrzewska, dietetyk z poradni Dietosfera, opowiada się np. za zakazem reklamy coli i napojów energetycznych: – Nie dość, że są wysokokaloryczne, zawierają nawet sześć łyżeczek cukru w szklance, to w ich skład wchodzi kofeina, która jest używką i w żadnym wypadku nie jest wskazana dla osób niepełnoletnich, oraz kwas fosforowy.

Jeszcze inni postulują dalsze drastyczne ograniczenia w emisji reklam, co tłumaczą m.in. efektem wyczerpania woli. Bo jeśli pokus będzie dużo, to może nie ulegniesz im przy śniadaniu, ale jak wrócisz

do dochód czerpany przez rynek medialny. Zresztą wystarczy przyjrzeć się dyskusji dotyczącej reklam leków i suplementów diety, które również powodują wiele negatywnych zachowań konsumentów, jednak stanowią na tyle istotną część rynku reklamy i obrotu gospodarczego (sam rynek suplementów diety to 5-6 mld zł rocznie!), że wszelka dyskusja dotycząca ograniczeń reklamy prowadzi do niczego albo daje rozwiązania pozorne. Nawiasem mówiąc, problem reklamy leków i suplementów diety przeplata się z problematyką kształtowania zachowań żywieniowych. Wystarczy zwrócić uwagę na przekaz, jaki często widzimy w tego rodzaju reklamach. Jeśli tylko weźmiesz naszą cudowną pigułkę, będziesz mógł bezkarnie się obżerać (przepraszam za dosadność), czym

tylko dusza zapragnie. Wszelkie ograniczenia dotyczące reklam samej żywności mogą spełznąć na niczym, jeśli będą neutralizowane tego rodzaju przekazem. To nie jest coś, co sprzyjałoby kształtowaniu prawidłowych zachowań żywieniowych.

Krótko mówiąc, problem jest dużo szerszy. Chodzi o kwestię bardziej złożoną niż tylko zakaz reklamy wybranych produktów spożywczych. Nie dotyczy też dostępności wysokokalorycznego jedzenia ani np. wielkości porcji. – Wbrew pozorom sprowadza się do braku podstawowej wiedzy o zdrowym odżywianiu i epidemii... bezruchu – uważa Andrzej Gantner, wiceprezes Polskiej Federacji Producentów Żywności. – A to oznacza, że konieczne jest teraz przede wszystkim wspieranie edukacji żywieniowej i wszelkich form aktywności fizycznej.

Zwłaszcza że – jak dowodzą naukowcy z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu – podczas lockdownu przytyło ok. 30% badanych, choć jednocześnie 20% deklaruje, że w tym czasie schudło. Średnio 2-4 kg – w górę lub w dół, zależnie od tego, o której grupie mówimy. – Co jednak istotne, chudły zasadniczo osoby już wcześniej szczuple. A to oznacza, że im większe problemy miał ktoś z nadmierną masą ciała, tym większe było prawdopodobieństwo, że w czasie lockdownu jeszcze przytył – kwituje wykładowca Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach.

Dorota Bartosewicz

Im większe problemy ktoś miał z nadmierną masą ciała, tym większe było prawdopodobieństwo, że w czasie lockdownu jeszcze przytył.

rozwijającego i przyciągającego uwagę dzieci i młodzieży.

Dlatego wśród ekspertów od zdrowia publicznego nie brakuje i innych pomysłów na odchudzanie przez reklamę. Część z nich sugeruje, by posługiwać się bardziej złożonymi kryteriami oceny produktu niż kaloryczność, takimi które uwzględnią potencjalnie negatywny wpływ na zdrowie. – Dobrym pomysłem byłaby np. klasyfikacja produktów ze znakowaniem ich za pomocą czytelnych symboli albo kolorów na opakowaniach/etykietach. Rozwiązania takie, choćby stworzony we Francji, ale wdrażany też w innych krajach system Nutri-Score, służą prostemu i czytelnemu komunikowaniu wartości odżywczej i ułatwiają dokonywanie „zdrowszych” wyborów. Z powodzeniem mogłoby to stanowić również podstawę przepisów regulujących kwestię reklamy – uważa prof. Romaniuk.

Nutri-Score to system znakowania żywności za pomocą kolorów, obejmujący pięć stopni – od zielonego (najwyższa wartość odżywcza) do czerwonego (najniższa). Przyporządkowanie etykiety do produktu odbywa się poprzez obliczenie wartości punktowej dla tego produktu. Kryterium bazowym są takie cechy jak: gęstość energetyczna, zawartość cukru, soli i nasyconych kwasów

zmęczony po pracy i znowu zobaczysz reklamę, powiedzmy, słodkości, to całodzienną walkę ostatecznie przegrasz. Wysiłek związany z opieraniem się pokusom nie może trwać wiecznie. – Dlatego im mniej wysokokalorycznych reklam, tym łatwiej przyjdzie ci zachować samokontrolę. Gdy środowisko nie oferuje niezdrowego jedzenia, nie musisz tak z tą pokusą walczyć i twoje siły tak szybko się nie wyczerpią – podkreśla Anna Januszewicz.

Cudowna pigułka

To może wprowadzić całkowity zakaz reklamy niezdrowej żywności? – Z jednej strony, wydawałoby się to idealnym rozwiązaniem, z drugiej – nie chodzi o to, by uczynić z tego owoc zakazany. Na pewno przydadzą się ograniczenia, jeśli chodzi o promocję i dostępność jedzenia, które sprzyja otyłości. Skrajności jednak mogłyby budzić opór – argumentuje Anna Januszewicz.

Wtórnie jej prof. Piotr Romaniuk: – Z pewnością to rozwiązanie korzystne z perspektywy zdrowia publicznego, ale wydaje się mało realistyczne, głównie z przyczyn czysto ekonomicznych. Zbyt duże są zarówno oddziaływanie producenckich grup interesu, jak

Kaczyński kontra Unia

Jarosław Kaczyński zajął się polityką zagraniczną (jako wicepremier ma pod sobą również MSZ) i ciarki przechodzą. Bo oto ogłosił, że jeśli Unia wprowadzi mechanizm „pieniądze za praworządność”, to Polska zawetuje budżet Unii i fundusz odbudowy. Inaczej mówiąc, aby móc łamać konstytucję i prawo, woli zrezygnować z pieniędzy unijnych. „Polska będzie broniła »za każdą cenę« swojej wolności, suwerenności i tożsamości”, oświadczył pompatycznie.

Ha! A czy pytał pan, panie wicepremierze, o to Polaków? Czy większość z nich zgadza się na to, żeby Polska zrezygnowała z unijnych 125 mld euro? I czy uważają, że wolność Polski polega na tym, że władza robi, co chce? I w ogóle – czy to nie gruba przesada mówić o sobie „Polska”?

Odpowiedź jest chyba prosta, Polacy zdecydowanie bardziej wolą Unię, a także fundusze z niej napływające, niż prezesa z Żoliborza. Poza tym, jak widać po reakcjach, specjalnie słowami Kaczyńskiego się nie przejęli. Uznali je za element negocjacji.

Zresztą sam szef MSZ Zbigniew Rau groźby Kaczyńskiego łagodził, mówiąc po spotkaniu z szefem niemieckiej dyplomacji Heiko Maasem, że Polska zgodzi się na mechanizm „pieniądze za praworządność”, pod warunkiem że będzie on dotyczył wszystkich krajów Unii i zastosowana będzie wobec wszystkich jednakowa procedura. Czyli żeby mechanizm był, ale żeby *de facto* nie działał. Bo o to polskiemu rządowi w tym wszystkim chodzi.

Kłopot w tym, że nie wszyscy w Unii tak na słowa Kaczyńskiego zareagowali. Niektórzy uznali, że grozi on na

poważnie. We „Frankfurter Allgemeine Zeitung” mogliśmy przeczytać, że słowa Kaczyńskiego są próbą szantażu i podłożenia pod fundamenty Unii Europejskiej bomby, tak żeby Polska została zwolniona z przestrzegania wszystkich wartości i zasad, które dotychczas wyróżniały Wspólnotę. Nie można więc szantażowi ulegać – woła „FAZ” – bo jeżeli UE rzeczywiście kiedyś się rozpadnie, to winni będą nie brukselscy biurokraci, lecz politycy pokroju Kaczyńskiego.

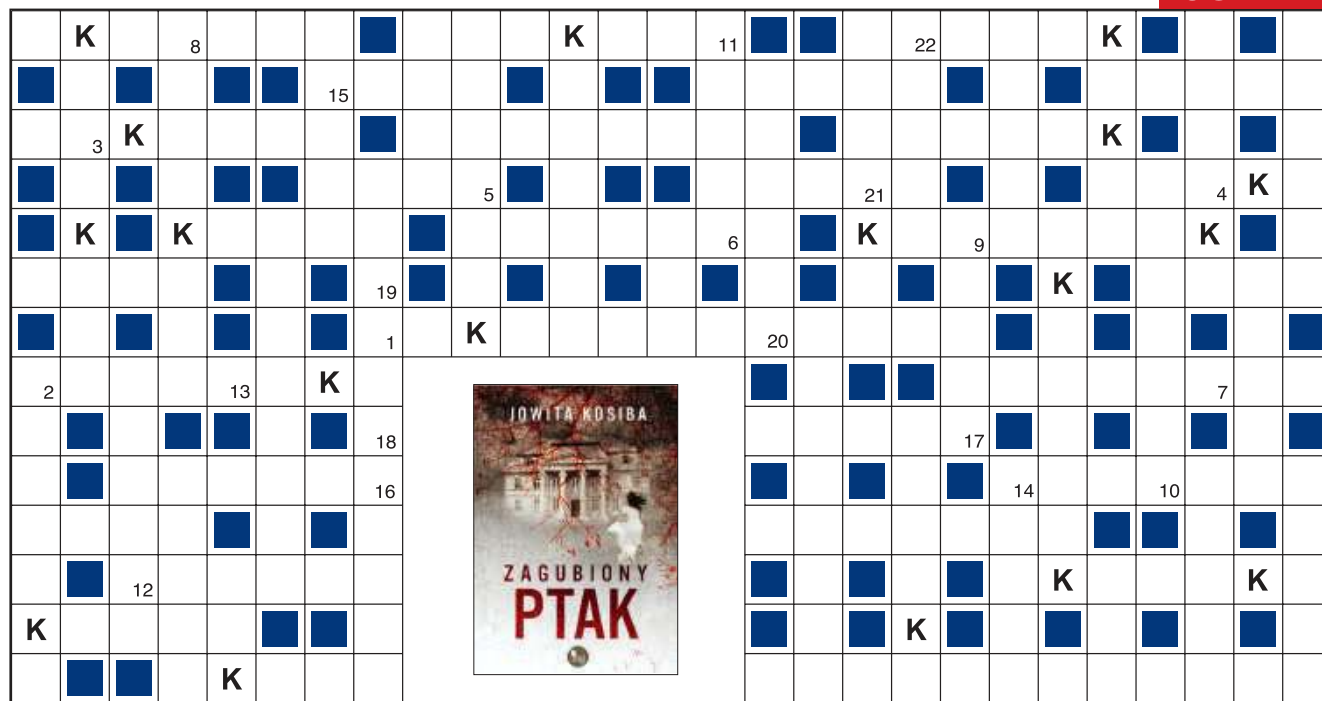
Z kolei „Süddeutsche Zeitung” pisze tak: „Władze w Polsce niszczą państwo prawa. Unia musi wreszcie odpowiedzieć wysoką karą”. Przypomina też, że rządzący w Polsce stale łamią prawo unijne i polską konstytucję i „nic z tego nie wynika”. Autor komentarza podpowiada zatem rozwiązanie – kary finansowe. Gdy TSUE nałożył na Polskę karę 100 tys. euro dziennie za bezprawną wycinkę Puszczy Białowieskiej, rząd natychmiast ją zatrzymał. Może pora nałożyć karę za brak zawieszenia Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego? Na przykład – sufluje komentator – w wysokości kilku milionów euro dziennie?

Do tego dorzucmy krytyczne komentarze z innych państw, które czekają na pieniądze z Brukseli, a polskie weto może te przelewy mocno opóźnić. Kaczyński wkurzył więc pół Europy i jest to o tyle ważne, że tym razem nie chodzi o polityków i urzędników Unii pracujących w Brukseli, ale o zwykłych wyborców. W ten sposób atmosfera wokół Polski zgęstniała. I przyzwolenie na „karanie” Polski, na traktowanie jej jak zadżumionej, jest zdecydowanie większe. Ba! Staje się działaniem popularnym. O to chodziło Kaczyńskiemu?

Attaché

Chatka dyniowej czarownicy cieszyła się sporym zainteresowaniem podczas halloweenowego pikniku w kalifornijskim mieście La Cañada Flintridge.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- papiery wartościowe
- w muzyce umiarkowanie wolno
- wkład w utworzenie lub powiększenie kapitału spółki
- z tego rodzaju papuga Długiego Johna Silvera
- dała susa z głowy Zeusa
- dawny rower o większym przednim kole
- portlandzki w worku
- mrowie, dreszcze
- element, ogniwo, odcinek
- bujne włosy
- ...Habsburżanka, żona Michała Korybuta Wiśniowieckiego
- imię reżyserów Axera i Piscatora
- wierzone, że wypełnia wszechświat
- Złoty... – nagroda filmowa w USA

- bez ubrania lub grosza przy duszy
- imię autorki powieści „Ten obcy”
- ...Białynicki-Birula, fizyk
- opakowanie soczku
- oprzęd jedwabnika morwowego
- targowa główna rola Romana Kłosowskiego
- ma skłonność do głośnych wystąpień i szumnych frazesów
- ...sprzedaż – transakcja wzajemna
- tam odbywa się Święto Róży
- wosku przez dziurkę od klucza
- przyjeżdża z miasta na wakacje
- miesiąc z równonocą jesienią na półkuli południowej
- tam siedziba Polskich Zakładów Lotniczych
- śliwa dająca małe, żółte owoce
- ...pospolity, niepoprawnie zwany mleczem
- odkrył prawo powszechnego ciężenia
- najludniejsze państwo Afryki
- muzykująca dziewczątka
- z niego panienka u Deotymy
- „Puszek...”
- nie tylko Zeus tam rezydował
- nie możesz go zrobić, nie rozbijając jajek
- czarno-biała odmiana agatu
- zwierzątko znane prezydentowi Dudzie
- jego odpowiednik w obrządku bizantyjskim to felonion
- laboratoryjny Bunsena
- krótki pleciony bicz z rączką
- ostoja białego w delcie Dunaju

- beretta albo browning
- rozsiewacz niesprawdzonych wieści
- wyrzeczenie, ofiara
- ...Polityki Pieniężnej
- nie jest pajęczarzem
- nieprawdopodobna lub gustu
- komedia z Harpagonem
- do tego stroju wiedenki
- na blondynkę lub na Alcybiadesa
- rzeczywista roczna oprocentowania
- japońska walka w kole o średnicy 4,55 m
- roślin kopalnych bada paleobotanika
- trudność, przeszkoda
- skład tekstu tworzący pionowy pas
- Agnetha Fältskog lub Greta Thunberg
- rodzaj patelni w kuchni chińskiej
- wyższe po studiach
- rzemieślnik stawiający piece
- przeciężny... chleba

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-983”. Do rozlosowania książki „Zagubiony ptak” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 25 października 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-980” z nr. 40: *Nic nie jest na zawsze.*
Nagrody otrzymują: Józef Bieniek z Niepołomic, Bronisława Komorowska ze Swidnicy, Zdzisław Pietruk z Międzyrzecza Podlaskiego.

PENETRACJE



PIOTR SIERZPUTOWSKI,
TRENER IGI ŚWIĄTEK

Wszyscy pracujący z czołowymi tenisistkami to faceci bardzo cierpliwi, niezwykle wyrozumiali; nie sztuką jest bowiem mieć rację, sztuką jest sprawić to, by zawodniczka myślała, że rację ma ona. Iga to przede wszystkim fajna osoba. Jest nieprzewidywalna, a to wielki tenisowy komplement. Stać ją na wszystko, a rywalkom bardzo trudno czyta się jej grę. Jeśli mam szukać właściwego określenia dla niej, to jest osobą uwielbiającą rywalizację, a kluczowe jest to, że nienawidzi przegrywać. Dla niej najważniejsze jest wygrywać.



FRANZ JOSEF WETZ,
NIEMIECKI FILOZOF

Współczesne społeczeństwa cechuje silny indywidualizm, wartości społeczne coraz częściej schodzą na drugi plan. Liczy się przede wszystkim inicjatywa i wolność jednostki, każdy jest teraz, jak nigdy w historii, kowalem własnego losu, ale jednocześnie ofiarą tego samotnego dążenia do szczęścia. Wolność i autonomia jednostki to bez dwóch zdań wartości cenne i pożądane, ale zbyt często uchodzi naszej uwadze, że walka o nie prowadzi również do wypalenia i samotności. Chodzi o sztukę radzenia sobie z rzeczywistością, w której nie mamy żadnej metafizycznej osłony czy asekuracji i sami

musimy przejąć pełną odpowiedzialność za własny los.



KEN LOACH,
BRITYJSKI REŻYSER

Ludzie mają te same potrzeby od średniowiecza. Zawsze wychodzili na ulice, gdy odbierano im prawo do życia po swojemu, odbierano poczucie bezpieczeństwa. Bo przecież chodzi o godność człowieka: o zatrudnienie, godne płace, dach nad głową, ubezpieczenie zdrowotne, emeryturę. O dobre życie. Tylko jakoś żaden lewicowy lider nie potrafi powiedzieć tego wszystkiego prostym językiem i pozostać wierny swoim ideałom.



ARTUR ANDRUS,
AUTOR TEKSTÓW
PIOSENEK, ARTYSTA KABARETOWY

Ja żyję ze słuchaczy, którzy znając moje zainteresowania, przysyłają mi co ciekawsze znaleziska, choćby zdjęcie zakładu pogrzebowego w Sławnie z reklamą: „Do każdego pogrzebu trąbka gratis”. Opowiedziałem o tym Andrzejowi Poniedziałkiemu, który skomentował rzecz krótko: „No żał żyć”. Niedaleko Sławna jest Bytów, gdzie w restauracji było bardzo ciekawe menu, a w nim przystawki, dania główne, desery, napoje oraz intrygująca rubryka dodatki. Były tam dwie pozycje: zapałki i prezerwatywy.

Aby język giętki...

OLGA TOKARCZUK O KONFLIKTACH

Coraz wyraźniejszy staje się konflikt między starymi a młodymi. Wnuków od dziadków dzieli dziś więcej niż kiedyś mieszkańców Nowego Jorku i Sandomierza.

FRANCISZEK PIECZKA
O POLSKICH ŁOSACH

Mój ojciec był powstańcem śląskim, a jego brat, a mój stryj, był po drugiej stronie, walczył w armii niemieckiej.

AGNIESZKA GRAFF
O „ZATRUTYM ŹRÓDLE” JERZEGO KALINY

Różne już widywałam prawicowe szmiry, gnioty i kurioza, ale to przebija wszystko.

PROF. LESZEK BALCEROWICZ
O „PIĄTCE KACZYŃSKIEGO”

Wprowadzone zakazy nie mają ani ekonomicznego, ani moralnego uzasadnienia. Ucierpiałyby dziesiątki tysięcy ludzi zatrudnionych przy zakazanej produkcji.

DARIA ABRAMOWICZ O IDZE ŚWIĄTEK

Staramy się generować u Igi swobodę oraz luz. Presja nie może nas zaskoczyć.

ANNA STARMACH O DOBRYM PORANKU

Nawet jak mi się strasznie nie chce wstać, a przeważnie mi się nie chce, to na myśl o kanapce z awokado i jajkiem, owsiance z fajnym dodatkiem, łatwiej mi się podnieść z łóżka.

JAROSŁAW KUŹNIAK O MEDIACH

Dziennikarz musi dziś umieć w mądry sposób sprzedać treść, którą przygotował.

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA
O MAŁŻEŃSTWIE

W naszym związku nie ma zażdrości. Chcemy się nawzajem budować, a nie ściągać w dół.

PIOTR BECZAŁA O ŻONIE KATARZYŃE

W artyście drzemią demony i te demony muszą być ujarzmiane. Żona jest artystką i też jest demonem.

OLGA BOŃCZYK O CISZY

Jestem jej nieustannie spragniona. Wychowałam się w ciszy, bo miałam niesłyszających rodziców.



Kultowa konserwa doczekała się pomnika. przed budynkiem dawnego Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich Gryf w Szczecinie.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Psubratom na rękę

Aby zmotywować członków swojego zespołu do adopcji niechcianych zwierząt, firma Bolt wprowadziła płatny urlop psacierzowski. Przedsiębiorstwo zajmujące się przewozem osób, dostarczaniem posiłków oraz wynajmem hulajnog poinformowało, że za przygarbienie pensjonariusza schroniska przysługują dodatkowe trzy dni wolnego – również tym, którzy już wcześniej adoptowali czworonoga, o ile miało to miejsce w ciągu dwóch ostatnich lat. Korporacja, która działa także w Polsce, wyjaśnia, że tuż po zmianie otoczenia nowy domownik nie powinien zostawać sam, gdyż będzie to dla niego duży stres.

Gdzie człowiek nie może, tam Reksia pośle

O tym, że ze zwierzętami warto żyć w komitywie, świadczy pilotażowy projekt zainaugurowany przez operatora portu lotniczego Helsinki-Vantaa. W jego ramach cztery specjalnie wytresowane psy będą wykrywać u pasażerów zakażenie COVID-19. „Jeśli nam się uda, będzie to ogromny krok naprzód w walce z tą chorobą”, przekonuje Ulla Lettjef, dyrektorka lotniska. Optymizm w tej kwestii jest uzasadniony, gdyż badania przeprowadzone przez Katedrę Weterynarii Uniwersytetu Helsińskiego potwierdziły, że potomkowie wilka są bezbłędni w identyfikowaniu koronachorych.

Nieżyły patent!

Rosyjscy racjonalizatorzy opracowali innowacyjną łopatę, która pozwala mniej się napocić podczas kopania.



Zwiększenie wygody korzystania z narzędzia udało się im uzyskać m.in. dzięki optymalizacji kąta nachylenia szyjki do ostrza. Dzięki wynalazkowi, który został już opatentowany, Jakow Piercel i Michaił Agarkow z Omskiego Instytutu Naukowo-Badawczego Budowy Narzędzi niechybnie zapiszą się złotymi zgłoskami w historii myśli technicznej. Warto wspomnieć, że pierwszy z wymienionych specjalistów jest związany ze swoją placówką kopę lat, bo od 1960 r.

To się w arkuszach nie mieści

Brytyjska służba zdrowia ujawniła, że jej statystyki za okres od 25 września do 2 października nie uwzględniały ponad 16 tys. nowych zachorowań na COVID-19. Wszystko z powodu nieumiejętnego korzystania z programu Microsoft Excel. Okazało się, że wyniki testów spływające z laboratoriów katalogowano w plikach o rozszerzeniu .xls, mimo że od kilkunastu lat standardem są pliki .xlsx. Arkusz starego typu jest w stanie pomieścić ok. 1,4 tys. wyników, większej ich liczby po prostu nie zapisywał.

MEMY BEZ ŚCIEMY





W niepewnych czasach odrobina bajkowości może poprawić humor. W Chengdu w chińskiej prowincji Syczuan drzewa zostały ozdobione motywami zaczerpniętymi z lokalnej kultury.

Chwilowa niekompletność danych spowodowała identyfikację osób, które miały kontakt z zakażonymi. Z drugiej strony mogło być jeszcze gorzej – gdyby urzędnicze komputery zostały opanowane przez wirusy...

Karma (i ceramika) wraca

Kanadyjska turystka po 15 latach odesłała dwa fragmenty mozaiki, część amfory i kawałek ceramiki, które przywłaszczyła sobie podczas wizyty w Pompejach. Kobieta uważa, że przedmioty skradzione ze starożytnego miasta zniszczonego przez Wezuwiusza „są przesiąknięte złą energią” i spowodowały na nią kłopoty zdrowotne oraz finansowe. „Jesteśmy dobrymi ludźmi i nie chcemy, by klątwa została w naszej rodzinie”, napisała w liście. Turystki na tyle często decydują się zwrócić

artefakty podwędzone z parku archeologicznego w Pompejach, że poświęcono im osobne muzeum.

Jaki korzeń, taka nać

Strażnicy graniczni pełniący nocą służbę w gminie Hrubieszów na Lubelszczyźnie dostrzegli w kamerze termowizyjnej postacie zbierające plony do worków. Podejrzliwość pograniczników wzmógł mężczyzna, który mimo późnej pory siedział w pobliżu w samochodzie. Kiedy z nim rozmawiali, indywidua z pola rzuciły się do ucieczki, jedno schowało się za słupem, drugie zaś w panice – w budzie dla psa. Wezwana na miejsce policja ustaliła, że były to żona i teściowa 38-latk, który stał na czatach, gdy one rabowały pietruszkę. Pewnie są na diecie, a korzeń pietruszki nie tuczy – zwłaszcza kradziony.



FOT. SEKCJA GINASTYCZNA(2), FACEBOOK, IMAGINECHINA/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS(2)



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igelska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumiliłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chlečka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

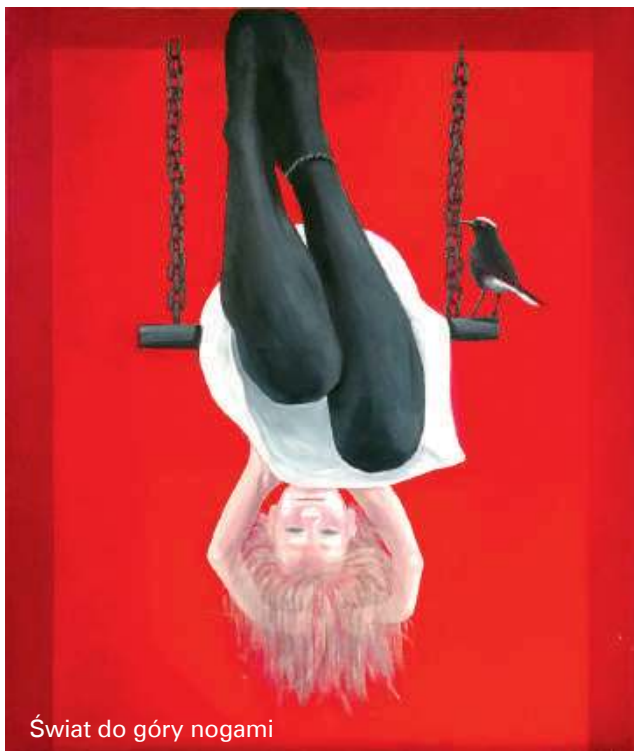
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Świat do góry nogami

Małgorzata Jagiełło - malarstwo

Wystawa jubileuszowa

Krakowska artystka obchodzi w tym roku półwiecze pracy. Edukację artystyczną rozpoczęła w Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, studiowała na Wydziale Grafiki tamtejszej ASP w pracowniach prof. Jana Świdorskiego, Mieczysława Wejmana, Witolda Skulicza, Paulina Wojtyny, Jacka Gaja, Zbysława M. Maciejewskiego i Mariana Kruczka. Dyplom uzyskała w Pracowniach Miedziorytu i Projektowania Książki w 1975 r. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, grafiką, fotografią i grafiką cyfrową oraz projektowaniem. Brała udział w wielu konkursach, projektach, wystawach zbiorowych i indywidualnych. Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenia



A pożary daleko

Pastelistów Polskich. Mieszka i tworzy w Krakowie i Górcach. Pisze wiersze.

Nowohuckie Centrum Kultury
Kraków, al. Jana Pawła II 232
do 28 października

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Odaliska



Dzieci i ptaki

EDOARDO LEO JASMINE TRINCA STEFANO ACCORSI

Czasem warto dać sobie drugą szansę...



SEKRET BOGINI FORTUNY

NOWY FILM MISTRZA WŁOSKIEGO KINA
FERZANA ÖZPETKA

W KINACH OD 16 PAŹDZIERNIKA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
Kultura Europejska



STODOLA

more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERT



ASAF AVIDAN

ANAGNORISIS TOUR 2020

KLUB KWADRAT, KRAKÓW
8.02.2021

KLUB PROXIMA, WARSZAWA
10.02.2021

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL